

Robert J. Schmidt
**SZCZURY
WROCLAWIA**

SZPITAL



Polecam! - GRAHAM MASTERTON

R o b e r t J . S z m i d t

SZCZURY WROCLAWIA

SZPITAL

 Insignis

Opinie o *Szczurach Wrocławia* z portalu *LubimyCzytać.pl*

Sześćset zapisanych drobnym druczkiem stron pochłonałem w niecały tydzień (odrywały mnie od czytania tak trywialne rzeczy jak konieczność pójścia do pracy czy zrobienia sobie jedzenia) i nie mogę się doczekać kolejnego tomu. Robert J. Szmidt wie, jak pisać dobre książki. — Rae

Totalny chaos, śmierć czyhająca za każdym załosem, ludzie gorsi od nieumarłych. Lubisz zombie? Polubisz *Szczury Wrocławia. Kraty*. Robert J. Szmidt napisał książkę dla fanów gatunku i wszystkich, którzy chcieliby przenieść się w czasie do Wrocławia lat sześćdziesiątych. Zwiedzanie tego miasta jest fascynujące, ale z racji ustroju i wylewających się zewsząd płynów ustrojowych wolałbym nigdy się tam nie znaleźć. — Łukasz Wasilewski

Chociaż poziom każdej (post)apokaliptycznej literatury powinno mierzyć się w Szmidtach, to w *Szczurach Wrocławia. Kratach* autor wyskoczył poza skalę! — Sławomir

Kontynuacja *Chaosu* jest równie wartka i wciągająca. Autor odszedł od szerokiej panoramy na rzecz kilku konkretnych wątków z kilkoma konkretnymi grupami bohaterów. Do celów powieści stworzył zapadający głęboko w pamięć gang i plejadę złoczyńców, którzy na długo zapiszą się w mojej pamięci. — Wojtek Grabowski

Czyta się błyskawicznie, koncept oryginalny (myślisz, że o zombie wymyślono już wszystko? Nieprawda!). Świetne językowo, no, naprawdę

czysta przyjemność, idealna lektura na weekend. — Kuba Polkowski

Majstersztyk! Rewelacja! Cudo! — Matt

Robert J. Szmidt stworzył opowieść spójną, ukazaną z wielu perspektyw, pełną mroku i realistycznych odczuć – no aż chce się czytać. — Northman

Lubię jatkę - w filmie, w grze video i w książce. Lubię horror, thriller, sensację. Lubię, gdy bohaterowie zachowują się jak ludzie i mówią jak ludzie. Lubię się bać. Lubię od czasu do czasu skrzywić się z obrzydzenia. Lubię się uśmiechnąć pod nosem. Tego wszystkiego szukam na ekranie i w książkach, żeby odreagować rzeczywistość i własne lęki. Sięgając po szeroko reklamowane *Szczury Wrocławia* liczyłam, że dostanę coś z tego, co lubię. I nie zawiodłam się! Dostałam wszystko, a nawet więcej. — Jadche

Lektura tej książki to czysta przyjemność – mimo tematyki, która z przyjemnością raczej się nie kojarzy. Autor postawił na inteligentnego odbiorcę – i całe szczęście – bo zamiast ociekającej krwią i wnętrznościami taniej bajki, dostaliśmy trzymający w napięciu, błyskotliwy thriller, pokazujący ówczesne realia i portretujący peerelowskie społeczeństwo w obliczu ekstremalnego zagrożenia. Polecam i to nie tylko miłośnikom zombie, w szczególności, że sam do nich nie należę. — braz

Wbrew pozorom to nie jest głupia historia o zombie. Zombie, choć występują w całej masie, są tylko pretekstem do pokazania czegoś poważniejszego. Jak dla mnie bomba! — Wilma

Wrocław, lata 60, zombie, komuna, propaganda, ZOMO, no czego chcieć więcej? Przyznam szczerze, że Robert J. Szmidt to jeden z moich ulubionych autorów, i po raz kolejny udowodnił, że zasługuje na szacunek którym go darzę. — Szymon W. Krawczyk

Film *Miś* przy tym to poważny dokument :) Głęboki PRL w Polsce już

w sam sobie jest oazą absurdalnego humoru. Jeżeli dorzucić tam grupę zombie i okraścić to wszystkim rodzynkami godnymi filmu *Psy*, to wtedy właśnie powstanie taka perła jak *Szczury Wrocławia*. — Marcin Jackowiak

Hiszpanie mają swoją *Apokalipsę Z*, Amerykanie *World War Z* i cykl *Przeгляд Końca Świata*, a Polacy... *Szczury Wrocławia*. — Magmaj86

Szczury Wrocławia są najlepszym Z-bookiem jaki przeczytałem! — Mateusz

Książka jest arcydziełem. Mistrzostwo, Robert przebił *World War Z* i Maxa Brooks'a. — mariuszszpl

Książka jest niesamowita – swojski klimat PRL-u oraz historia sensacyjna o tle epidemii zarazy zombie. Genialnie stworzone dialogi oraz [psychologia postaci] to główne atrybuty, które oddają realizm. Ciekawie została też skonstruowana historia z prawdziwymi czytelnikami [wplecionymi] w lata 60. jako interaktywne tło. — Polakmaly

Wprawne pióro autora sprawia, iż mimo tak ogromnej ilości ofiar *Szczury Wrocławia* nie są książką telefoniczną, a naprawdę wciągającą swoją wartką akcją powieścią. Dla mnie było to połączenie *Titanica* i serialu *24-godziny*. I tak z góry wiemy że statek zatonął, ale i tak z dreszczykiem emocji, minuta po minucie śledzimy losy bohaterów z góry znając ich los. — Tom Ravin

Klimatyczny świat przedstawiony, ciągła akcja, przyjemny styl pisania. Mnóstwo szczegółowych opisów, no i czarujący Wrocław. Czego chcieć więcej? . — Mefisto

Robert J. Szmidt stworzył doskonale gatunkowo *historical fiction* nasycone wyrazistymi opisami w stylu gore i ofiarami liczonymi w setkach. — Cross

Najpierw przeczytałem e-booka, a teraz czytam wersję papierową. Jeśli

będzie audiobook, też kupię. Ostatnio tylko *Metro 2033* tak mi się dobrze czytało. — Karol

Zombie we Wrocławiu plus niesamowita wycieczka po mieście lat 60. Miód na moje uszy. — Lenon

Robert Szmidt stworzył świetną opowieść w klimatach zombieapokalipsy. PRL-owski Wrocław, jednostki ZOMO, komunistyczna władza a w tym wszystkim nieumarli wrocławianie siejący zgrozę i śmierć. To mroczna i sugestywną wizja oddająca klimat czasów minionych, a zarazem rozwijającego się chaosu i jego możliwych konsekwencji.— Krzysztof

Przyznaję, że obawiałam się czegoś z serii „książka telefoniczna z fabułą”. Miło się rozczarowałam, 220 nazwisk zostało na tyle sprawnie wkomponowane w tekst, że większość z nich stała się przezroczysta. Całość tworzy pożądaną atmosferę, czuje się tempo i oddech nieumarłych na plecach. — Marta

Autor sprawił, że ja sam uznałem Sprychę za kogoś kto naprawdę nie ma sumienia, za kogoś, kto powinien już dawno ponieść konsekwencję swoich czynów. Nawet liczyłem na to, że zaraz przypadkiem w całkiem prozaiczny sposób stracę swoje życie. Przeszedłem od uwielbiania Sprychy do życzenia samemu sobie przemiany w zombie. — Fabian Sprycha

Och, jak dobrze mi się tę książkę czytało. Idealnie nadała się na powroty z pracy pociągiem, jak i na wypad na plażę. Bazując na prawdziwych zdarzeniach autorowi udało się zrobić fajną alternatywną wersję zdarzeń. Krwawą. Wciągającą. — Beremis

Mam za sobą tuziny książek o zombiakach, większość napisaną przez amerykańskich autorów. I wiecie co? Po przeczytaniu *Krat* pomyślałem, że wcale nie odstajemy od czołówki. — Saladyn

Copyright © 2019 Robert J. Szmidt

Redakcja

Urszula Gardner | urszulagardner.pl

Korekta

Pracownia 12A | pracownia12a.pl

Skład

Tomasz Brzozowski

Okładka i komiksy

Robert Rajszczyk | facebook.com/RobertoBookCovers

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition

Insignis Media, Kraków 2019. Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN pełnej wersji 978-83-66360-19-8



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 6362519

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)

instagram.com/insignis_media (@insignis_media)

Snapchat: insignis_media

Spis treści

Strona tytułowa

Opinie

Strona redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

EPILOG

Fragment . Szpital Chaos

Fragment. Szpital. Kraty

1

piątek, 9 sierpnia 1963, godzina 20:27

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

– Jesteś tego pewna?

Doktor Zadrozny zatrzymał się raptownie kilka kroków przed szerokimi, obitymi blachą drzwiami, zerkając podejrzliwie za siebie, w perspektywę oświetlonego kilkoma gołymi żarówkami piwnicznego korytarza, jakby chciał sprawdzić, czy nikt za nimi nie idzie.

– Tak, Piotrusiu – wysapała lubieżnie Żaneta prosto w jego ucho. – Jestem tego pewna. Absolutnie.

Minęła wciąż niezdecydowanego lekarza, ocierając się krągłym biodrem o jego udo, zmysłowo, ale zarazem mocno, jakby miał do czynienia z wielką napaloną kotką. Dłonią musnęła wykrochmalony szpitalny kitel, od szwu na ramieniu, przez kieszonkę, gdzie tkwiło chromowane wieczne pióro, najnowszy prezent od żony, aż po zapięcie, w którym palec kochanki utkwiał niczym hak w pysku złowionej ryby. Zadrozny dał się pociągnąć w kierunku drzwi, choć szarpnięcie nie było wcale silne.

Nie opierał się, ponieważ doskonale wiedział, że czekają go chwile, których długo nie zapomni – a jeśli chodzi o seks, widział

i robił takie rzeczy, o jakich inni mężczyźni, nawet ci, co posiadali naprawdę bogatą wyobraźnię, mogli jedynie pomarzyć.

Od rozpoczęcia studiów Piotr zaliczył więcej dziewczyn i kobiet, niż mógł spamiętać, w tym parę naprawdę wyjątkowych... okazji – tak, okazji, ponieważ dla niego nie były niczym więcej niż myśliwskimi trofeami.

Szczupły, przystojny, w miarę wysoki, z ciemnymi, zaczesanymi do tyłu włosami i twarzą wojownika, którą zdobiła pieczołowicie przystrzyżona broda, wyglądał jak księżę z bajki albo rycerz na białym koniu. Do tego miał nienaganne maniere i co najważniejsze, był znanym na mieście lekarzem – w tym szarym świecie kimś naprawdę znaczącym i bogatym. Pieniądze, szyk i brak zahamowań pozwalały mu na dokonanie każdego podboju, jaki tylko zaplanował. Tuzinami uwodził nieziemskie piękności, pozbawiał cnoty największe świętoszki – raz nawet zdeflorował wyjątkowo ponętą zakonnice – najbardziej jednak ze wszystkich babek uwielbiał te pokręcone, gotowe na wszystko nimfomanki, takie jak kobieta, która właśnie go wciągała do pomieszczenia pełniącego funkcję szpitalnej kostnicy, gdzie – da Bóg – wspólnie spełnią największe z jej perwersyjnych marzeń.

Śmiał się, gdy powiedziała mu podczas jednej z wcześniejszych potajemnych schadzek – jako lekarz złamał chyba wszystkie zasady etyczne, moralne i zawodowe, uprawiając dziki seks z powierzoną jego pieczy pacjentką – że jej najskrytszym marzeniem jest pieprzenie się na zwłokach kogoś, kto zmarł dosłownie chwilę wcześniej. Pragnęła doznać orgazmu na ciele, które nie zdążyło jeszcze ostygnąć.

Nie byłby sobą, gdyby nie zapytał: „Dlaczego? Skąd takie właśnie, nietypowe marzenie?”. Odpowiedziała szczerze, patrząc mu prosto w oczy: „Bo tak”.

Zastanawiał się potem nad tym wielokrotnie, lecz nawet przy swej rozległej wiedzy zawodowej nie był w stanie dotrzeć do sedna. Miał to jednak gdzieś. Spełniając nietuzinkowe zachcianki Żanety, wrywał się choć na chwilę z nudnej rutyny pozostałych romansów. Żaneta Kręt była tak rozpasaną nimfomanką, że jej rodzona matka, kobieta głęboko wierząca, zdecydowała się na oddanie lubieżnicy do zamkniętego zakładu psychiatrycznego, czyniąc to w nadziei, że współczesna medycyna zdoła dokonać tego, czego nie umieli osiągnąć nawet kapłani. Tydzień wcześniej bowiem, za podszeptem proboszcza, poddała Żanetę egzorcyzmom, które, rzecz jasna, nic nie dały.

Krętówna nie urzekła Piotra urodą, choć długie ciemne włosy i posągowa sylwetka stawiały ją w czołowej dziesiątce dotychczasowych podbojów. Nie chodziło nawet o demoniczną wręcz żywiołowość i niespożyte siły – te cechy charakteryzowały przecież każdą nimfomankę, z którą miał wcześniej do czynienia. Dał się porwać fantazji Żanety; dzikiej, niczym nieskrępowanej, przełamującej bez oporów każde tabu. Łącznie z tym ostatecznym.

Przećwiczyli w ciągu wiosny i pierwszych miesięcy lata całą *Kamasutrę*, robili też rzeczy, o których dawno zapomniani autorzy najdoskonalszego z podręczników miłości nawet nie pomyśleli. Do finalnego spełnienia ich związku pozostało tylko...

Długo musieli czekać na ten moment. W klinice psychiatrycznej rzadko dochodziło do zgonów, a zajmujący jedno ze skrzydeł

oddział neurologiczny także nie należał do placówek, w których ludzie padali jak muchy. W efekcie należąca do szpitala maleńka kostnica od miesięcy świeciła pustkami. Tego dnia jednak uśmiechnęło się do nich szczęście – jeśli można tak powiedzieć o udanej próbie samobójczej nieszczęśnika przywiezionego dosłownie pięć minut temu, zakutanego w kaftan, bredzącego w kółko o powstających z martwych ludziach, których nie da się w żaden sposób zabić, i o boskiej karze, która w ciągu najbliższych dni zmieni ten świat w dziewiąty krąg piekieł.

Słuchając bełkotu szaleńca, Zadrożny zaczął się poważnie zastanawiać, czy podobnych przypadków nie będzie teraz więcej. Kwarantanna, której poddano jakiś czas temu miasto, plotki szerzone dzień i noc przez coraz liczniejsze rzesze panikarzy, wypatrywanie symptomów choroby u najbliższych w nieustannym napięciu i strachu, wszystko to musiało się odbić na zdrowiu psychicznym wrocławian.

Aż dziw, że szpital nie pęka jeszcze w szwach, pomyślał, patrząc na zamykające się za nim drzwi kostnicy.

Żaneta zręcznym ruchem zasunęła skobel. W wykafelkowanej od podłogi po sufit piwnicy gmachu kliniki było dużo chłodniej niż na zewnątrz. Pot pokrywający ich rozgrzane nie tylko upałem ciała zrobił się natychmiast lodowaty, przyprawiając oboje o dreszcze, lecz wrażenie to szybko ustąpiło – przynajmniej w wypadku Zadrożnego.

Krętówna oparła się o stojący pośrodku pomieszczenia stół sekcyjny, na którym pod bielszym od śniegu prześcieradłem spoczywało ciało samobójcy. Idiota wyrwał się sanitariuszom, gdy

ci próbowali przeprowadzić go z karetki do budynku. Mający ręce splecione za plecami mężczyzna rozpędził się pochyłony i wyrznął głową w mur, roztrzaskując sobie czaszkę.

Piotr, który nadzorował jego przyjęcie i nie chciał wywołać paniki w placówce, kazał ułożyć umierającego na noszach i przetransportować prosto do kostnicy. Olśnienia doznał w momencie, gdy klnący pod nosem sanitariusze znikali we wnętrzu budynku. Uświadomił sobie, że oto los zesłał mu w końcu okazję, na którą tak długo czekał, nie zwlekając więc nawet sekundy, pognał na drugie piętro, aby wyprowadzić Żanetę z oddziału zamkniętego. Zabierał ją na „terapię indywidualną” tak często i o tak różnych porach, że dyżurne pielęgniarki przestały zwracać na to uwagę. Interesowało je tylko jedno: by wpisał ten fakt w rejestr.

Żaneta była wniebowzięta, usłyszawszy, dokąd i po co idą. Tak mocno dyszała mu kark, gdy schodzili do piwnicy zakratowanymi ze wszystkich stron schodami, iż mógłby dać słowo, że doznała pierwszego orgazmu na samą myśl o odwiedzeniu kostnicy.

Teraz wydawała się równie, a może nawet jeszcze bardziej podniecona. Nachylała się nad zwłokami, które jeszcze nie ostygły. Drżącą dłonią uniosła kraniec wykrochmalonego na sztywno prześcieradła. W blasku jedynej żarówki, która oświetlała w tym momencie pomieszczenie, przyjrzała się twarzy martwego mężczyzny; pociągłej, zastygłej w pełnym bólu grymasie, lecz mimo to przypominającej oblicze Piotra. Fizjonomia leżącego na stalowym katafalku mężczyzny była wyjątkowo blada, choć nie nabrała jeszcze charakterystycznej trupio sinej barwy.

– Cudownie – mruknęła Żaneta, odwracając się do stojącego za jej plecami i właśnie rozpinającego spodnie Zadroznego.

Zrzuciła szpitalną koszulę, pod którą oczywiście nie nosiła bielizny, i ponownie nachyliła się nad stołem, zawisając tułowiem tuż nad pokrytym białym całunem ciałem samobójcy. Syknęła, a potem zadrzała, gdy poczuła w sobie kochanka. Jej nabrzmiałe sutki szorowały po szorstkim płótnie okrywającego zwłoki prześcieradła przy każdym mocnym pchnięciu, z jakim Piotr w nią wchodził. Zamknęła oczy, napawając się niewyobrażalną rozkoszą dostarczającą jej nie jednego, ale całej serii orgazmów, spełnieniem nieosiągalnego zdałoby się marzenia, a gdy otworzyła je ponownie...

– Jezusie Nazareński!

Odskoczyła od stołu, potrącając zaskoczonych Piotra, który – nieświadom powodu tak gwałtownej reakcji i ograniczony opuszczonymi do kostek spodniami – nie zdołał utrzymać równowagi i padł jak długi na wykafelkowaną posadzkę.

– Czyś ty oszala...?! – wrzasnął wściekle, ale zamilkł w pół słowa, widząc, że naga Żaneta stoi jak sparaliżowana zaledwie krok od stołu, na którym zazwyczaj przeprowadzano sekcje, i spogląda w niemym przerażeniu na trupa. – Co się stało? – zapytał dużo łagodniejszym tonem, gramoląc się z podłogi i podciągając w pośpiechu spodnie, co poszło mu łatwiej, niż sądził, ponieważ czar chwili prysnął także w jego wypadku.

– On... On... – mamrotała roztrzęsiona Żaneta. – On otworzył oczy! – zdołała w końcu wydukać, przypadając do zapinającego pasek Zadroznego i wtulając się w niego z całych sił. – Ten umarłak

spojrzał na mnie!

Samobójca ożył? Niemożliwe.

Piotr zbadał go dokładnie. Człowiek z takim urazem głowy nie miał prawa przeżyć aż do tej chwili. Musiał skonać na noszach, zanim go tutaj dostarczono, może chwilę później, a martwi, jak powszechnie wiadomo, nie otwierają oczu. Zadrożny zadrzał jednak, przypominając sobie rojenia samobójcy o zmartwychwstańcach.

Odsunął od siebie przerażoną kochankę, by podejść do stołu. Leżący na nim młody mężczyzna miał otwarte oczy, poruszył właśnie powiekami przy kolejnym mrugnięciu.

– Kurwa jego mać... – wymamrotał Zadrożny, rozpoznając tę twarz. – Popamiętacie mnie, Cieniawski, oj, popamiętacie! Wstawaj, gnoju, i to już!

Jednym ruchem zerwał prześcieradło, odsłaniając nie kaftan bezpieczeństwa, lecz spraną szpitalną piżamę. Zaśmiałyby się w głos, gdyby nie był tak wkurzony zrujnowaniem randki, której być może – a raczej na pewno – nigdy już nie zdoła powtórzyć.

– Kto to jest? – pisnęła wciąż roztrzęsiona Żaneta, nie spuszczać wzroku z podnoszącego się sztywno mężczyzny.

– Szanowny pan Mateusz Cieniawski we własnej, jeszcze nie nadgniętej, ale już cuchnącej osobie. Nasz przesławny chodzący trup... – Piotr szarpnął ociągającego się pacjenta za kołnierz, stawiając na nogi w momencie.

– To on nie żyje? – Krętówna zrobiła wielkie oczy.

– I tak, i nie – odparł rozbawiony jej pytaniem Zadrożny.

– Co?!

– To bydlę cierpi na syndrom Cotarda... – doprecyzował poirytowany Zadrożny, ale zanim zdążył dokończyć zdanie, dotarło do niego, że roznegliżowana wciąż kochanka nie ukończyła psychiatrii, zatem nie posiada aparatu pojęciowego, który by jej pozwalał na zrozumienie, o czym mowa. Dodał więc pośpiesznie: – Wydaje mu się, że umarł, dlatego nie je, nie myje się i złązi tutaj, kiedy tylko zdoła uciec z oddziału.

Cieniawski stał nieruchomo, nie reagując w żaden widoczny sposób na widok nagiej i niewątpliwie ponętnej kobiety, która właśnie stanęła tuż przed nim, uśmiechając się lubieżnie.

– Chodzący trup... – sapnęła i wpatrzyła się w pozbawioną wyrazu, choć niebrzydką twarz chorego. – To może być...

– Nie! – Czując, co się święci, Zadrożny pociągnął bezwolnego Mateusza w kierunku drzwi. – A ty ubierz się i zaczekaj na mnie tutaj. Wrócę za kilka minut – rzucił, zerkając przez ramię na... była już kochankę.

To nie była decyzja podjęta pod wpływem chwili, planował to posunięcie już od jakiegoś czasu. Perwersyjna zabawa miała być punktem kulminacyjnym ich związku, po nim pozostałaby już tylko rutyna, od której uciekał; kolejne niczym nie różniące się schadzki, powtarzanie do znudzenia tych samych seksualnych rytuałów i drętwych rozmów, żadnych odkryć, żadnej odmiany... Pod tym względem Piotr nie różnił się niczym od uwodzonych garściami nimfomanek: w związkach szukał wyłącznie nowych doznań i ciekawszych wrażeń. Miał przy tym pewność, że Żaneta nie będzie za nim tęsknić ani po nim rozpaczać – jej od samego początku zależało wyłącznie na zaspokajaniu niemałych i co tu

ukrywać, perwersyjnych żądz – wystarczy więc słówko szepnięte któremuś z młodszych sanitariuszy i będzie po krzyku albo jeszcze lepiej, zmiana w ordynacji leków na te właściwe, które otumanią ją i ubezwłasnowolnią na długie miesiące. Wystarczy jeden wpis w karcie choroby i doktor Zadrożny jak za dotknięciem magicznej różdżki odzyska swobodę potrzebną do kontynuowania podbojów.

Szkoda tylko, że ta zbzikowana menda zepsuła nam wyczekiwaną schadzkę, pozbawiając nas doznań i przeżyć, które naprawdę trudno będzie powtórzyć, pomyślał z rozgoryczeniem.

Powlekł automatycznie przebijającego nogami Cieniawskiego piwnicznym korytarzem, następnie zaciągnął go schodami na parter, lecz tam nie skręcili w prawo, do holu, lecz w przeciwnym kierunku, ku gabinetom zabiegowym. Piotr zastukał natarczywie do pierwszych drzwi po lewej i nie czekając na odpowiedź, otworzył je na całą szerokość, wpychając za próg doprowadzonego pacjenta.

Doktor Gandera, jeden z najnowszych nabytków kliniki, protegowany samego profesora Niemczuka, siedział przy stoliku w kącie sporego, pogrążonego w półmroku pomieszczenia. Mieszał machinalnie wystygłą herbatę, nie odrywając wzroku od gazety oświetlanej snopem ostrego blasku padającego ze stojącej na skraju biurka lampki. Podobnie jak inni członkowie personelu z wielkim niepokojem obserwował rozwój wydarzeń na mieście. Epidemia mogła mu bowiem przysporzyć wiele pracy, jeśli władze nie opanują sytuacji w najbliższym czasie.

– Coś się stało? – zapytał wyrwany z zamyślenia łomotem odbijających się od ściany drzwi.

– Owszem, pan Cieniawski uprzejmie prosi o kolejne

elektrowstrząsy – rzucił Zadrożny, popychając Mateusza w kierunku stojącej za parawanem leżanki. – Tym razem niech poczuje, co znaczy prawdziwa agonia.

– Co znowu zmalował? – zainteresował się Bartosz, składając gazetę.

– Uciekł z oddziału i zakradł się do kostnicy.

– *Nihil novi sub sole...* – Gandera spojrział dziwnie na Piotra.

Cieniu, jak pracownicy szpitala nazywali „chodzącego trupa”, robił wszystko, by dostać się do kostnicy, i parokrotnie nawet dopiął swego, zazwyczaj jednak karano go za to przywiązaniem do łóżka na parę dni albo zwiększeniem dawki środków uspokajających, ponieważ słowne reprimendy już od dawna nie docierały do „martwego umysłu”, a regularnie okładający pacjenta sanitariusze za każdym razem odnosili wrażenie, że ich ofiara naprawdę nie odczuwa emocji ani bólu. Elektrowstrząsy w tym stadium choroby nie mogły pomóc Cieniawskiemu, to było jasne jak słońce, lecz po odpowiednio zaaplikowanym porażeniu zmieniały krnąbrnego pacjenta w warzywo, zlecano je więc coraz częściej, aby choć na jakiś czas pozbyć się kłopotu.

– Tym razem przesadził – zapewnił Bartosza Zadrożny, który na szczęście zdążył wymyślić dobre wytłumaczenie dla swojego zdenerwowania i żądania surowszej niż zwykle kary. – Problem w tym, kolego, że tam, na dole, mamy samobójcę o czym na pewno powiadomiono już profesora. Wiecie, co by było, gdyby stary zaszedł do kostnicy i nadział się tam na tego palanta? – Trzepnął chwiejącego się Cieniawskiego w ramię pięścią, jak to mają w zwyczaju szczeniaki w szkołach, robiąc mu klasyczną mukę.

– Oj, wiem... – Gandera się przeciągnął, mierząc ostrym spojrzeniem Mateusza, który był jednym z najczęstszych gości w jego gabinecie. Profesor miał słabe serce, takiego numeru mógłby nie przetrzymać. – Doigrałeś się, bratku – skwitował, kiwając głową.

Zadrożny uznał to za wystarczającą odpowiedź, odwrócił się więc, lecz zanim minął próg, dodał jeszcze:

– Zadzwońcie, kolego, na dyżurkę, niech mu siostry zaaplikują porządną lewatywę przed zabiegiem. Musimy przecież dbać o zdrowie i komfort naszych podopiecznych – uśmiechnął się z satysfakcją, widząc, że Gandera sięga po słuchawkę.

* * *

Żaneta Kręt wiedziała, że za żadne skarby nie wolno jej opuścić tego pomieszczenia – gdyby przyłapano ją samą poza oddziałem, tak daleko od piętra, na którym powinna teraz przebywać, z pewnością zostałyby ukarana. Personel kliniki nie stosował w takich wypadkach taryfy ulgowej, a jej nie uśmiechało się spędzenie kilku kolejnych dni w łóżku, zwłaszcza że zostałyby unieruchomiona pasami, a do tego spętana w nadgarstkach i kostkach, aby nie mogła zaspokajać się sama, jak to miała w zwyczaju, gdy tylko ją izolowano.

Dostała dreszczy na myśl, że mogłaby trafić na elektrowstrząsy. W początkowym okresie terapii próbowano poskromić przepełniające ją żądze tą właśnie obiecującą metodą, lecz na jej szczęście dość szybko zrozumiano, że nie tędy droga – choć jeden z lekarzy wciąż sugerował powrót do cyklicznego rażenia prądem, przed czym ocalił ją gwałtowny sprzeciw ze strony obecnego

kochanka.

Założyła sięgającą do połowy łydki szpitalną koszulę, po czym – nie mając nic lepszego do roboty – usiadła na stole do sekcji, w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem leżał ten, jak mu tam, Cieniawski.

Muszę zapamiętać to nazwisko, pomyślała. Choć pociągał ją aktualny kochanek i jego wyuzdanie, to trwające od kilku miesięcy schadzki z tym samym mężczyzną stały się nużąco schematyczne. Od pewnego czasu nie wynosiła z nich nic nowego, a tego przede wszystkim szukała w kontaktach z mężczyznami. Zaczęła się więc rozglądać, na razie skrycie, za świeżymi źródłami doznań. Jednym z nich mógłby okazać się „chodzący trup”, jak Zadrożny nazwał chłopaka. Żaneta zamierzała sprawdzić w najbliższym czasie, czy Mateuszek-Trupuszek, jak go natychmiast ochrzciła, pozostanie obojętny, chłodny i... sztywny, gdy poczuje na przyrodzeniu bijący od niej żar pożądania.

Siedziała w kompletnej ciszy, czekając na powrót kochanka, choć nie miała wielkich nadziei na satysfakcjonujące dokończenie tak ciekawie rozpoczętej schadzki. Odmierzane przez wiszący na ścianie zegar sekundy płynęły nieprzerwanie, lecz w ślimaczym tempie, tak więc – mimo że Krętówna sporo rozmyślała o nowo odkrytej, potencjalnej wciąż sferze doznań – po upływie mniej więcej trzech minut znudziło ją tkwienie w bezruchu.

Mogła zaspokoić się sama, żeby rozładować nieco napięcie wywołane niedawnym incydentem, albo...

Ciekawość wzięła górę. Żaneta odwiedziła tę część szpitala po raz pierwszy, nigdy wcześniej też nie była w prawdziwej kostnicy,

zdecydowała się więc wykorzystać pozostały jej czas i pomyszkować w sterylnym jak opatrunek pomieszczeniu.

Oprócz stołu do sekcji, nad którym wisiała dziwaczna lampa, w sali znajdował się wózek na kółkach, na którym sprowadzany okazjonalnie patolog trzymał narzędzia – teraz zamknięte w metalowych szafkach ustawionych rzędem wzdłuż jednej z bocznych ścian. Trzecią, tę najdalszą od drzwi, zabudowano natomiast czymś, co wyglądało jak...Mimo dłuższego zastanowienia Żaneta nie znalazła adekwatnego porównania. Miała przed sobą troje kwadratowych drzwiczek z lśniącego metalu, każde zaopatrzone w dźwignię przypominającą wydłużoną klamkę i opisane w prawym górnym rogu kolejnym numerem.

Zaintrygowana ruszyła w ich stronę, ale przystanęła po paru krokach. Przede wszystkim dlatego, że im bliżej tylnej ściany podchodziła, tym robiło się chłodniej, nie to jednak ją powstrzymało. Grobową ciszę tego specyficznego sanktuarium śmierci przerwał cichy, niemniej dobrze słyszalny dźwięk. Przytłumione stuknięcie, jakby coś poruszyło się w pobliżu, nie w samej kostnicy, lecz w jednym z przyległych pomieszczeń.

Krętówna zamarła, nasłuchując. Następny stukot nie zaskoczył jej więc jak pierwszy odgłos, dzięki czemu zdołała namierzyć kierunek, z którego dobiegał. Dźwięk dobywał się z za jednych dziwnych drzwiczek. Czyżby Mateuszek-Trupuszek nie przyszedł tu sam? Czyżby ktoś jeszcze podzielał jego pasję? *Boże, niech to będzie facet*, zmówiła w myślach krótką modlitwę, mając nadzieję, że mimo wszystko spotka dzisiaj kogoś, kto spełni jej nowe najskrytsze marzenie.

Ruszyła dalej, wolno, ostrożnie, jakby bała się spłoszyć tego, kto hałasował. Zimno emanujące od ściany z drzwiczkami uświadomiło jej w końcu, z czym ma do czynienia. *To musi być chłodnia, w której przetrzymuje się ciała!* Czytała o takim cudzie techniki w jakimś kryminale dawno temu – w szpitalnej bibliotece brakowało interesujących i stymulujących pozycji – jednakże tamten opis był tak zwięzły i enigmatyczny, że dopiero teraz skojarzyła go z miejscem, na które właśnie patrzyła.

Przyłożyła ucho do lodowatej powierzchni metalu. *Tak, to właściwe drzwiczki*, wywnioskowała, poczuwszy lekkie drżenie. Dureń, który dał się tam zamknąć, chyba zaczynał odczuwać skutki mrożenia, ponieważ z każdą chwilą rzucał się coraz bardziej.

Po krótkim wahaniu sięgnęła do klamki i jednym szarpnięciem otworzyła na oścież grube, izolowane jak w prawdziwej lodówce drzwiczki. Był tam, widziała jego nogi; podeszwy mocno znoszonych butów i nogawki odprasowanych na kant modnych spodni z szerokim mankietem. *Dziwne*, pomyślała. Pacjentom, nawet tym z oddziału półzamkniętego, odbiera się cywilne ciuchy, aby nie mogli dać drapak, czyżby więc miała do czynienia z kimś, kto pojawił się tutaj dopiero co i został ukarany przez sanitariuszy w tak nietypowy sposób?

Świeże mięsko, z tą myślą wysunęła leże chłodni, odsłaniając podrygującego nieporadnie mężczyznę. Bóg ją jednak wysłuchał. Moment później, gdy w polu widzenia pojawił się tors nieszczęśnika, zrozumiała, dlaczego ma takie problemy – zapakowano go w doskonale jej znany, kremowy kaftan bezpieczeństwa.

Uśmiechnęła się szeroko, ponieważ los zrobił jej naprawdę wspaniały prezent. Grube płótno, w które zakutano mężczyznę i które unieruchamiało mu ręce za plecami, sięgało tylko do pępka, dzięki czemu od pasa w dół był... hm... dostępny. Parciane pasy krępujące jego nogi tuż pod kolanami sprawiały, że delikwent przypominał ofiarę poważnego wypadku drogowego.

– Zobaczmy, co masz w koszyczku, mój ty króliczku... – wymamrotała z lubieżnym uśmiechem Żaneta, przyklękając obok wysuniętego leża.

Sięgnęła obiema dłońmi do rozporoka unieruchomionego, ale wciąż ciskającego się mężczyzny. Poczowała zawroty głowy, ledwie dotknęła sztywnego i chłodnego materiału, lecz była tak podniecona faktem, iż za moment urzeczywistni kolejną fantazję, że zbagatelizowała tę dość dziwną dolegliwość. Sekundę później pociemniało jej jednak w oczach, poczuła się też słabo, jakby miała zemdleć. To ją otrzeźwiło, a nawet wystraszyło, ponieważ opadała z sił tak szybko, że nie umiała wstać. Nogi całkowicie odmówiły jej posłuszeństwa. Zachwiała się raz i drugi, po czym padła na twarz, prosto na leżącego mężczyznę, który wierzgał jeszcze przez moment, a następnie także zmarł. W kostnicy na powrót zapanowała cisza.

* * *

Zadrożny kłął jak szewc, przemierzając szybkim krokiem ciemny piwniczny korytarz. Zafundował Cieniawskiemu sesję, której tamten długo nie zapomni, ale to nie poprawiło mu humoru. Miał tylko nadzieję, że Gandera nie skrewi i zadba, aby chodzący trup zmienił się w zaślinione warzywo na najbliższe dwa, a może

nawet trzy tygodnie, choć to nie kompensowało Piotrowi choćby procenta utraconych bezpowrotnie doznań.

Nie tak wyobrażał sobie ten wieczór. Bardzo nie lubił, gdy jego plany brały w łeb, zwłaszcza te dotyczące seksu, a miał pełną świadomość, że nie zdoła odtworzyć atmosfery schadzki, nawet jeśli otworzy chłodnię i wyciągnie z niej zwłoki samobójcy – bo tylko tam mogły trafić, skoro sanitariusze nie zostawili ich na stole. *Zimny, sztywny jak deska trupa to nie stygnące wciąż ciało, na którym tak bardzo zależało Żanecie...*

Z tą myślą pchnął ciężkie drzwi, wstępując ponownie do kostnicy. Po zrobieniu kolejnego kroku zdębiał. Zobaczył kochankę, wijącą się na zwłokach samobójcy. Klęczała obok wysuniętego leża chłodni, spoczywając górną połową ciała na podbrzuszu nieruchomego mężczyzny, jej twarz znajdowała się dokładnie tam, gdzie powinna, by...

– Ty szurnięta zdiro! – wrzasnął, uświadamiając sobie, co Krętówna próbuje zrobić.

To było zbyt obrzydliwe nawet jak dla niego, choć zdarzało mu się intymnie dotykać martwych kobiet. Dotykać, ale nie...

Dopadł do Żanety, zanim zdążyła się podnieść. Chwycił ją za włosy, odciągnął od ciała samobójcy, wymierzając siarczysty policzek, po którym... zatoczył się, jakby sam dostał w twarz.

– Co jest? – mruknął zaskoczony, opierając się plecami o lodowatą ścianę chłodni. Zacisnął oczy, próbując zapanować nad zadziwiająco mocnymi zawrotami głowy, a zanim otworzył je ponownie, poczuł zimną dłoń chwytającą go za pasek. – Zostaw mnie, ty szma... – tyle tylko zdążył wycharczeć, gdyż paraliżujący

ból zacisnął mu krtań, uniemożliwiając dokończenie zdania.

Był lekarzem, natychmiast więc zrozumiał, co oznacza przenikający go spazm, potworny smród i dziwne poczucie, że jego wnętrzności poruszają się, jakby nagle ożyły.

Ta dziwka patroszy mnie jak ry...

Zwalił się bezwładnie na Żanetę, prosto w kłębowisko własnych jelit i krwi.

2

piątek, 9 sierpnia 1963, godzina 21:57

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Młyny boże ponoć miała powoli, ale jedno było pewne: polska służba zdrowia nigdy nie zdoła ich prześcignąć; choćby niebo się zawaliło albo Związek Radziecki upadł. A już zwłaszcza w piątki wieczorową porą. I nawet podczas strasznej epidemii, jaka dotknęła w ostatnich dniach odbudowywane wciąż ze zgliszcz miasto.

Doktor Gandra stracił ponad pół godziny na ściągnięcie do gabinetu wolnej pielęgniarki, kolejny kwadrans musiał poczekać, aż naburmuszona kobieta zrobi Cieniawskiemu porządną lewatywę, i drugie tyle na jego późniejsze obmycie, konieczne przed rozpoczęciem właściwego zabiegu. Od wydania polecenia minęło więc sporo czasu, a on nadal nie mógł włączyć aparatury. Pech chciał, że do dwudziestej drugiej pozostało niespełna pięć minut, zatem Bartosz po wyjściu kończącej właśnie pracę siostry stanął przed nie lada dylematem. Albo poczeka kolejne pół godziny, aż rozpoczynający trzecią zmianę personel dokona rutynowego przejęcia obowiązków i związanych z tym obchodów, albo zajmie się Cieniawskim sam.

Zlecony zabieg nie był specjalnie trudny. Unieruchomiony pasami pacjent nie mógł przeszkodzić lekarzowi w jego przeprowadzeniu nawet w normalnych okolicznościach – a doktor Ganderera w dodatku świetnie wiedział, że chory na syndrom Cotarda Mateusz nie będzie próbował się bronić, ponieważ miał w dupie, i to naprawdę bardzo głęboko, co lekarze wyprawiają z gnijącą w jego mniemaniu cielesną powłoką, którą opuścił przed paru laty. Szpitalne procedury wymagały niestety, aby wykonującemu elektrowstrząsy lekarzowi asystowała co najmniej jedna wykwalifikowana pielęgniarka bądź chociaż sanitariusz. Zalecenie to wprowadzono na wypadek wystąpienia powikłań – rzadkich, niemniej spotykanych, zwłaszcza że Bartosz zamierzał użyć większej dawki prądu niż zazwyczaj, ponieważ Zadrożny wyraził się jasno i dobitnie: Tym razem krnąbrny pacjent ma dostać za swoje. To nie miał być kolejny etap kuracji, lecz dotkliwa kara.

Decyzję pomógł Ganderze podjąć telefon z trójki, odebrany kilka minut po dwudziestej drugiej. Siostra Wiśniewska-Pokus poinformowała go wyniosłym tonem, że nie ma najmniejszych szans, aby oddelegowała na parter choć jedną dziewczynę, ponieważ tego wieczoru do szpitala nie dotarła prawie żadna z jej podwładnych przypisanych do trzeciej zmiany, co zdarzyło się po raz pierwszy od objęcia przez nią stanowiska oddziałowej.

Z tego, co Martyna wiedziała, na pozostałych oddziałach było podobnie, a nawet gorzej. Poza tym – przynajmniej jej zdaniem – sytuacja z pewnością nie ulegnie poprawie w najbliższym czasie. Te z pielęgniarek, którym udało się pojawić w pracy, twierdziły bowiem, że autobusy i tramwaje zjeżdżają masowo do zajezdni. Na

ulicach pojawiły się także liczne blokady – najbliższą milicja ustawiła przy wylocie mostu Trzebnickiego, dosłownie kilkaset metrów od szpitala – a co najgorsze, od strony centrum dobiegały odgłosy coraz głośniejszej strzelaniny. Tego ostatniego Bartosz nie musiał przyjmować na wiarę, wystarczyło otworzyć okno, by usłyszeć charakterystyczne pyknięcia i kasznięcia oddawanych gdzieś w oddali strzałów.

Coś działo się na mieście, coś, o czym nie dowie się niestety z radia, które nadawało wciąż te same uspokajające komunikaty na zmianę z urywkami buńczucznych przemówień pierwszego sekretarza i pozostałych partyjnych dygnitarzy, ani tym bardziej z prasy, ponieważ nowe wydanie „Trybuny Ludu” pojawi się dopiero rano, a w poprzednim nie było ani słowa o pogorszeniu sytuacji w izolatoriach. Zresztą Gandra wątpił, aby cenzura pozwoliła na opisanie nocnych wydarzeń w sposób choćby zbliżony do prawdy – pezetpeerowscy propagandyści pracowali już zapewne w zaciszach swoich wygodnych gabinetów nad oficjalną wersją komunikatów.

Mimo wszystko Bartosz czuł się bezpieczny.

Od kilku dni pomieszkiwał kątem w szpitalu, aby nie jeździć codziennie na drugi koniec miasta, aż na odległy Biskupin, ponieważ jako człowiek ostrożny i do tego medyk wolał nie ryzykować przypadkowego zakażenia, gdy przez prawie godzinę był skazany na towarzystwo innych pasażerów w zatłoczonych do granic możliwości autobusach i tramwajach – szczególnie że zagrożenie nadal było realne pomimo niezwykle sprawnych działań triumwiratu, masowych szczepień i rygorystycznie egzekwowanych

procedur przeciwepidemiologicznych.

– Dziękuję, Martynko – rzucił, kończąc krótką, ale też dającą do myślenia rozmowę.

Stojąc z nieodłożoną słuchawką w dłoni, przyjrzał się uważniej leżącemu na stole zabiegowym pacjentowi, który spoglądał tępo w sufit, jakby rzeczywiście opuścił duchem wymizerowane ciało. Pozbawiona wyrazu ziemista twarz Mateusza nabrała wprawdzie rumieńców za sprawą niedawno zaaplikowanej lewatywy, ale był to jedyny przejaw życia, jaki dało się na niej zaobserwować, jeśli nie liczyć rzadkich mrugnięć powiekami. Nawet oddech Cieniawskiego był tak wolny i płytki, że stojący kilka metrów dalej lekarz miał problem z dostrzeżeniem ruchów klatki piersiowej.

Bartosz zastanawiał się więc tylko chwilę. Od dłuższego czasu chciał sprawdzić pewną teorię, dość ryzykowną, to prawda, i ukutą podczas licznych suto zakrapianych dyskusji prowadzonych w wąskim gronie kolegów ze studiów, którzy byli przekonani o sukcesie nowatorskiego podejścia, z tym że...

Wymagało to popełnienia czynu nie mieszczącego się w granicach etyki lekarskiej, złamania podstawowej jej zasady: *primum non nocere*, po pierwsze, nie szkodzić... Czy jednak największe osiągnięcia medycyny nie były okupione ogromnym kosztem? Czyż ceną nie było cierpienie setek Bogu ducha winnych ludzi, którzy służyli za króliki doświadczalne dla dobra przyszłych pokoleń?

Weźmy choćby taką akupunkturę, metodę bardzo cenioną na Dalekim Wschodzie, a w Polsce niemal zupełnie nieznaną, praktykowaną przez kilku zaledwie lekarzy, w tym jednego

z najbliższych przyjaciół Bartosza. Starożytni medycy Państwa Środka osiągnęli mistrzostwo w tej dziedzinie po całych stuleciach badań, kosztem niezliczonych tysięcy ofiar, głównie jeńców wojennych i więźniów, z których większość odarto żywcem ze skóry, aby uczeni mogli poznać rozmieszczenie nerwów w ciele i zrozumieć zasady ich funkcjonowania.

Tak, postęp zawsze ma swoją cenę, czasami bardzo wysoką, lecz dzięki poświęceniu jednostek, niech będzie, że ich tysięcy, można później ocalić niezliczone miliony istnień. I zyskać przy tym nieśmiertelność, jak jeden z dawnych lekarzy tejże kliniki, niejaki Alois Alzheimer, którego dokonania uczyniły nie tak dawno sławnym na cały świat.

Bartosz podszedł do pacjenta, który mógł być jego przepustką do wieczności – o ile teoria, którą omawiał z przyjaciółmi tak często i tak szczegółowo, zyska dzisiaj potwierdzenie. Stając nad Mateuszem, oblizwał nerwowo wargi. Każdy medal ma dwie strony. W pamięci ludzi pozostawali wciąż inni niemieccy uczeni, eksperymentujący niecałe dwie dekady wcześniej na więźniach obozów koncentracyjnych. Ale... Ich odrażające czyny nie miały przecież na celu pokonania straszliwych schorzeń.

Gandera zdawał sobie sprawę, że Cieniawski może nie przeżyć tego zabiegu, z drugiej jednak strony... czyż ten człowiek sam nie wyrzekł się życia? Może nie tyle on, ile dręcząca go straszna choroba, niemniej liczył się efekt. *Kto, jak nie chodzący trup, nadaje się najlepiej do odegrania roli królika doświadczalnego?*

Bartosz miał też świadomość, że druga taka okazja może się nie nadarzyć. Żaden przełożony nie zezwoli mu przecież na

przeprowadzenie podobnego eksperymentu, co więcej, sama wzmianka o tym pomysle narazi go na anateme i środowiskowy ostracyzm. Zwłaszcza jeśli próba potwierdzenia ryzykownej bądź co bądź teorii zakończy się totalnym fiaskiem.

Za murami szpitala panował jednak coraz większy chaos, poza tym ze względu na braki kadrowe Bartosz został niejako zmuszony do przeprowadzenia zabiegu w pojedynkę, gdyż mimo niesprzyjających okoliczności nie mógł zignorować polecenia zastępcy ordynatora. Wreszcie – w razie ewentualnej śmierci pacjenta – sąd koleżeński oprze się wyłącznie na jego zeznaniach, skoro nie znajdzie innych świadków zdarzenia, a Gandera już teraz umiałby podać co najmniej trzy logicznie brzmiące i bardzo przekonujące wyjaśnienia swego działania.

W tych okolicznościach ryzyko wydawało się minimalne, a sumienie... Cóż, jak stwierdził pewien znany kardiochirurg zza żelaznej kurtyny: każdy dobry lekarz zapracował na własny cmentarz, taka jest bowiem cena ratowania ludzkiego życia nawet wtedy, gdy szanse powodzenia są naprawdę niewielkie.

Przygotowania Gandera rozpoczął więc od starannego zamknięcia drzwi na klucz. Nie spodziewał się wprawdzie, by w najbliższym czasie ktoś chciał zajrzeć do jego gabinetu, ale przezorny zawsze ubezpieczony, jak to mówią. Potem usiadł za biurkiem i wyciągnąwszy z szuflady gruby skoroszyt, wczytał się w spisane maczkiem wnioski będące owocem wielogodzinnych rozważań z ludźmi, którzy może i byli młodzi, ale znali się na rzeczy równie dobrze jak on, a co może ważniejsze, mieli znacznie szersze horyzonty od niewątpliwie mądrych i godnych szacunku,

lecz stanowczo zbyt zachowawczych mentorów.

Spisał na osobnej kartce najważniejsze parametry oraz co istotniejsze wytyczne, aby nie musieć się zdawać na pamięć, która w takiej sytuacji mogła przecież zawieść, podczas gdy on – choć zamierzał dokonać czynu nagannego i niewątpliwie niemoralnego – miał się za człowieka rozważnego i niezwykle odpowiedzialnego. Wolał sto razy dmuchnąć na zimne, niż raz się sparzyć. I naprawdę zależało mu na tym, aby Cieniawski opuścił ten gabinet na własnych nogach – jeśli Bóg pozwoli, uzdrowiony, a w każdym razie mniej chory niż przed zabiegiem. Jeśli tak się stanie, jeśli Bartosz zyska dowód na trafność swoich przewidywań, cały świat stanie przed nim otworem.

Muszę to tylko umiejętnie rozegrać...

Uzbrojony w przekonanie o własnej słuszności i sprawdzone po trzykroć wyliczenia stanął obok stołu zabiegowego, jak szumnie nazywano obitą skajem kozetkę na metalowym stelażu, wyposażoną w skórzane pasy, którymi przypinano pacjenta na wysokości kolan, lędźwi i klatki piersiowej. Nogi w kostkach i ręce w nadgarstkach trafiły już wcześniej w specjalne zapięcia. Wszystkie te zabezpieczenia miały na celu zapobieżenie ewentualnym urazom, które groziły pacjentowi podczas wywoływanego elektrowstrząsami napadu drgawek – a ten przy nowych ustawieniach aparatu mógł trwać nawet do osiemdziesięciu sekund. Przy mniejszych dawkach prądu wystarczyło przytrzymanie głowy pacjenta, co należało do zadań asystującej przy zabiegu pielęgniarki; przy mocniejszych porażeniach natomiast trzeba było kilku osób, aby potraktowany impulsem

człowiek nie spadł w trakcie drgawek na podłogę. Niestety, jeszcze w pięćdziesiątym dziewiątym, zanim docent Demianowska została nową kierowniczką kliniki, zarządzający nią chwilowo decydenci wprowadzili szereg cięć budżetowych i zredukowali zatrudnienie, skutkiem czego zaszła konieczność gruntownej rewizji wielu procedur, aby dostępny personel mógł zapewnić sprawne działanie wszystkich komórek organizacyjnych szpitala. Dlatego właśnie stanowisko do elektrowstrząsów zostało wyposażone w grube pasy, a liczbę osób koniecznych do przeprowadzenia zabiegu ograniczono do niezbędnego minimum: lekarza oraz asystującej mu pielęgniarki bądź sanitariusza.

Gandera przygryzł dolną wargę. Mimo że już się zdecydował, nadal dręczyły go wątpliwości. Zanim włączył i skalibrował aparaturę, ze trzy razy naszła go ochota na przerwanie przygotowań i wezwanie pomocy, nawet gdyby miało go to kosztować kolejną godzinę opóźnienia. Przemógł się jednak, powtarzając sobie w duchu, że zwycięzców nikt nie sądzi, a on pragnął być kimś więcej niż podrzędnym, tyrającym ciężko psychiatrą bez perspektyw na szybką karierę.

Cieszył się wprawdzie względami samego profesora Niemczuka, lecz że mentor nie należał do ludzi przebojowych, Bartosz nie spodziewał się wielkiego poparcia z jego strony, zwłaszcza w najtrudniejszej, początkowej fazie walki o zatwierdzenie wyniku dzisiejszego testu.

Gandera przełknął głośno ślinę. Wszystko było gotowe. *Teraz albo nigdy.*

Zwilżył wacikami skronie Cieniawskiego, wsunął na nie

elektrody, ustabilizował je pojedynczym pasem, po czym bardzo powoli odszedł za parawan, gdzie na metalowym stoliku spoczywała ebonitowa skrzynka emitera. Palec wskazujący Bartosza zawisł nad włącznikiem. Lekarz poruszył nim, imitując aktywowanie urządzenia, po czym wykonał szybki obrót i doskoczył do kozetki z unieruchomionym Mateuszem. *Jest dobrze*, uznał, wyliczywszy, że potrzebuje na to wszystko niespełna dwu sekund.

W razie normalnego zabiegu czas ten wystarczyłby do pochwycenia głowy pacjenta i wsunięcia mu do ust specjalnego gazika, aby ten podczas drgawek nie odgryzł sobie języka ani nie uszkodził zębów, jednakże nowatorstwo metody Gandery miało polegać na zwiększeniu efektywności impulsów zabiegowych o krótkiej szerokości, niskiej częstotliwości i wydłużonym trwaniu, co oznaczało, że będą powtarzane aż przez osiem sekund, a więc także w trakcie wywołanych nimi drgawek, co rodziło spory problem, ponieważ Bartosz musiał utrzymać przez ten czas nie tylko głowę pacjenta, ale też elektrody na jego skroniach, a to będzie możliwe tylko wtedy, gdy znajdzie się na miejscu, zanim Mateusz zareaguje.

Raz kozie śmierć, pomyślał, wykonawszy trzy próby na sucho. Wszystko wskazywało na to, że powinien zdążyć. Gazik umieścił w ustach Cieniawskiego już wcześniej, choć wiedział, że nie powinien tego robić, ponieważ wyplucie go – choćby bezwiedne – skomplikuje sprawę. Nie miał jednak innego wyjścia, dotychczasowe symulacje uzmysłowiły mu, że nie zdoła zrobić trzech rzeczy naraz. Wepchnął więc gruby zwitek gazy głębiej, niż

było to konieczne, przeżegnał się szybko i po raz ostatni pochylił nad emiterem.

Palec okryty gumową rękawicą przesunął chromowaną dźwigienkę przełącznika. Gandera zaczął wykonywać przećwiczony obrót, ale gdy to robił, ze zdumieniem zauważył, że czas zwolnił. Z przerażeniem spoglądał na gazik, który sunął łagodnym łukiem ku podłodze. Cieniawski nie był aż tak oderwany od rzeczywistości, jak mogłoby się zdawać. Mimowolna próba pochwycenia wyplutego przez niego protektora kosztowała Bartosza dodatkowe ułamki sekund, które przesądziły o niepowodzeniu całej operacji. Elektrody zsunęły się ze skroni pacjenta przy pierwszym wierzgnięciu, dosłownie moment przed tym, zanim Gandera zdążył je pochwycić, jednakże to był najmniejszy problem doktora.

Z ust rażonego trysnęła krew. Niezabezpieczone niczym zęby musiały uszkodzić wysunięty podczas splunięcia język. Natychmiastowe unieruchomienie głowy i przytrzymanie kurczowo zaciśniętych szczęk nie poprawiło sytuacji, lecz dodatkowo ją pogorszyło. Skrępowany pasami Mateusz zaczął się krztusić, oczy wyszły mu z orbit, moment później spieniona jucha buchnęła strugami z jego nosa.

– Kurwa mać! – Spanikowany Gandera odskoczył od preżącego się ciała. – Kurwa mać...

Po kilkunastu sekundach rżący głośno i plujący krwią pacjent znieruchomiał, lecz Bartosz nie podszedł do niego, nie przekręcił mu głowy na bok, jak powinien to zrobić, aby dochować procedur. Świadomość porażki osadziła go w miejscu, dosłownie

sparaliżowała, tak że dopiero po dłuższej chwili otrząsnął się jak – nie przymierzając – wychodzący z wody pies. Podszedł krok bliżej, przytknął palce do szyi Mateusza, ale choć wyczuł puls, to wpływ krwi był zbyt duży, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. *Ten człowiek skona w ciągu najbliższej minuty i nic nie jest w stanie tego zmienić.*

Gandera, klnąc pod nosem, rozejrzał się po gabinecie. Nie mógł tutaj zostać. Musiał uciekać. Panika zaczęła brać górę, zatem nie zastanawiając się dłużej, ruszył w kierunku drzwi. Nie trudził się zdejmowaniem fartucha, nie zabrał też wiszącej przy wejściu marynarki. Wypadł na korytarz i dopiero tam przystanął, opierając się plecami o zatrzaśnięte przed chwilą drzwi gabinetu.

Zabiłeś go, durniu. Zabiłeś... Ta myśl wyparła wszystkie inne, nawet uzasadnione stwierdzenie, że Cieniawski sam był sobie winien, ponieważ wykorzystał okazję, aby osiągnąć upragniony stan niebytu, o którym marzył od tak wielu lat.

Rozum zawsze ustępuje panice, dlatego Gandera zrobił to, co podpowiadał mu strach. Zamknął gabinet na cztery spusty i chowając klucz do kieszeni, ruszył w stronę głównego wyjścia. Wyszedł na zewnątrz, nie reagując na coraz bardziej natarczywe wołania portiera.

3

piątek, 9 sierpnia 1963, godzina 23:39
posterunek milicji na moście Trzebnickim

Sierżant Dubiłowicz uważnie się przyglądał stłoczonym na przystanku ludziom. Ze sto razy powtarzał tym jełopom, że nie mają na co czekać, ponieważ wszystkie tramwaje i autobusy pojeżdżały już do zajezdni albo zostały zatrzymane na pętach, a ci nic, dalej sterczeli na chodniku jak te... Zmełł cisnące mu się na usta przekleństwo.

Co gorsza, w miarę upływu czasu złąziło się ich coraz więcej, a on miał do dyspozycji tylko dwóch ludzi, kaprała Gieronia i szeregowego Kozłowskiego, dosłanego wpół do dziesiątej kierowcę gazika, dzięki któremu mogli skuteczniej wykonać rozkaz, czyli zablokować oba tory i biegnący środkiem pas brukowanej jezdni. Odtąd nie przepuścili na drugą stronę Odry ani jednego człowieka, choć wielu próbowało opuścić tą drogą miasto, zwłaszcza po tym jak od strony izolatoriów zaczęły dobiegać odgłosy strzelaniny.

– Wy tłumacz mi, Konrad, na co oni czekają? – rzucił poirytowany sierżant, gdy do tłumu na przystanku dołączyły kolejne trzy osoby.

– Ktoś im nagadał, że na pętli stoją dwie siódemki i piętnastka –

odparł młody kapral, wskazując głową za most.

– Bo i stoją – dodał najwyższy z nich trzech Kozłowski, który widział te tramwaje na własne oczy, ponieważ przyjechał od strony Polanki.

Władza ludowa przeniosła go do Wrocławia aż ze Zbąszynka już na początku sierpnia, w ramach akcji wzmocnienia garnizonu dolnośląskiego. Jako jeden z wielu miał stanowić wsparcie tutejszego garnizonu do czasu opanowania epidemii czarnej ospy.

– I co z tego, że tramwaje stoją, skoro się stamtąd nie ruszą. – Dubiłowicz pokręcił głową, nie spuszczać tłumy z oczu. – Motorniczowie i konduktorzy dawno zwiali do domów.

Zaczynał się obawiać, że sytuacja wymknie się spod kontroli, i to raczej prędzej niż później. Ludzie stawali się coraz bardziej niespokojni, a napływający nieustannie od strony centrum uciekinierzy nie przynosili uspokajających wieści. Około godziny temu pojawił się wśród nich nawet jakiś lekarz albo sanitariusz, w każdym razie ktoś noszący biały kitel. Wyczekujący na tramwaj obsiedli go natychmiast jak przysłowiowe muchy, lecz zbył ich kilkoma gniewnymi warknięciami, szybko więc znaleźli sobie nowe ofiary: kilkusobową rodzinę taszczącą na plecach toboły tak wielkie, że pomieściłyby dorobek całego życia. Z daleka wyglądała jak uchodźcy opuszczający Festung Breslau w czterdziestym piątym.

Było tylko kwestią czasu, kiedy ten tłum ruszy. Sierżant otworzył drzwiczki służbowej warszawy, wsunął się za kierownicę i sięgnął po mikrofon radiostacji.

– Zero siedem do centrali – podał nadany mu wieczorem

niezbyt fortunny kryptonim, ale tym razem nikt nie stroił sobie z niego żartów. Ludzie obsługujący centralkę na komendzie byli równie wystraszeni jak cywile z pobliskiego przystanku. – Połączcie mnie z dyżurnym, odbiór.

– Meldujcie, zero siedem. – Marek usłyszał zachrypnięty głos, rozmówca nie raczył się nawet przedstawić, co było dziwne, zważywszy na fakt, że centrala zawsze nalegała na ścisłe trzymanie się procedur i regulaminu.

– Potrzebujemy wsparcia – rzucił pośpiesznie, przeczuwając, że ta rozmowa nie potrwa długo. – Przy moście zgromadziło się ponad pięćdziesiąt osób, a ja mam do dyspozycji tylko dwóch funkcjonariuszy...

– Były jakieś próby przełamania kordonu? – przerwał mu bezceremonialnie oficer dyżurny, przekrzykując harmider panujący w pomieszczeniu centrali, co także nie było normalne.

– Nie nazwałbym tego, co tu się działo, próbami przełamania kordonu, ale już ze trzy razy musieliśmy odprawiać zaniepokojonych cywilów. Tyle że wtedy było tu góra kilkanaście osób, z czego zdecydowaną większość stanowiły kobiety, a teraz...

– Macie pozwolenie na użycie broni – uciął oficer dyżurny. – Z tym że strzelajcie im w nogi. Wyłącznie w nogi, rozumiano?! Nie wolno wam nikogo zabić ani poważnie ranić!

– Ale jak to?... – Dubiłowicza zatkało, nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Mam dla was dwie wiadomości, zero siedem. Złą i dobrą. Pierwsza jest taka, że przez najbliższą godzinę nie zdołamy wysłać do was wsparcia. Druga powinna was ucieszyć. Około pierwszej

zluzuje was wojsko. Reasumując: do tego czasu radźcie sobie sami, tylko pamiętajcie: choćby niebo waliło wam się na głowę albo ziemia paliła pod nogami, nie wolno wam przepuścić przez ten most nikogo, powtarzam, nikogo. Jeśli zawiedziecie... – Dyżurny zawiesił znacząco głos. – Bez odbioru – dodał i rozłączył się, nie czekając na reakcję Dubiłowicza.

Sierżant spoglądał z niedowierzaniem na martwą radiostację. Ponownie nacisnął klawisz nadawania, otworzył usta, ale po chwili namysłu cisnął mikrofonem na przednią kanapę.

„Radźcie sobie sami. Macie pozwolenie na użycie broni”... – te zdania dźwięczały mu wciąż w uszach, jakby zostały nagrane i teraz były w kółko odtwarzane.

– Konrad! – przywołał kaprała, młodego, wiecznie uśmiechniętego chłopaka, który nie był co prawda rodowitym wrocławianinem, ponieważ urodził się i wychował w odległym Radomsku, ale od jakiegoś czasu mieszkał i pracował w stolicy Dolnego Śląska. Służyli razem od prawie roku i zdaniem Marka tworzyli zgrany zespół.

– Co jest? – Gieron oparł się o otwarte drzwiczki, lecz kpiący uśmieszek spelzł mu z ust, gdy zauważył minę przełożonego.

– Dupa jest – odparł sierżant. – Przez kolejną godzinę możemy zapomnieć o wsparciu.

– Ale im już naprawdę niewiele trzeba... – Kaprał dyskretnie wskazał okupującą chodnik tłuszczykę. – Na moje oko, najdalej za kwadrans zacznie się ostra jazda.

– Centrala dała nam pozwolenie na użycie broni – wymamrotał Dubiłowicz, patrząc Konradowi prosto w oczy ukryte za niezbyt

mocnymi szklami okularów.

– Że jak?

Gieronowi nie wydano służbowego pistoletu, Kozłowski jako szeregowiec i kierowca nie miał go tym bardziej, tak więc obowiązek strzelania do ludzi spadał na dowódcę patrolu, któremu ten pomysł wcale, ale to wcale się nie podobał. Zwłaszcza że miał w magazynku tylko sześć naboí, z czego dwa pierwsze były ślepakami.

– Trzeba będzie improwizować, bo ja czarno to widzę... – zaczął mówić, ale zamilkł, słysząc wołanie Kozłowskiego.

– Towarzyszu sierżancie! – Szeregowiec wskazywał w stronę zablokowanego mostu.

Dubiłowicz obrócił się, nie wysiadając. Z wnętrza radiowozu także mógł obserwować przeprawę. Ktoś zbliżał się do blokady. Mająca w półmroku postać pokonywała właśnie pas drogi przecinającej wał, zbliżając się środkiem jezdni do przęsła biegnącego nad kanałem powodziowym.

– Ki diabeł? – mruknął Konrad, który też spojrział w tamtym kierunku.

Ciemnowłosa kobieta słusznej budowy, wysoka, ubrana w czarne palto, maszerowała ku nim zdecydowanym krokiem, tylko od czasu do czasu zerkając przez lewe ramię, jakby się czegoś obawiała. Zwolniła dopiero kilka kroków przed blokującymi most wozami, na widok wychodzącego jej naprzeciw milicjanta.

– Stać! – zawołał Dubiłowicz, unosząc lewą dłoń w ostrzegawczym geście, a prawą opierając na zapięciu kabury. – Obywatelka zawróci. Ta część miasta została objęta ścisłą

kwarantanną.

– Kiedy ja do męża muszę – odpowiedziała pośpiesznie, na wdechu, sięgając równocześnie do torebki po papiery. – Jodłowska jestem, Magda, z domu...

– Kwa... ran... tan... na – przerwał jej bezceremonialnie, sylabizując to słowo, jakby miał przed sobą cudzoziemca albo osobę niespełna rozumu.

– Błagam was, towarzyszu sierzancie – pisnęła kobieta, okazując mu dowód osobisty. – Adam, znaczy mąż mój, pracuje w resorcie, jak wy. Ma teraz nockę w więzieniu, tu zaraz, niedaleko. – Wskazała kierunek. – Muszę się z nim pilnie zobaczyć.

– Miasto zostało zamknięte. Bez pisemnego zezwolenia triumwiratu nikt nie może wejść ani wyjść poza kordon sanitarny.

– Ale on musi wiedzieć... – wymamrotała, blednąc. – Jego ojciec ciężko zaniemógł!

– Dlaczego do niego nie zadzwonicie? – zapytał stojący obok dowódca kapral.

– Jak mam to zrobić? – warknęła rozeźlona Jodłowska. – Chyba zębami, dwa razy o rynnę, raz o parapet.

– Wy sobie jaj z władzy ludowej nie róbcie! – ostrzegł ją Dubiłowicz.

– Ja sobie z was niczego nie robię – wypaliła rozjuszona kobieta. – Centrala od ponad godziny nie odpowiada! Nie sposób się nigdzie dodzwonić! Nawet na pogotowie!

– Nic na to nie poradzę. Widzicie, co tam się wyprawia. – Wskazał głową na centrum, zza którego dobiegała stłumiona odległością, niemniej wciąż dobrze słyszalna palba. Chyba

intensywniejsza niż jeszcze godzinę temu.

– Ale jego ojciec umiera. On musi... – Głos jej się załamał.

Gieroń pochylił się do sierżanta.

– W sumie to zakazali nam wypuszczać ludzi z terenu objętego kwarantanną – zauważył. – W drugą stronę...

– Nie ma mowy – uciął Dubiłowicz.

Nie miał zamiaru i nie mógł ustąpić. Ludzie na przystanku przy skwerku już zaczynali szemrać. Gdyby zobaczyli, że patrol przepuszcza tę kobietę, z pewnością ruszyliby hurmem na blokadę, co nie skończyłoby się dobrze ani dla nich, ani dla mundurowych.

– Posłuchajcie... – zwrócił się do Magdy, ale zanim zdołał przedstawić swoją propozycję, że pozwoli jej skorzystać z radiostacji w wozie, by przez łącza milicyjne porozumiała się z więzieniem, za jego plecami ktoś chrząknął znacząco.

Dubiłowicz obrócił się na pięcie, podobnie jak obaj jego podwładni. Trzy kroki od nich stał mężczyzna w białym kitlu, który dołączył do tłumu oczekujących jakiś czas temu.

– Wybaczcie, towarzysze – odezwał się, gdy spojrzeli na niego groźnie. – Nie chciałbym się narzucać, ale czy są jakieś szanse na ponowne uruchomienie komunikacji miejskiej? Ja na Sępólno muszę się dostać.

– Tyle wiem, co i wy – zgasił go sierżant. – Kazano nam odsyłać wszystkich na dworzec.

– Ale tam podobno tylu ludzi koczuje, że nie sposób zapalki wetknąć – skontrował medyk.

Otwierający usta Dubiłowicz kątem oka dostrzegł, że ktoś przemyka za bagażnikiem radiowozu.

– A wy gdzie?! – wrzasnął.

Odrzucił zaskoczonego Ganderę, by ruszyć w pościg za uciekającą Jodłowską, która wykorzystując moment nieuwagi funkcjonariuszy, potruczała ku uliczce biegnącej wzdłuż kanału. Zanim sierżant zrobił trzy kroki, spostrzegł coś, co zaniepokoiło go jeszcze bardziej. Obserwujący zajście tłum ruszał właśnie z przystanku i parł szeroką ławą prosto na blokadę.

– Kurwa mać – zaklął pod nosem, szarpiąc się z zapięciem kabury.

Nie chciał używać broni, ale nie miał innego wyjścia. Jeśli nie zrobi tego, tutaj, teraz, straci kontrolę nad sytuacją i dopuści do przerwania kordonu sanitarnego, za co – nie miał najmniejszych wątpliwości – spotka go straszna kara.

Uniósł tetetkę nad głowę i pociągnął dwukrotnie za spust. Huk wystrzałów odbił się echem od kamienic, zagłuszając na moment odgłosy palby.

– Ani kroku dalej! – krzyknął, zanim przestało mu dzwonić w uszach.

Tłum go posłuchał, lecz kobieta, która na odgłos pierwszego wystrzału przyklękła skulona na chodniku, poderwała się, zanim umilkł, i podjęła bieg w kierunku bocznej uliczki. Jeszcze kilka kroków i skręci, znikając za przesłaniającą widok kępą zarośli.

Dubiłowicz przełknął ślinę. Pozbył się ślepaków, zatem jeśli znów pociągnie za spust... Z tej odległości nie mógł nie trafić w tak duży cel. Uniósł broń, ustabilizował ją na wysokości twarzy, ale w ostatniej chwili się zawahał. *Może Gieroń ma rację?* Na komendzie podczas odprawy zakazano mu wypuszczać ludzi za

Odrę, nie otrzymał jednak żadnych instrukcji, jak postępować z tymi, którzy zechcą dostać się do centrum. Z drugiej strony oficer dyżurny w niedawnej rozmowie wyraził się jasno. Nikt nie miał prawa przejść przez ten most.

Sekunda zawahania wystarczyła, by tłum ruszył ponownie. To zmusiło sierżanta do działania. W panice nacisnął spust, i to dwukrotnie, zanim w ogóle się zorientował, co robi. Kobieta miotnęła raz i drugi, jakby została mocno pchnięta w plecy. Zatoczyła się, uderzając bokiem o metalowe ogrodzenie dzielące chodnik od zbocza wału. Zrobiła jeszcze trzy chwiejne kroki, po czym padła na kolana i zwała się bezwładnie na ziemię.

– Czy wyście całkiem oszaleli?! – zawył medyk, przebiegając obok zdębiałego milicjanta, do którego dopiero teraz zaczynało docierać, co zrobił.

Szturmujący posterunek uciekinierzy zatrzymali się, tym razem na dobre. Widok postrzelonej kobiety zadziałał na nich jak wzrok bazyliuszka. Ludzie zamarli, zamilkli w momencie i dopiero po dłuższej chwili zaczęli się ostrożnie zbliżać do miejsca, w którym młody lekarz udzielał ofierze pierwszej pomocy.

– Ja pierdziele – mruknął Kozłowski, stając obok sierżanta.

Strach przebijający z jego głosu wyrwał Dubiłowicza z głębokiego stuporu.

Sytuacja została opanowana, ale na jak długo? Zerknął w głąb ulicy. W stronę mostu szło kilka grup uciekinierów. W sumie ponad dwadzieścia osób. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. Musiał utrzymać ten posterunek jeszcze przez prawie godzinę.

Nie mam na to najmniejszych szans, uświadomił sobie, blednąc.

– Trzeba coś wykombinować – rzucił do podwładnych. – I to szybko.

W tym samym momencie gdzieś daleko po prawej rozgorzało inne starcie. To już nie były kasznięcia pojedynczych strzałów z tetetek czy karabinów, lecz prawdziwa kanonada. Ktoś tam, w okolicach Osobowic albo jeszcze dalej, używał – i to na masową skalę – broni maszynowej.

* * *

Gandera przyklęknął obok postrzelonej kobiety. Najpierw sprawdził umiejscowienie ran. Pierwsza kula weszła nisko, na wysokości miednicy, druga po nieuniknionym podbiciu lufy jakieś czterdzieści centymetrów wyżej, na wysokości łopatki.

Jeśli trafiła w kość...

Jedno spojrzenie na krew wypływającą z ust ofiary uświadomiło mu, że pocisk uszkodził płuco, na szczęście niezbyt mocno. To jednak nie zmieniało stanu rzeczy. Założenie opasek uciskowych i prowizorycznych opatrunków, które zrobił, wyrywając stojącej w pobliżu kobiecie chustę i oddzierając część poły wykrochmalonego szpitalnego fartucha, nie na wiele się zda. *Ofiara nie przeżyje, jeśli natychmiast nie otrzyma specjalistycznej pomocy...*

Bartosz spojrział w kierunku skweru i znajdującego się za nim szpitala. Na neurologii była dobrze wyposażona sala operacyjna. Wprawdzie brakowało tam teraz chirurga, który mógłby fachowo przeprowadzić zabieg, ale to przecież szczegół. Ta kobieta stanowiła dla niego szansę na odkupienie win. Jeśli zdoła ją uratować, to być może...

Zerwał się na równe nogi. Spojrzał na otaczających go ludzi, którzy zdążyli utworzyć wokół nich szczelne półkole, lecz właśnie zaczynali się bojaźliwie cofać, ponieważ gdzieś na zachodzie, chyba za Odrą, także zaczęto strzelać. I jego zaskoczyła ta kanonada, ale nie miał czasu na myślenie. Musiał działać, jeśli chciał ocalić tę kobietę.

– Ty! – Wycelował palcem w wysokiego postawnego mężczyznę, zapewne robotnika kolejowego, sądząc po upapranych smarem drelichach.

– Ja? – zdziwił się tamten.

– Tak, ty. – Gandra wyciągnął go z tłumu. – Trzeba przenieść ranną do szpitala. Tu niedaleko, za tym skwerem... – Wskazał zarośla po drugiej stronie bocznej uliczki.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale! – uciął Bartosz. – Pomożesz mi. Podnosimy ją na trzy.

Nawykły do posłuchu robotnik wykonał polecenie, lecz zanim ruszyli, w otaczającej ich ciżbie rozległ się paniczny wrzask.

– Doktorze! – krzyczała jakaś kobieta. – Mój mąż zasłabł!

Widok krwawiącej ofiary nie był przyjemny, nie mówiąc już o szokującym fakcie użycia przez milicjanta ostrej amunicji wobec bezbronnej kobiety. Takie rzeczy ogląda się zazwyczaj w *Kobrze*, nie na ulicach, Bartosz nie dziwił się więc specjalnie, że ktoś bardziej wrażliwy mógł stracić przytomność albo doznać udaru czy najzwyczajszego zawału. Nie będąc w stanie zająć się tym przypadkiem, przypomniał sobie, że w czekającym na przystanku tłumie widział kilka pielęgniarek z drugiej zmiany, które podobnie

jak on mieszkały daleko i zważywszy na okoliczności, wołały poczekać na ponowne uruchomienie tramwajów. Rozglądając się pośpiesznie, wyłowił spośród gapiów znajomą twarz.

– Siostrzo Kowalska! – zawołał, poprawiając chwyt, ponieważ ranna bezwładnie zwisająca z jego ramienia okazała się znacznie cięższa, niż się spodziewał. – Zajmijcie się tym panem! – Przeniósł wzrok na rozhisteryzowaną damulkę klęczącą obok pobladłego mężczyzny w starszym wieku. – Proszę się uspokoić. Siostra Agnieszka to dyplomowana pielęgniarka, udzieli wam pomocy równie szybko i sprawnie jak ja!

Klnąc pod nosem na to opóźnienie – w razie krwotoku liczyła się każda sekunda – ruszył szybkim krokiem w stronę szpitala.

– Pójdziemy przez skwerek, tak będzie szybciej – zawyrokował, gdy znaleźli się za rozwidleniem ulic.

Tylna brama kliniki była o tej porze zamknięta, przez co ranna mogła się wykrwawić na śmierć, zanim zdołają dobudzić ciecia i nakłonić go, by ich wpuścił.

– Jak się nazywacie? – wysapał Gander, spoglądając na przymusowego pomocnika.

– Bronicki – odparł tamten spokojnie, jakby niósł torbę z zakupami, a nie nieprzytomną kobietę. – Ale możecie mi mówić po imieniu, jeśli chcecie. Marek jestem.

– A ja Bartosz – przedstawił się lekarz. – Pójdziemy, kolego, jak najkrótszą drogą przez te krzaki.

– Ciemno tam choć oko wykol – zauważył robotnik, lecz w jego głosie nie dało się wyczuć strachu.

Była to raczej praktyczna uwaga, zwykle stwierdzenie faktu.

– Widzę, ale możesz mi wierzyć, że to najszybsza i najkrótsza droga do szpitala. Wydeptaliśmy tam całkiem szeroką ścieżkę – wyjaśnił.

– Skoro tak mówicie. – Bronicki nadal zwracał się do niego per „wy”, co Bartoszowi nie wydało się jednak dziwne. Większość znanych mu osób po prawie dwu dekadach indoktrynacji nie odzywało się do obcych w inny sposób. Socjalistyczna nowomowa po śmierci Stalina straciła wprawdzie na ważności, niemniej za sprawą wszechobecnego partyjniactwa wciąż kaleczyła piękno języka polskiego.

Przyśpieszyli kroku, gdy ranna jęknęła. Obaj rozumieli, że jeśli kobieta zacznie odzyskiwać przytomność pośrodku skweru, mogą mieć nielichy problem. Wystarczy, że przerażona bólem i mrokiem zacznie się szarpać... Na szczęście po cichym pomruku i jednym niezbyt silnym spazmie Jodłowska znów zwiśla bezwładnie, za co Gandera natychmiast podziękował w myślach Bogu.

Moment później od strony posterunku doleciał histeryczny pisk.

– Szlag... – mruknął zdyszany lekarz.

Wysoki kobiecy krzyk mógł oznaczać tylko jedno: reanimowany mężczyzna zmarł. *Teraz się zacznie*, westchnął Bartosz w duchu. Pozostała mu tylko nadzieja, że pielęgniarki będą miały na tyle rozumu, by nie szturmować blokady z resztą hałastry.

– Wiecie, co się dzieje na mieście? – zapytał niespodziewanie Bronicki.

Teraz w jego głosie pobrzmiwał strach, lecz co ciekawe, mężczyzna wciąż nie był zdyszany.

– Nie... – sapnął Bartosz.

Nie chciał marnować tchu, którego powoli mu brakowało, tymczasem byczkowi zebrało się na rozmowę. Nienawykły do długiego wysiłku fizycznego lekarz nie mógł się pod tym względem równać z robotnikiem, tak więc bardzo szybko stał się większym obciążeniem niż pomocą.

– Może ja ją wezmę na ręce, a wy mnie prowadźcie – zaproponował Bronicki, gdy Gandera zachwiał się mocniej po kilku kolejnych, coraz krótszych krokach.

– Dasz radę?

– Co mam nie dać. To przecież tylko baba.

– Świetnie. Tą ścieżką, którą teraz idziemy, dotrzemy na Zegadłowicza – wychrypiał, przystając pośrodku mrocznego ustronia. – Tam zaczyna się teren należący do kliniki.

Zatrzymali się tylko na moment. Bartosz pozwolił Markowi przejąć ciężar, sam zaś pochylił się, odetchnął trzykrotnie, a gdy ponownie wyprostował plecy... od strony mostu dobiegły przeraźliwe wrzaski. Ludzie darli się, jakby ich ktoś odzierał ze skóry. Lekarz się obejrzał, ale zaszli już za daleko, by mógł cokolwiek zobaczyć. Krzewy przesłaniały widok nie tylko na most, ale i na rzekę. Nie chcąc ani nie mogąc zawrócić, ruszył za Bronickim. Niemal natychmiast zauważył, że tamten się chwieje.

– Co jest? – zapytał, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Nogi ugięły się pod Markiem, zatańczył na ścieżce, jakby kolana miał z waty. Przyklęknął, lecz zaraz spróbował wstać, jak sztangista zmagający się ze zbyt dużym ciężarem, niestety, nie podołał. Zakwilił przy tym jak dziecko, co zabrzmiało bardzo dziwnie, następnie zaś cisnął niesioną kobietą w zarośla, po czym

zakołysał się ostatni raz i padł na twarz.

Czyżby też doznał zawału? Zaskoczony Gandra przypadł do niego, obrócił go na plecy, przyłożył mu palce do szyi, jednakże nie wyczuł pulsu. Wstał więc pośpiesznie, by sprawdzić, co z Jodłowską. Kobieta została rzucona z takim impetem, że z pewnością doznała kolejnych obrażeń, kto wie, czy nie śmiertelnych. Co gorsza, odzyskała właśnie przytomność i w szoku gramoliła się z ziemi kilka kroków dalej, w krzakach, od których z trudem się odcinała w zalegającym wokół mroku.

Bartosz nie zdążył zrobić kroku w jej kierunku. Zamarł, czując mocny chwyt w okolicach prawej kostki. Choć było ciemno, nagle doznał wrażenia, że mrok gęstnieje, jakby świat przestawał istnieć. Nawet wrzaski dobiegające od strony mostu cichły raptownie, zupełnie jakby Gandra oddalał się od Trzebnickiej z prędkością wystrzelonego pocisku. Szarpnął się przerażony, lecz temu, kto go trzymał, nie brakowało siły; odpowiedział na desperacką próbę uwolnienia szybkim pociągnięciem, po którym Bartosz wyłożył się jak długi. Co ciekawe, nie poczuł bólu w stłuczonym boku, choć powinien. Miał za to wrażenie, że jego ciało staje się bardzo wiotkie, a potem sztywnieje, jakby było... martwe. Otworzył usta do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Lekarz znieruchomiał na ścieżce tuż obok poruszającego się niemrawo Bronickiego.

* * *

Dubiłowicz ustawił się w wąskim przejściu między gazikiem i warszawą. Jego podwładni, także trzymając w dłoniach pałki i tarcze, blokowali dostęp do mostu od strony chodników. Cała

trójka czekała w napięciu na nieunikniony ich zdaniem szturm zdezorientowanych uciekinierów, ci jednak skupili się chwilowo wokół pielęgniarki reanimującej starszego mężczyznę.

– To się nie uda, to się nie może udać... – mamrotał wystraszony Kozłowski.

– Nie defetyzujcie – ofuknął go sierżant, choć i jemu głos się łamał.

Modlił się w myślach, żeby ranna kobieta przeżyła. Wprawdzie przełożeni nie powinni go winić za jej postrzelenie – sami przecież wydali taki rozkaz – ale jak żyć ze świadomością, iż pozbawiło się życia małżonkę innego funkcjonariusza tylko dlatego, że chciała go powiadomić o rodzinnej tragedii?

Przełykając głośno ślinę, Dubiłowicz przeniósł wzrok na horyzont od strony centrum, nad którym rozgorzała krwista luna, jakby coś tam płonęło. *Niedobrze, oj, niedobrze, pomyślał. Jeśli cywile to zauważą, będzie po ptokach. Jak nic wpadną w panikę.*

– Może sensowniej byłoby... – zaczął Gieroń, lecz nie zdążył skończyć zdania.

Tłum zafalował, jakby na chodniku coś się wydarzyło. Ludzie stojący z tyłu napierali mocno na tych w pierwszych rzędach, pragnąc zobaczyć, jak radzi sobie pielęgniarka. Nagle odgłosy dobiegającej z oddali kanonady zagłuszył przeraźliwy kobiecy pisk.

– Chyba już po nim – mruknął sierżant, szykując się na najgorsze.

Oblizawszy spierzchnięte wargi, ponownie skupił wzrok na zwartej masie uciekinierów, którzy znajdowali się zaledwie kilkanaście metrów od radiowozów. Na razie tkwili w bezruchu,

otaczając zapłakaną kobietę szczelnym kręgiem, jednakże Dubiłowicz widział tu i ówdzie odwracające się ku niemu głowy. Czekał, nerwowo odliczając upływający czas. Nie powinien zareagować zbyt wcześnie, ale nie mógł się też spóźnić...

– Teraz? – zapytał w pewnym momencie wylęknięty Kozłowski.

– Nie.

Tłum nadal nie ruszał się z miejsca, jakby gapie sycili wzrok widokiem tego, co działo się na chodniku. Ale co tam mogło się dziać? Od ludzkiej masy oderwała się pierwsza mroczna sylwetka.

– Teraz? – syknął przestraszony Gieroń.

– Teraz – potwierdził Dubiłowicz.

Kapral i szeregowiec rzucili granaty z gazem łzawiącym. Oba, czyli wszystkie, jakie posiadali. Rozproszenie tłumu wydawało im się jedynym rozsądnym rozwiązaniem w tej sytuacji. Nawet przy bezwietrznej pogodzie duszący opar ulotni się w kilka minut, dlatego postanowili uderzyć z zaskoczenia, najpóźniej jak to możliwe, lecz zarazem tak, by w polu rażenia granatów znalazło się jak najwięcej ludzi. Każdy, kto posmakuje tego specyfiku, zostanie wyłączony z akcji na długo – oby wystarczająco długo – a z resztą funkcjonariusze dadzą sobie radę. Obrona wąskich na niecały metr przejść przed kilkoma cywilami nie powinna być wielkim wyzwaniem. Nawet jeśli ci będą naprawdę zdesperowani.

Szare walce poszybowały łagodnym łukiem w ciemność. Pierwszy spadł pod nogi tych uciekinierów, którzy stali najbliżej blokady, drugi przeleciał nad głowami zgromadzonych i uderzył z cichym pacnięciem o płyty chodnika. Sekundę później z obu

zaczął wydobywać się tuman piekielnie dławiącego gazu, tego samego, który służył oddziałom prewencji do zaprowadzania porządku na opanowanych przez warcholstwo ulicach.

Jeśli wierzyć ostrzeżeniom na opakowaniu, był to jeden z najszybciej działających specyfików – i rzeczywiście, już kilka sekund później wzięci w dwa ognie, nie przeczuwający niczego ludzie zaczęli przeraźliwie kaszleć i krzyczeć. Rozbiegli się też we wszystkich kierunkach, próbując opuścić skażony teren.

Milicjanci nie obawiali się gazu, wszyscy trzej założyli bowiem przydziałowe maski. Spoceni obserwowali w napięciu rozwój sytuacji, ale na razie wszystko szło po ich myśli. Większość uciekinierów musiała się cofnąć w kierunku zbiegu ulic, a tych kilkoro, którzy ruszyli ku blokadzie, udało się zatrzymać tarczami i odpędzić pałkami. Oberwawszy dwa czy trzy razy przez łeb, najwięksi śmiałkowie zawrócili i gnając prosto w chmurę rzednącego gazu, próbowali się przedostać w bezpieczne miejsce, na co jednak nie mieli wielkich szans.

Jest dobrze, uznał Dubiłowicz, gdy dym rozwiął się całkowicie, ukazując ich ukrytym za okrągłymi szklami oczom wylot Trzebnickiej i stojących, klęczących albo leżących tam ludzi, którzy wykastywali płuca i zapamiętałe tarli zaczerwienione oczy. Pocierpią jakiś czas, ale za to przeżyją.

Pomógł im tym atakiem, choć był pewien, że nie będą mu dziękować.

– Widzicie to co ja? – zawołał nagle Gieroń, wskazując na chodnik.

Reanimowany mężczyzna stał o własnych siłach, za to

pielęgniarka, która mu pomagała, oraz żona leżały u jego stóp, jakby straciły przytomność.

Ten gaz nie powinien tak zadziałać, nawet gdyby baby nawdychały się go zbyt dużo... Zaskoczony sierżant przyglądał się uważnie nieruchomym postaciom. Już miał wydać rozkaz, by Konrad opuścił stanowisko i odciągnął nieprzytomne kobiety w miejsce, gdzie stężenie gryzących oparów było mniejsze, lecz zaniechał tego, ponieważ najpierw jedna, a potem druga zaczęła się podnosić. W tym samym momencie Marek zauważył coś jeszcze. Coś, co bardzo go zaniepokoiło. Ofiara zawału, czy co to tam było, człapała leniwie w kierunku stojącej najbliżej spłakanej osoby, jakby nie odczuwała skutków zagazowania.

To samo dotyczyło się obu wstających kobiet. Gramoliły się z chodnika powoli, niezdarnie, jakby gaz je trochę oszołomił, jednakże ani nie kaszlały, ani nie wydawały żadnych innych dźwięków, zupełnie jakby duszący opar nie palił żywym ogniem ich krtani. Dubiłowicz przeniósł wzrok na reanimowanego, który zdążył już dotrzeć do oślepionej gazem dziewczyny, by... rzucić się na nią jak wygłodniały pies na gnat!

– Kurwa mać! – wrzasnął Kozłowski.

Nie mógł trafniej podsumować uczuć sierżanta w tej chwili. Marek patrzył bezradnie, jak dziadyga szarpie ubranie zaskoczonej kobiety, jak rani ją pazurami, rozorując odsłoniętą skórę do krwi.

W tym czasie jego żona i pielęgniarka dopadły inne ofiary gazu łązwiącego. Siostra Kowalska powaliła barczystego mężczyznę, o głowę od niej wyższego i ze dwa razy cięższego. To prawda, że został wcześniej skutecznie obezwładniony gazem, ale...

Funkcjonariusze spojrzeli po sobie. Coś tu było nie tak.

– Co myśmy tam rozpylili? – zapytał łamiącym się głosem szeregowiec, który także nie wierzył własnym oczom.

Poharatana przed momentem dziewczyna najpierw znieruchomiła na parę sekund, a gdy zawałowiec spełził z niej, zaczęła się niezbornie podnosić, nie zważając na krwawiące obficie rany, nie kaszłąc więcej ani nie trąc oczu, całkiem jakby gaz przestał na nią działać.

Chwilę później na przyczółku mostu stało już kilkanaście rozchwianych postaci, które wydawały się odporne na działanie gryzącego oparu. Reszta tłumu zdołała w tym czasie zbiec. Ludzie, pomagając sobie wzajemnie, albo kierowali się na wały, by jak najprędzej przepłukać oczy wodą z Odry, albo wiali pędem w głąb Trzebnickiej, najwyraźniej uznawszy, że lepiej próbować szans na zatłoczonym dworcu, niż raz jeszcze forsować blokadę.

Dubiłowicz odczekał jeszcze dwie pełne minuty, potem chwycił za wąż i odchylił ostrożnie dolną część maski. W płytkim wdechu poczuł wyłącznie świeże powietrze. Opar zniknął już znad mostu, w czym pomógł mu leciutki wiatr wiejący milicjantom w plecy.

– Czysto – poinformował pozostałych, a gdy i oni schowali maski do pokrowców, udał się za radiowozy.

Tych kilkunastu uciekinierów, którzy pozostali, nadal nie ruszało się z miejsca. Stali tam tylko, niektórzy poszarpani i pokaleczeni, i kiwali się jak w hipnotycznym tańcu.

– A im co dolega? – zainteresował się Gieroń.

– Może to ta zaraza? – rzucił Kozłowski.

– Jaka zaraza? – obruszył się sierżant. – Widzisz, żeby któryś

miał pryszczę? Nie, to na pewno nie czarna ospa.

– W takim razie co?

– Nie wiem, może dali nam nie ten gaz co trzeba albo to ruskie barachło było przeterminowane.

– Powiem wam szczerze... – Szeregowiec obserwował przedpole, kręcąc powoli głową. – Ja całe wojo odbębniłem, różne rzeczy widziałem, i na szkoleniach, i na poligonie, ale nigdy nie trafiłem choćby na wzmiankę o gazie, który działa na ludzi w ten sposób.

– Fakt – poparł podwładnego Gieroi. – Gdyby nie stali tam teraz, można by pomyśleć, że się wzajemnie pozabijali.

Na to stwierdzenie sierżant nie miał żadnej odpowiedzi. Sam widział, jak staruch rozorał pazurami cały bok napadniętej dziewczyny. Do krwi, do kości nawet, a ta stała teraz nie dalej niż piętnaście metrów od niego, ze zwieszoną głową jak odłożona przez lalkarza marionetka.

Dubiłowicz zwilżył wargi językiem, przetarł też pokryte rosą potu czoło. Zakładanie maski w taki upał nie było najlepszym pomysłem, ale mus to mus. Bez ochrony mogliby podzielić los zagazowanych, a wtedy... Koniec pieśni, żegnaj, Gienia.

– Sprawdźmy to – zaproponował. – Przyciągnijcie tu któregoś, obejrzymy go sobie z bliska.

– A jeśli to zaraza? – upierał się Kozłowski.

– Byłeś na obowiązkowych szkoleniach? – warknął sierżant, odwracając się do niego.

– No, byłem.

– Zauważyłeś u tych ludzi choć jeden symptom czarnej ospy?

– Nie, nie zauważyłem.

– To bierz dupę w troki i przyprowadź mi tu jednego z nich! Na przykład ją! – Dubiłowicz wskazał poharataną dziewczynę. – Pomóż mu, Konrad! – ponaglił kaprała.

Sam sięgnął ponownie po tetetkę, by mieć ją na podorędziu, gdyby poddani działaniu gazu ludzie stali się znowu agresywni.

Funkcjonariusze podbiegli do chwiejącej się młodej kobiety, chwycili ją pod ramiona i zawrócili w stronę blokady. Nie zdołali jednak zrobić trzech kroków, zanim najpierw jeden, a potem drugi zmylił krok. Moment później obaj padli na bruk, jakby zemdleli.

– Ki diabeł? – szepnął zdjęty nagłym strachem sierżant i wyszarpnął broń z kabury.

Ci zagazowani, którzy stali najbliżej leżących funkcjonariuszy, ożywili się właśnie i zaczęli zmierzać w ich stronę. Dubiłowicz zrobił to samo, tyle że szybciej. Podbiegł do Konrada, chwycił jego rękę i nie zważając na poharataną dziewczynę, która wiła się w nogach kaprała, pociągnął go za sobą do radiowozów. Pokonał ponad połowę drogi, zanim poczuł pierwsze zawroty głowy.

Co za cholerstwo dały nam te Rusy?, pomyślał, składając chwilową niemoc na karb działania gazu. *Nic to, odpocznę moment, odetchnę czystym powietrzem...*

Zaczerpnięcie tchu nic nie dało, a nawet pogorszyło sytuację. Sierżant poczuł taką słabość, że padł na kolana. Nie puścił jednak Gieronia; opierając się jedną dłonią o kocie łby, pełzł dalej na czworakach, dopóki nie zrobiło mu się ciemno przed oczami i nie wyrznął czołem o bruk.

4

piątek, 9 sierpnia 1963, godzina 23:59

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Profesor Niemczuk zaparkował wartburga przed podjazdem kliniki obok czerwonego mikrusa Zadrożnego. Oprócz tych dwóch samochodów na Kraszewskiego nie było widać żadnych pojazdów, ale to nie dziwiło sędziwego lekarza. Socjalizm awansował społecznie chłopów i robotników, lecz nie gwarantował im żadnych luksusów. To było raczej równanie w dół. Spośród kadry medycznej tylko ordynator i Piotr posiadali własne – nie byle jakie – cztery kółka, a i w okolicznych kamienicach trudno było znaleźć krezusów albo chociaż badylarzy. Szefowa miała lepiej, zazwyczaj jeździła należącą do resortu służbową warszawą, jednakże ta pojawiała się pod kliniką z rzadka, najwyżej trzy razy w tygodniu, i nigdy o tak późnej porze.

Pokonanie wąskiego trawnika i czterech stopni prowadzących do głównej bramy zajęłoby Niemczukowi parę sekund, gdyby nie to, że – zanim dotarł do wybrukowanej zatoczki – zamarł. Z przekrzywioną lekko głową nastawił uszu; odgłosy strzelaniny dobiegające od strony centrum zagłuszyła niewiele od nich

głośniejsza, za to znacznie bardziej intensywna kanonada, tym razem mająca swoje źródło gdzieś na przedmieściach.

– Cholera... – zaklął pod nosem profesor.

Przyjechał do kliniki po alarmującym telefonie z triumwiratu. Uprzedzono go, by przyszykował załogę na najgorsze, ponieważ sytuacja w izolatoriach wymykała się mundurowym spod kontroli, w związku z czym decyzją władz centralnych miasto zostanie poddane ścisłej kwarantannie, co mogło, a nawet musiało oznaczać nawet kilkudniowy zakaz wychodzenia na ulicę.

A że szpital musiał funkcjonować, ordynator nie miał wielkiego wyboru. Ubrał się, ogolił i usiadł za kierownicą, by poinstruować ludzi, jak kierować placówką pod nieobecność przełożonej, która bawiła od tygodnia w stolicy.

– Panie profesorze!

Z zamyślenia wyrwał Niemczuka głos nocnego portiera, który stał w uchylonych drzwiach, zerkając bojaźliwie na zachód, skąd dochodziło natarczywe terkotanie broni maszynowej.

– Ja tylko na moment, panie Szymonie. – Profesor wbiegł na cztery cementowe stopnie, minął usuwającego mu się z drogi ciecia, lecz nie skierował się od razu na schody, by dotrzeć do gabinetu na trzecim piętrze, tylko przystanął, jakby zamyślony, po czym zerknął na wpatrującego się w niego z uwagą młodego mężczyznę. – Pan przejdzie się po oddziałach. Za kwadrans chcę widzieć wszystkich pracowników nocnej zmiany w moim gabinecie. I proszę zamknąć wszystkie wyjścia na klucz. Od tej pory nikt poza mną nie opuszcza szpitala. Zrozumiano?

– Oczywiście – przytaknął portier, były żołnierz nawykły do

słuchania poleceń.

– Mówiąc „wszyscy”, mam na myśli także dyżurnych lekarzy – sprecyzował. – Ganderę też...

– Ale on, ordynatorze szanowny, jakiś czas temu wziął i wyszedł.

– Jak to: wyszedł? – zdziwił się profesor.

– Normalnie, a raczej... nienormalnie. Nawet się nie podpisał, choć za nim wołałem. Pognał na ulicę w kitlu, jakby się paliło...

– O której? – przerwał mu profesor.

– Jakoś tak po dziesiątej.

Niemczuk pokręcił głową. *Bardzo nietypowe zachowanie jak na Bartosza, który dopiero co sam prosił o przydzielenie mu dodatkowego dyżuru, żeby nie musiał wychodzić na miasto...* Ta konkluzja natchnęła ordynatora kolejną myślą.

– Ile osób nie stawilo się na trzecią zmianę? – zapytał.

– Oj, sporo, ordynatorze szanowny, sporo. Oddziałowe biegały wściekle jak osy, ale co zrobić, ponoć nocne tramwaje nie kursują. I autobusy też pozjeżdżały do zajezdni.

Tak, o tym usłyszał w niedawnej rozmowie z triumwiratem, aczkolwiek akcja wygaszania miasta miała przebiegać wolniej, bardziej planowo.

– Hm... – mruknął, lecz zanim zdążył zebrać myśli, drzwi za jego plecami zaskrzypiały.

W progu pojawiły się dwie kobiety, brudne, jakby tarzały się po bruku, zakrwawione, o zapuchniętych i zapłakanych twarzach.

– Jezusie – jęknął na ich widok Muszyński.

Mało brakowało, a by się przeżegnał.

Profesor rozpoznał oba obrazy nieszczęścia. Świetlicka i Wandałowicz, pielęgniarki z drugiej zmiany.

– Co się stało? – zwrócił się do nich ostrym tonem.

– Tam... – sapała Zosia, młodsza i drobniejsza z tej pary. – Tam... na moście... Oni...

– Do ludzi strzelali! – wypaliła ta druga, Alicja.

– Kto? – zdumiał się profesor.

– Milicjanty! – odpowiedziały unisono.

Niemczuk spoglądał na nie z na wpół otwartymi ustami. Tak go zszokowała zasłyszana informacja, że potrzebował aż kilku sekund, by się otrząsnąć ze stuporu.

– Zmiana planów – rzucił do portiera i skierował się do holu. – Zebranie za dziesięć minut. Chcę widzieć na górze wszystkich, panie Szymonie. Wszystkich – powtórzył dobitnie. – Nawet salowe, sprzątaczkę i obsługę kuchni.

* * *

Portier wywiązał się z powierzonego mu zadania śpiewająco, a mimo to w gabinecie profesora nie panował ścisk. Trzy oddziałowe, dziesięcioro pielęgniarzy i pielęgniarek, dwie kucharki, dozorca ze stróżówki na tyłach kompleksu. W sumie siedemnaście osób, wliczając w to Muszyńskiego, który widząc pytające spojrzenie ordynatora, mógł tylko rozłożyć bezradnie ręce.

Jedna trzecia personelu, który na co dzień zawiadywał kliniką, z czego tylko Niemczuk i nie wiedzieć czemu wciąż nieobecny Zadrożny byli w pełni wykwalifikowanymi psychiatrami.

– Proszę o ciszę! – Profesor stuknął łyżką w ściankę na wpół opróżnionej szklanki, w której chwilę wcześniej zaparzył sobie

mocną kawę. To miała być długa noc po jeszcze dłuższym dniu, potrzebował więc wsparcia czarnego szatana, by umysł pracował jak należy. – Triumwirat ogłosił właśnie w specjalnej odezwie, że przechodzimy w stan ścisłej kwarantanny...

– Znaczy my tutaj, w szpitalu? – zapytała łamiącym się głosem pani Miela, jedna z kucharek, które pozostały na obiekcie po zakończeniu drugiej zmiany.

Jej obecność nie zdziwiła ordynatora, ponieważ wiedział, że kobieta jest mieszkanką Trzebnicy, w tym momencie równie nieosiągalnej dla nich obojga jak – nie przymierzając – biegun północny albo najwyższe szczyty Himalajów.

– Pani Ewelino, ścisłej kwarantannie poddano całe miasto. Niemniej tak, wszyscy, jak tu stoicie, musicie pozostać na terenie szpitala – wyjaśnił cierpliwie Niemczuk, przygotowując się mentalnie na lawinę kolejnych, już znacznie ostrzejszych w formie pytań.

Ku jego ogromnemu zdziwieniu pracownicy przyjęli informację z zaskakującą pokorą, a nawet... ulgą.

– Do kiedy? – Ponurą ciszę, która nastąpiła po wypowiedzi ordynatora, przerwał dopiero po dłuższej chwili Damian Ziomko, najstarszy z sanitariuszy.

– Tego nie wie nikt – odpowiedział zgodnie z prawdą profesor. – Myślę jednak, że przy skali obecnych wydarzeń na mieście – wskazał głową otwarte na oścież okno, zza którego dobiegał stłumiony odległością, lecz nie słabnący terkot broni maszynowej – lepiej dla nas wszystkich będzie, jeśli pozostaniemy w budynku.

– Pan ordynator wie może, dlaczego oni tak... tak... – dukała przez ściśnięte gardło siostra Szewczyk, doświadczona oddziałowa, której tej nocy podlegać miały oddziały mieszczące się na drugim piętrze.

Niemczuk przerwał jej męki uniesieniem dłoni. Nie odpowiedział od razu, za to sięgnął po szklanę i upił łyk czarnego jak smoła, choć już nie tak ożywczo gorącego naparu. Potrzebował kilku sekund, by się zastanowić, ile może i powinien tym ludziom wyjawić. Sam miał bowiem spory problem z przyjęciem do wiadomości informacji, które mu niedawno przekazano w trakcie bardzo długiej rozmowy najpierw z doktorem Arendzikowskim, a potem jednym z jego zastępców, gdyż odwołany przez współpracowników Bogdan musiał przekazać słuchawkę.

Jakże powiedzieć tym prostym kobietom i mężczyznom, że po ulicach Wrocławia panoszą się hordy zarażonych, których zabić jest tak trudno, że wydaje się to praktycznie niemożliwe? Sama wzmianka na temat odmieńców mogłaby wywołać panikę, której skutków nie sposób przewidzieć, podczas gdy on rozpaczliwie potrzebował tej szkieletowej załogi, by zapewnić klinice nieprzerwane działanie, a przynajmniej jego namiastkę.

– No więc... – powiedział, przełknąwszy na poły wystygły napar. – W izolatoriach doszło tej nocy do zauważalnego wzrostu zachorowań, ale nie na czarną ospę. Nowa, nie zidentyfikowana jeszcze choroba jest znacznie groźniejsza... przynajmniej tak wynika z tego, co mi powiedziano. Milicja musiała otoczyć kordonem wszystkie punkty zapalne. Dlatego zezwolono funkcjonariuszom na użycie broni. Zaręczam jednak, że to, co teraz

słyszemy, nie jest dowodem na przeprowadzanie czystek – kłamał jak z nut, lecz robił to w szczytnym celu. – Nie znam wprawdzie wszystkich szczegółów tej akcji, lecz zapewniono mnie solennie, że chodzi o zastraszenie zarażonych oraz tych obywateli, którzy mogli mieć z nimi bliski kontakt. Co ja państwu będę opowiadał: jak wszyscy doskonale wiemy, kwarantanna jest jedynym sposobem na powstrzymanie każdej epidemii, więc proszę się nie dziwić, że władza ludowa robi wszystko co w jej mocy, aby zaraza nie rozprzestrzeniła się poza izolatoria.

– Ja to rozumiem – odezwała się siostra Świetlicka. Umyta, uczesana i przebrana w nowy fartuch wyglądała znacznie lepiej, niemniej wciąż chrypiała i mrużyła opuchnięte, zaczerwienione oczy. – Wszystko rozumiem, ale dlaczego zamknięto całe miasto? Dlaczego milicja strzela do ludzi na rogatkach?... – rozkręcała się coraz bardziej, zatem ordynator wykorzystał moment, gdy obolałe gardło dało o sobie znać, i zręcznie wszedł jej w słowo.

– Nie można dopuścić, by nowa choroba, ta, o której przed momentem wspomniałem, wydostała się z miasta – powiedział stanowczo. – Dlatego triumwirat zarządził całkowite odizolowanie Wrocławia od reszty kraju. Nie ma innej drogi. Czy siostra ma całkowitą i niezachwianą pewność, że żadna z osób, do których strzelano, nie miała wcześniej kontaktu z izolowanymi?

Świetlicka spuściła głowę.

– Nie mam – bąknęła.

– Jeszcze raz apeluję o zrozumienie powagi sytuacji. – Niemczuk potoczył wzrokiem po twarzach pracowników. Byli wystraszeni, przygaszeni, smutni. – To nie potrwa długo. Milicja

i wojsko...

– Jak to: wojsko? – Ziomko drgnął, gdy padło to słowo. – Przecież do takich akcji nie używa się wo...

– ...chyba że chodzi o zabezpieczenie terenu i wsparcie tych skromnych sił porządkowych, którymi dysponuje triumwirat. – Profesor spróbował naprawić popełniony przed chwilą błąd. Sklął się przy tym w myślach, ponieważ jako niewprawy kłamca za dużo powiedział, a każde jego kolejne słowo mogło przeważać szalę i doprowadzić do wybuchu paniki. – Skupmy się lepiej na sprawach, które mają największe znaczenie dla kliniki – zmienił temat. – Wątpię, aby ktokolwiek do nas jeszcze dołączył... – zawiesił głos, posyłając pytające spojrzenie trzymającym się za rękę Wandałowicz i Świetlickiej.

– Na przystanku był jeszcze doktor Gandera... – Zosia rozejrzała się wokół, nie kryjąc zdziwienia. – Powinien tu przyjść z dziesięć minut przed nami. Niósł do kliniki tę panią, którą postrzelili milicjanci.

– Pan Bartosz? – zdziwił się Niemczuk.

Jego protegowany był znakomitym specjalistą, ale do herkulesów nie należał, zatem wizja niesienia przez niego rannej od mostu aż pod bramę kliniki wydawała się mało prawdopodobna.

– Wziął do pomocy jakiegoś robotnika – wyjaśniła siostra Alicja.

– Chyba że tak. I mówicie, że poszedł przodem?

– Tak.

Profesor wyłowił wzrokiem portiera, lecz ten pokręcił tylko głową, rozkładając szeroko ręce.

– Na sekundę nie odszedłem od drzwi – zarzekał się. – A inne wejścia pozamykałem na klucz już o dziesiątej, jak każą przepisy.

– Na pewno, panie Szymonie?

– Żeby tak tu skołał, ordynatorze szanowny.

– To leć pan na dół! – Niemczuk odgonił go machnięciem ręki, jakby opędzał się od natrętnej muchy. – Obejdź wszystkie wejścia, zaczynając od bocznej furtki, doktor Gandera mógł tam utknąć z jakiegoś powodu!

Przeraziła go wizja kontaktu Bartosza z umierającą ofiarą strzelaniny. *Gdyby o tych odmieńcach powiedział mi kto inny, nie Arendzikowski, tobym nie...*

– Tak jest. – Portier natychmiast zniknął za uchylonymi drzwiami.

– Kto jeszcze oprócz doktora Gandery był na przystanku? – zapytał Niemczuk, kierując te słowa do obu pielęgniarek, które spotkał na dole przy wejściu.

– Agnieszka była, znaczy siostra Kowalska. Doktor Gandera kazał jej udzielić pomocy jakiemuś mężczyźnie, który zasłabł, a chwilę później wybuchła panika, gaz na nas puścili, zaczęliśmy uciekać...

– Dobrze, już dobrze – uspokajał ją ordynator. – A oprócz niej? Widziałyście na przystanku kogoś od nas?

Po chwili zastanowienia pokręciły zgodnie głowami.

Niemczuk przygryzł wargę. Niedobrze. Miał nadzieję, że na przystanku utknie więcej pracowników z poprzedniej zmiany, ale wszystko wskazywało na to, że będzie musiał radzić sobie tymi siłami, które miał przed sobą, a były one przerażająco skromne.

– Ty, synku, jesteś tutaj nowy? – zwrócił się do chłopaka o wysokim czole i rzadkiej brodzie, która tylko z pozoru nadawała mu doroślejszy wygląd.

– Ja, proszę pana doktora...

– Profesora! – ofuknął go stojący tuż obok Mateusz Ciesielski, sanitariusz.

– Ja, proszę pana profesora – poprawił się szybko chłopak – ojca dzisiaj zastępuję. Dozoruję tam, na tylnej bramie... – Wskazał mrok za oknem gabinetu.

– Jak masz na imię? – Niemczuk pominął milczeniem kwestię absencji nocnego stróża, ponieważ nie był to pierwszy raz, gdy ten podsylał w zastępstwie któregoś ze swoich synów.

Mało komu to wadziło, ponieważ pracownicy administracji wychodzili zazwyczaj wczesnym popołudniem, na długo przed tym, nim na stróżówkach i portierniach pojawiali się emeryci i renciści ze spółdzielni obsługującej klinikę, a żaden z gryzpiórków nie pojawiał się na Kraszewskiego na tyle wcześnie, by zauważyć, że na bramie wita ich ktoś inny, niż powinien. A że młode Lipsy sumienniejsze były od schorowanego rodziciela, profesorowi również to nie przeszkadzało.

– Adam jestem. – Chłopak uklonił się, mnąc czapkę w dłoniach.

– Szkoły jakies pokończyłeś? – Za odpowiedź posłużyło krótkie potaknięcie. – A konkretnie czego cię tam nauczyli?

– Japońskiego, znaczy takiego obcego języka... – wymamrotał zawstydzony młodzieniec.

Niemczuk pokręcił głową. *Ta dzisiejsza młodzież, pomyślał. Nic, tylko farmazoni jej w głowie.*

– Japońskiego, powiadasz.

– Tak.

– W takim razie wracaj na dół, bo nic tu po tobie. Pilnuj bramy, ale nie otwieraj nikomu. Za dużo obcych szwenda się teraz po mieście, szukając schronienia, a nam nie wolno ryzykować, że wpuścimy na teren kliniki choćby jednego zarażonego. I jeszcze coś! – Podniósł palec w ostrzegawczym geście. – W razie problemów, na przykład gdyby ktoś chciał przeleźć przez mur, dzwoń natychmiast na wewnętrzny siedem. Poślemy ci kogoś do pomocy.

– Ale ja jeden jestem, a tego muru, co to mam pilnować, to hektar jest i ho ho – powiedział chłopak, jeszcze bardziej czerwieniejąc na twarzy. – Od bramy aż do Reymonta i drugie tyle od strony Kraszewskiego.

– Masz na portierni klucze do wszystkich bram? – Profesor poruszył się niespokojnie.

– T-tak – odparł chłopak, nie do końca mając pewność, czy mówi prawdę.

Ojciec wyjaśnił mu, jakie są podstawowe obowiązki nocnego stróża, lecz o szafce z kluczami pewnie tylko wspomniał, ponieważ sam do niej rzadko zaglądał.

– Na ścianie, na prawo od drzwi portierni, znajdziesz taką wiszącą szafeczkę, a w niej klucze do wszystkich furt i bram – zaczął tłumaczyć Niemczuk. – Weźmiesz je wszystkie i oblecisz cały teren, od bramy na Korzeniowskiego począwszy, a na wjazdach od Zegadłowicza skończywszy. Wszystko masz pozamykać na cztery spusty, zrozumiano? Wszystko! Kłódki

i łańcuchy powinny wisieć na bramach.

– Pozamykać. Wszystko. – Adam potakiwał, oblizując spierzchnięte wargi.

– No to leć, synu, a jak skończysz, zgłoś się telefonicznie, też pod siódemkę.

– Pod siódemkę. Jak skończę.

– Kto zawiaduje jedyką? – zapytał Niemczuk, gdy speszony młody Lipsa opuścił jego gabinet.

– Ja – zgłosiła się siostra Krajewska.

– Dobrze. – Ordynator się uśmiechnął. Tym razem miał dużo więcej szczęścia. Na Joasi mógł polegać jak na przysłowiowym Zawiszy. – Kto jest z tobą na oddziale?

– Zajac i Ruciak – odpowiedziała, wskazując stojących za jej plecami sanitariuszy.

– Dodam ci zatem panią Mielę i siostrę Kopacz. Dwójka? – Rozejrzał się w poszukiwaniu uniesionej ręki. – Pani Elu, jak sytuacja?

– Bruziakowa, Parfieńczyk i... – Szewczykowa się zawahała. – Świetlicka, ale ona z drugiej zmiany została.

– Nie szkodzi. Dodam siostrze panią Górniakową – wskazał drugą z kucharek. – Trójka?

– Jeśli liczymy tych z drugiej zmiany, to Ciesielski, Ziomko, Zygmunt i Wandałowicz. – Wiśniewska-Pokus wskazała kolejno swoich podwładnych.

– Cztery osoby, czyli można powiedzieć komplet – podsumował ordynator. – Świetnie. Na każde piętro przypada was po pięcioro i to musi na dzisiaj wystarczyć.

– To nawet nie połowa nocnej zmiany – obruszyła się siostra Szewczyk. – A co dopiero będzie w dzień, kiedy pacjenci powstają...

Niemczuk mimowolnie się wzdrygnął.

– Wiem, że jest nas za mało, ale jak już wspomniałem, to musi chwilowo wystarczyć. Do zakończenia kwarantanny, co miejmy nadzieję, nastąpi najdalej w poniedziałek, będziemy pracować w okrojonym składzie. Na rano przygotuję pełen harmonogram dyżurów, rozplanowując je tak, by każde z was miało szansę na co najmniej ośmiogodzinny odpoczynek.

– Nie wiem, jak pan profesor tego dokona – wtrąciła powątpiewająco Szewczykowa. – Nawet gdybyśmy wszyscy pracowali całą dobę na okrągło, nie obsłużymy...

– Spokojnie, siostrzo Elżbieto – przerwał jej Niemczuk. – Sytuacja jest wyjątkowa, więc i procedury muszą ulec zmianie. Dajcie mi kilka godzin, a opracuję taki system, by choć minimum zadań mogło zostać wykonane. Zdaję sobie sprawę, że trzeba będzie ograniczyć swobodę pacjentów, zwłaszcza tych z oddziału półzamkniętego. Zejdziemy także do absolutnego minimum pełnionych obowiązków. To może się udać, jeśli tylko żadne z was nie zrejteruje... – Spojrzał groźnie w oczy obecnych.

Tego najbardziej się obawiał. Nie zaniechaj, nie stresu, przez który ludzie zaczną popełniać nieuniknione w takiej sytuacji błędy (być może bardzo kosztowne), ale właśnie dezercji. Powolnego odpływu podwładnych, którzy nie wytrzymają presji i nękania apokaliptycznymi wizjami – a o te przy nieustannej kanonadzie nie będzie wcale trudno – spróbują szczęścia, wymykając się z kliniki,

aby wrócić do bliskich.

Miał też niestety świadomość, że nawet zamknięcie wszystkich bram i furtek nie powstrzyma mieszkańców miasta, zwłaszcza tych najbardziej zdesperowanych, od wdarcia się za ogrodzenie szpitala. Sam budynek powinien się jednak oprzeć szturmowi niezorganizowanej tłuszczy. Drzwi były solidne, a zamki mocne, jak to zwykle bywa w zakładach psychiatrycznych, które tworzy się z myślą o odcięciu pacjentom kontaktu ze światem zewnętrznym. Poboczne bloki, administracja, przychodnie, wszystkie te miejsca na szczęście świeciły dzisiaj pustkami, głównie dzięki planowym remontom i późnej porze.

Tak, uznał Niemczuk, przyglądając się poszarzałym z niepokoju twarzom otaczających go młodych mężczyzn i kobiet. Najgorsze dopiero przed nami.

5

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 00:28

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Podzielenie pracowników na zespoły było dopiero początkiem, zaledwie przedsmakiem pracy, którą trzeba wykonać, aby klinika mogła dotrwać chwili nie tak rychłej przecież normalizacji. Profesor wiedział, że władza może potrzebować znacznie więcej czasu, niż sam przed chwilą przyznał. Bogdan nie owijał w bawełnę, sytuacja była krytyczna, pytanie tylko, czy wprowadzenie do akcji jednostek wojska – spóźnione co najmniej o kilka godzin – pozwoli triumwiratowi zapanować nad chaosem. Obaj mieli nadzieję, że tak właśnie będzie, że major Biedrzycki, na którego barkach spoczął obowiązek obrony ludności przed zarazą, nie skrewi jak jego zwierzchnicy, którzy czmychali z Wrocławia niczym szczury z tonącego okrętu.

A skoro na szczytach władzy nie wierzono w szybki sukces tej operacji, lepiej przygotować się na najgorsze, czyli... Tydzień kwarantanny? Dwa tygodnie? Jakkolwiek długo to potrwa, profesor musiał pomyśleć o każdym odcinku, poczynając od zaopatrzenia.

Rozsunął właśnie kartki, na których zaledwie kilka dni

wcześniej intendentka sporządziła raport sumujący stany magazynowe żywności. Dwa metry ziemniaków – marnie, bardzo marnie, ponieważ zapasy na kolejny sezon miały trafić do piwnicy dopiero w drugiej połowie miesiąca. Co więcej, zeszłoroczne, poprzerastane mocno bulwy przyjdzie okrawać, zatem liczbę tę trzeba pomniejszyć o straty, sięgające od jednej piątej do nawet ćwierci wagi. Do tego półtorej beczki kiszonej kapusty i dwie beczki kiszonych ogórków, tak, tych nie powinno zabraknąć, jak zawsze zresztą, tyle że to dodatki, smaczne, ale nie sycące, i jako takie na pewno nie zastąpią prawdziwego jedzenia. Następna pozycja – dwadzieścia kilogramów soli, nadmiar, i to niemały, ale też bez znaczenia. Dwadzieścia pięć kostek margaryny, dobrze, dobrze. Trzydzieści dwa bochenki chleba, świeżego, dostarczonego z Mamuta tego dnia rano. Sporo go było, ponieważ miał wystarczyć na cały weekend. Przy odpowiednim wydzielaniu skończy się dopiero we wtorek, może nawet w środę...

Kuchnia dysponowała jeszcze prawie stoma kilogramami mąki, głównie pszennej, przeznaczonej wprawdzie do innych celów, ale teraz chleb będzie przecież ważniejszy od panierek, makaronu czy klusek. Przecier pomidorowy, ocet, ryż, warzywa... Lista była długa, jednakże liczby w sąsiedniej kolumnie raczej skromne. Z tego, co znajdowało się obecnie w magazynach, da się wyżywić wszystkich – zarówno pacjentów, jak i pracowników – przez maksimum pięć dni, i to po ostrym obcięciu racji. Później zostaną już tylko kiszone ogórki i kapusta...

Niemczuk wolał się nie zastanawiać, co będzie z podległym mu szpitalem, gdy zabraknie jedzenia. *Bądź dobrej myśli*, powtarzał

sobie do znudzenia, ślęcząc nad papierami. *Przecież władza nie zostawi Wrocławia na pastwę losu. Wojsko przejmie w końcu inicjatywę, a żołnierzy i sprzętu mamy przecież w bród. Nie tylko swoich...* Wzrok profesora powędrował mimowolnie w stronę Kozanowa i leżącej znacznie dalej Legnicy, w której stacjonowały radzieckie dywizje. Wzdrygnął się przy tym, jakby przeszył go zimny dreszcz.

Nie, na razie nie ma co defetyzować. Zobaczymy, co przyniesie nowy tydzień, pomyślał. Może te trzy dni wystarczą młodemu, ambitnemu majorowi i jego podwładnym do opanowania sytuacji. Przecież izolatoriów nie jest wcale tak dużo, a do akcji wprowadzono odwody milicji, a teraz nawet wojska.

– Można, ordynatorze szanowny?

Niemczuk oderwał wzrok od przeglądanych dokumentów. W uchylonych drzwiach stał Muszyński.

– Słucham, panie Szymonie.

– Nie znalazłem doktora Gandery – zameldował portier, stając przed sędziwym lekarzem na baczność jak przed dawnym, mundurowym przełożonym. – Na wszelki wypadek sprawdziłem cały odcinek ogrodzenia, od budynku głównego, przez Struga, aż po tylną bramę. Kamień w wodę.

– Wołałeś pan?

– Do zdarcia gardła, ordynatorze szanowny, ale nie było żadnej odpowiedzi.

– Rozumiem... – Niemczuk zdjął ciężkie okulary, by pomasażować opuszkami nasadę nosa. – Dziękuję, panie Szymonie. Możesz pan wracać na portiernię... Albo nie. Trzeba sprawdzić, co

z doktorem Zadrożnym.

Zupełnie wyleciało mu z głowy, że na spotkaniu brakowało też drugiego lekarza.

– Naprawdę nie wychodził, ordyna... – zaczął się usprawiedliwiać Muszyński.

– Wierzę, panie Szymonie, wierzę, ale skoro przebywa na terenie kliniki, to gdzie mógł się podziać? – Profesor nałożył ponownie okulary.

– Może zajął się tym samobójcą? – odparł portier po chwili głębszego zastanowienia.

– Jakim znowu samobójcą? – Niemczuk zmierzył go ostrym spojrzeniem.

Muszyński westchnął ciężko.

– To ordynator szanowny nic nie wie? – zdziwił się. – Ale się porobiło! Doktor Zadrożny kazał mi do ordynatora szanownego dzwonić, jak tylko stał się ten wypadek...

– Jaki wypadek?

– No... Przywieźli karetką takiego młodego pofyrtanego, oczywiście jak trzeba w kaftanie. Pokiełbało się biedakowi we łbie, całkiem się pokiełbało, powiadam ordynatorowi szanownemu... Ale co tu się dziwić przy tym wszystkim... – Wskazał głową w kierunku centrum miasta. – Jak go wyciągali z karetki, darł się wniebogłosy, że żona go odumarła, a potem znowu odżyła i nie dość tego, dzieci zaczęła pożerać. Ryczał, że to kara boska za sodomie i socjalizm, takie tam, wie ordynator szanowny, reakcyjne bzdury. Że piekło na ziemi...

– Skup się pan na temacie, panie Szymonie – poprosił

Niemczuk, czując znajome sztywnienie w karku.

Relacja przywiezionego do kliniki pacjenta, mimo niby oczywistej niedorzeczności, idealnie pasowała do obrazu przedstawionego wcześniej przez doktora Arendzikowskiego. Tak to rzekomo wyglądało w izolatoriach. Zmarli – czy też pozornie zmarli pacjenci, którego to terminu wolał się trzymać – nagle wstawali i zaczynali mordować kogo popadnie.

– No więc wyrwał im się, wariat jeden – kontynuował tymczasem podekscytowany Muszyński – i walnął głową w mur. Tak pechowo, że aż mu czaszka pękła na dwoje. – Portier streścił zajście najlepiej, jak umiał.

– Co z nim zrobiliście?

– Doktor Zadrożny kazał go przenieść do kostnicy i dzwonić do ordynatora szanownego. – Portier podszedł bliżej biurka, uderzając się pięścią w pierś. – Pół godziny, jeśli nie dłużej, wisiałem na telefonie, słowo honoru daję, żebym padł, jak tu stoję, ale co numer wykręcałem, słyszałem tylko buczenie, bo zajęte było, a jak już się w końcu dodzwoniłem, to małżonka powiedziała, że ordynator szanowny już do nas jedzie, więc tak sobie pomyślałem, że skoro tak, to może któryś z doktorów miał więcej szczęścia albo ktoś z pogotowia...

Niemczuk nie słuchał słowotoku rencisty, skupiając się na niepokojącej wizji samobójcy, którego złożono w piwnicy szpitala. Ten człowiek, jeśli wierzyć jego własnej relacji, miał bezpośredni kontakt z zarażoną!

Zerwawszy się z fotela, profesor wyszedł szybkim krokiem zza biurka i chwytając paplającego wciąż Szymona za ramię, pociągnął

go za drzwi, najpierw do puściutkiego sekretariatu, a potem na schody.

– Pójdiesz pan ze mną! – rzucił, nie zważając na ciche protesty.

Zejsście do piwnicy zajęło im chwilę. Teraz, w środku nocy, gdy pacjenci posnęli, a nieliczni pracownicy zaszyli się w zaciszu oddziałów, do których zostali przydzieleni, główna część kliniki, odcięta kratami od obu skrzydeł, świeciła pustkami. Schodzili więc coraz niżej otoczeni wyłącznie półmrokiem i dźwięczącą w uszach ciszą.

Tak mogłaby wyglądać sceneria dobrego filmu grozy: ponemieckie mury, które zapewne niejedno okropieństwo widziały, kraty w oknach, kraty na schodach, kraty na piętrach. Mdłe kolory łuszczącej się już tu i ówdzie farby, grube kolumny w mrocznych holach, chłód bijący od połyskującej glazury.

Szeroki piwniczny korytarz, biegnący od krańca do krańca szpitalnego budynku, był równie cichy jak nadziemna część kliniki, lecz o wiele jaśniejszy. Niemczuk nie musiał zapalać światła, ponieważ ktoś to zrobił wcześniej za niego. Zwisające co kilka metrów spod prawie płaskich kloszy gołe żarówki oświetlały cuchnący stęchlizną tunel, który łączył wszystkie pomieszczenia techniczne i magazynowe z głównym wejściem. Bramy na obu jego końcach zgodnie z zapewnieniami portiera były zamknięte.

Ordynator zwolnił dopiero przy drzwiach kostnicy. Wyciągnął rękę, by ująć klamkę, lecz zamarł, gdy zauważył, że obite blachą skrzydło nie przylega do framugi. Przez kilkucentymetrową szczelinę sączył się na zewnątrz intensywny, niemal

ektoplazmicznie biały blask. Powiało też chłodem, ale to akurat było zrozumiałe.

– Coś jest nie tak? – zainteresował się zdyszany Muszyński.

Niemczuk uciszył go uniesieniem dłoni. Za drzwiami panowała idealna cisza, podobnie jak na schodach i w korytarzu. Słyszał jedynie posapywanie ciecica, który stał krok za nim, nie mając pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Gdy wciągnął powietrze do płuc, głęboko, by się uspokoić, poczuł coś więcej niż formalinę i zatęchłe piwniczne powietrze. Coś śmierdziało, cuchnęło przeokropnie, jakby... Jakby ktoś jamę brzuszną otworzył, wypuszczając z niej wszystkie gazy.

Profesor raz jeszcze zaczerpnął tchu, po czym – wstrzymując na wszelki wypadek oddech – pchnął palcem wskazującym uchylone lekko drzwi. Ciężkie były, lecz przesunęły się bez oporu. Dobrze naoliwione zawiasy nie zapisały nawet raz, gdy szerokie na metr skrzydło otwierało się na oścież, odsłaniając wnętrze niewielkiej kostnicy i stojące pod przeciwległą ścianą postacie.

Był tam Zadrożny, była kobieta o rubensowskich kształtach i pełzający u ich stóp młodzieniec w na wpół rozwiązanym kaftanie. Cała trójka stała około pięciu metrów od drzwi, nie zwracając jednak zupełnie uwagi na zagląających do środka mężczyzn. Piotr i jedna z pacjentek kliniki – wskazywała na to niedwuznacznie jej poplamiona szpitalna koszula – byli odwrócenii plecami do wejścia, lecz głowy mieli zadarte, a ręce podniesione, jakby rozczapierzonymi palcami chcieli sięgnąć czegoś, co znajdowało się na suficie... albo ponad nim.

Niemczuk zerknął w stronę klatki schodowej, którą tutaj zszedł,

po czym spojrział w górę. Według jego wyliczeń na parterze, nad pomieszczeniem kostnicy, znajdowała się dyżurka, w której powinna teraz siedzieć siostra Krajewska wraz z którymś z przydzielonych jej sanitariuszy.

– Co jest, jak pragnę zdrowia... – wyszeptał Muszyński, uwieszając się na plecach zamyślnego ordynatora. – Co oni...

Profesor odwrócił się do zdumionego portiera, zmierzył go ostrym spojrzeniem i rzucił:

– To zostaje między nami, zrozumiano?

– Ale co? – Muszyński nadal nic nie pojmował.

– Gdyby ktoś pytał, nie wiemy, gdzie jest doktor Zadrożny ani ta pacjentka. Poniał?

Szymon kiwnął głową, ale po jego minie widać było, że nic a nic nie rozumie.

– Jak ordynator szanowny ka...

Niemczuk nie czekał. Odsunął się, robiąc portierowi miejsce.

– Sięgniesz pan po klamkę i zamkniesz te drzwi. Na klucz! – rozkazał scenicznym szeptem, łypiąc na odprawiających taniec świętego Wita zarażonych.

– Tajest...

Szymon się zawahał, po czym zrobił krok do przodu, chwycił mocno za klamkę i dociągnął szerokie drzwi do framugi. Zamek kliknął głośno. W zaległej moment później ciszy Muszyński przeglądał klucze szczepione w jeden wielki pęk.

– To magazyn numer jeden... – mamrotał. – To hydrofornia...

– Pośpiesz się pan, na litość boską! – ponaglił go profesor.

– Przecież znaleźć muszę, a tyle tego mam... O, jest! – Klucz

zgrzytnął w zamku raz i drugi. – Gotowe.

– Świetnie. A teraz uważnie mnie pan posłuchaj, panie Szymonie. Nikt, powtarzam, nikt nie może się dowiedzieć, że zamknęliśmy tam doktora Zadrożnego i tę kobietę. Co więcej, pod żadnym pozorem nie wolno panu otworzyć tych drzwi! Rozumiesz pan?! – Niemczuk mówił coraz szybciej, przy każdym zdaniu podnosząc głos.

Zerkał też bez przerwy w stronę kostnicy, jakby podświadomie się spodziewał, że tamci zaczną się zaraz dobijać, prosić o wypuszczenie.

– Jak ordynator szanowny każe... – wymamrotał niezbyt pewnym tonem Muszyński.

– Co możemy zrobić, żeby nikt inny nie otworzył tych drzwi? – zapytał Niemczuk, patrząc portierowi prosto w oczy.

– Nie wiem, klucz w zamku trzeba by chyba złamać, inaczej...

– Świetny pomysł, panie Szymonie! – Ordynator poklepał go po ramieniu. – Proszę to zrobić. Już, teraz.

– Ale jak ja... to oni stamtąd nie wyjdą... – Oślupiały Muszyński wskazał pękiem kluczy kostnicę.

– I o to chodzi, człowieku. – Profesor cofnął się o krok.

– Jakże to tak? Nie godzi się przecież doktora... – Portier umilkł w pół zdania, widząc minę Niemczuka.

Ordynator zastanawiał się tylko chwilę.

– Powiem coś panu, panie Szymonie, w wielkim zaufaniu panu powiem. To ta nowa zaraza. Doktor Zadrożny i ta pacjentka oboje zostali zarażeni.

– Ale jak? Skąd ona tutaj? – Muszyński rozdziawił gębę.

Profesor oblizwał spierzchnięte wargi. Musiał przełknąć ślinę, by móc mówić dalej.

– Ten samobójca... Widział go pan na własne oczy, panie Szymonie. To on był chory i to on ich zaraził.

– Jezusie! – Portier odskoczył jak oparzony, nagle zaczął wycierać dłonie o marynarkę, jakby próbował coś z nich zetrzeć.

– Co się stało? – zdziwił się Niemczuk.

– Ja też miałem z nim kontakt. Kazali mi go przytrzymać, jak na nosze pakowali, psie krwie. Zaraza, zaraza! – Rzucił klucze na posadzkę, tarł rękami coraz mocniej o poły, o rękawy.

– Uspokój się pan, do cholery! – wrzasnął profesor.

– Ale zaraza... – zająknął się wystraszony portier.

– Tak się nie da zarazić.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale! – Ordynator chwycił go za ramiona i potrząsnął nim mocno. – Żyjesz pan, u licha, oddychasz, rozmawiasz, a to znaczy, że nic panu nie jest!

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Niemczuk schylił się po klucze, wcisnął je do ręki uspokajającego się z wolna Muszyńskiego, po czym wskazał drzwi. – Łam pan! – warknął.

Szymon przytaknął, znów zaczął przebierać, tym razem szybciej, bardziej nerwowo, a gdy w końcu wypatrzył właściwy klucz, wypiął go, wsunął drżącą dłonią do dziurki, a następnie – odsunawszy się o pół kroku – uniósł nogę i szybkim kopnięciem ułamał wystający kawałek klucza.

– No, teraz to ślusarza trzeba będzie wzywać, żeby naszą

kostnicę otworzyć! – Splunął siarczyście na posadzkę.

Niemczuk stał ze zwieszoną głową, obiema dłońmi masując sobie skronie.

– Jeszcze jedno, panie Szymonie – odezwał się po dłuższej chwili milczenia.

– Tak?

– Będę potrzebował wszystkich kluczy.

– Wszystkich wszystkich?

– Tak. I tych głównych, i tych zapasowych. Przyniesiesz mi je pan do gabinetu, gdy tylko wrócimy na górę.

Portier zmierzył go uważniejszym spojrzeniem.

– Ale... – zaczął protestować, lecz profesor już go nie słuchał.

Wpatrując się uporczywie w zamknięte drzwi, kręcił powoli głową jak człowiek, który nie dowierza własnym oczom albo myślom.

– Nic z tego nie rozumiem – mruknął w końcu.

– Z czego?

– Doktor Zadrożny mógł, a nawet powinien był zejść do kostnicy, ale co tu robiła jego pacjentka? – Uniesienie rąk podkreśliło dezorientację ordynatora.

Szymon pociągnął nosem; zastanawiał się, i to od dłuższej chwili, czy powinien powiedzieć zatroskanemu Niemczukowi o tym, co dla niego było od dłuższego czasu oczywiste.

– Wie pan, ordynatorze szanowny – zaczął, oblizując nerwowo wargi – ja tu jestem tylko zwykłym cieciem, więc nikt na mnie uwagi nie zwraca. Niektórzy traktują mnie nawet jak powietrze... – Zamilkł na moment i zaczerpnął tchu, którego potrzebował, by

dokończyć tę raczej trudną dla niego wypowiedź. – Ale nie narzekam. Ja człowiek z innego świata jestem. Nieuczony, nieobyty. Weteran, rencista, popychadło dla mądrzejszych. Siedzę w tej mojej budce od rana do nocy i tylko klucze wydaję, a potem odbieram...

– Panie Szymonie... – Profesor spróbował wejść mu w słowo.

– Pan pozwoli, ordynatorze szanowny, że dokończę. To, że pozostaję dla ludzi niewidzialny, ma też swoje dobre strony. Czasem widzę więcej niż inni, a że ja stary zwiadowca jestem, często zauważam też to, czego inni nie umieją dostrzec. Panu nikt z podwładnych słowa nie piśnie, ale prawda jest taka, że doktor Zadrożny to zwykły dziwkarz jest, i basta.

– Panie Szymonie!

– Wiem, co mówię. Fircyk jeden wyobrażał połowę pielęgniarok, jak nie więcej. Niby brał je do gabinetu na rozmowę, a trzeba było je widzieć, kiedy wychodziły, włos zmierzwiiony, oczy rozanielone, policzki całe czerwone... Ta tam dziewoja – wskazał drzwi kostnicy – to też jedna z jego „zdobyczy”.

– Daj pan spokój! – Tym razem Niemczuk nie wytrzymał. – To... To potwarz!

– Nie no, co ordynator szanowny mówi, taka brzydka to ona wcale nie jest – obruszył się portier, który tego słowa akurat nie znał.

– Ja mówię, że pan zniesławiasz mojego zastępcę – nie odpuszczał profesor. – Znam go od lat... On by nigdy... A już zwłaszcza z pacjentką... – W tym momencie dotarło do niego, kim była kobieta, którą widział w kostnicy. A raczej dlaczego trafiła tu,

gdzie trafiła.

– To jak inaczej ordynator szanowny wytłumaczy, że znalazła się tutaj, w piwnicy, sam na sam z doktorem Zadrożnym? – zapytał Muszyński, wykorzystując chwilę jego wahania.

– Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie, tylko...

– Tylko moje trzyma się kupy lepiej niż każde inne.

Niemczuk zmilczał. Patrzył tylko pobladły na stojącego przed nim portiera, który nagle wydał mu się znacznie cenniejszym współpracownikiem niż do tej pory. Zwłaszcza w tej sytuacji.

– Pan byłeś wojskowym – zagadnął, zmieniając niespodziewanie temat.

– Ano byłem. Od Lenino do Berlina, cały szlak z kościuszkowcami przeszedłem. Trzy razy ranny, odznaczony krzyżem...

– Dość! – Niemczuk go uciszył. – To mi wystarczy. Z tego, co słyszę, wiesz pan sporo o ludziach, którzy dla mnie pracują...

– Ano wiem – przyznał Muszyński.

– Wyglądasz mi pan też na łebskiego człowieka – kontynuował niezrażony profesor – i honorowego... Powiem więc, oczywiście w pełnym zaufaniu, jak wygląda prawda. Cała prawda. – Musiał zamilknąć, by przełknąć gromadzącą mu się w ustach gęstą ślinę. Rozejrzał się przy tym na wszystkie strony, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Otóż panie Szymonie, nie mam żadnej pewności, że nasi, tam, na mieście, opanują sytuację w dwa dni. – Zauważył, że oczy portiera rozwierają się szerzej. – Nie wspominałem o tym na spotkaniu, gdyż obawiam się, że pielęgniarki i sanitariusze mogliby najzwyczajniej w świecie

zdezzerterować – celowo użył tak mocnego, wojskowego określenia. – A bez nich ten szpital po prostu przestanie działać. Pozostawieni sobie pacjenci... Co tu dużo gadać, sam pan wiesz, panie Szymonie, co się z nimi stanie, jeśli zabraknie nam wykwalifikowanego personelu. A to przecież też ludzie, tylko chorzy, nie mogący zadbać o siebie. Dlatego nie wolno nam dopuścić do dezercji choćby jednego pracownika! Za każdą cenę musimy ich tutaj wszystkich zatrzymać aż do samiuśkiego końca, jakikolwiek on będzie. Rozumiesz pan, panie Szymonie, o czym mówię?

Portier strzelił obcasami ciężkich butów.

– Tak jest.

– Zatem na pewno zgadzasz się pan ze mną, że ludzie nie mogą się dowiedzieć o dok... – ugryzł się w język. – O zarażonych w kostnicy. Wiem, że to, o co proszę, dalekie jest od socjalistycznej etyki i honorowego zachowania, ale musimy kłamać, jeśli to pozwoli nam ocalić pacjentów.

– Może pan na mnie liczyć jak na Zawiszę – oświadczył butnie portier, choć głos lekko mu się łamał.

* * *

Profesor opadł na fotel, ale zaraz poderwał się na równe nogi. Ręce mu drżały, gdy sięgał po wystygłą resztkę kawy. Po krótkim namyśle odstawił mętny napar. Nie, nie potrzebował kolejnej dawki kofeiny – a fusów na dnie szklanki było co najmniej na trzy palce – i bez niej był wystarczająco pobudzony. Do drżenia rąk dochodziło raz po raz znajome drętwienie karku, charakterystyczne dla skaczącego ciśnienia, a nic nie zapowiadało, by ta noc dała mu choć

chwilę wytchnienia, którego coraz bardziej potrzebował. Zastanawiał się nawet, czyby nie zażyć tabletki relanium, najświeższej nowinki na rynku, która nie tylko jego zdaniem miała spore szanse na wyparcie powszechnie stosowanego elenium. Wstrzymał się jednak, mając świadomość, że najbliższe godziny będą kluczowe i powinien zachować maksymalną jasność umysłu.

W drodze na górę natknął się na siostrę Elżbietę, która szła właśnie do jego gabinetu, by zameldować o braku dwojga pacjentów: niejakiej Żanety Kręt i znanego profesorowi nie tylko z nazwiska Mateusza Cieniawskiego. O ile tajemnica zniknięcia młodej Krętówny wyjaśniła się przed chwilą, o tyle Cieniu, jak nazywano na oddziale pacjenta cierpiącego na syndrom Cotarda, przepadł bez śladu. Niemczuk podejrzewał jednak, że Mateusz także mógł trafić do kostnicy. W sumie to on najbardziej pasował do tego miejsca. Nie pierwszy raz zakradłby się tam, gdzie przechowywano zwłoki. Jednakże ordynator nie widział go na dole, a miał czas i sposobność przyjrzeć się uważnie całej, nie tak znów przestronnej kostnicy.

Gdyby nie portier, nigdy by się nie domyślił, co robiła tam Krętówna. I to nie tylko dlatego, że był człowiekiem starej daty, który nie wyobrażał sobie tak poważnego naruszenia standardów etycznych. Nie, w tym wypadku chodziło o coś więcej. Przed wszystkim wysoce sobie cenił Piotra – widział w nim nie tylko znakomicie rokującego psychiatrę, ale i przyszłego następcę. Nie mieściło mu się w głowie, że tak znakomity lekarz może być dewiantem seksualnym.

Szybkie przeszukanie części wspólnej i pozostałych piwnic

kliniki – zlecone, jakżeby inaczej, Muszyńskiemu – nie dało rezultatu. Cieniawski przepadł jak przysłowiowy kamień w wodę. Nie chcąc straszyć podwładnych, ordynator zwrócił się do portiera z prośbą, by ten po powrocie z domu ogłosił, że jedne z drzwi prowadzących na zewnątrz pozostały przez jego niedopatrzenie otwarte, a ślady przy nich wskazują na niedawną ucieczkę obojga pacjentów, za którymi ewidentnie udał się w pogoń doktor Zadrożny...

To oczywiście kłamstwo, powtórzone z pełnym przekonaniem przez ponurego jak sama noc Muszyńskiego, uspokoiło chwilowo oddziałowe i tych członków personelu, którzy zostali przez nie zaangażowani do przeszukania reszty kliniki, jasne jednak było, że gdy tylko ludzie zaczną się głębiej zastanawiać nad motywami uciekinierów, bardzo szybko mogą dojść do wniosku, iż ci dwoje – Krętówna i Cieniawski – pasowali do siebie jak pięść do nosa, zatem raczej na pewno nie byli w stanie uknuć wspólnie spisku ani przygotować ucieczki – nawet w tak potwornym zamieszaniu, jakie panowało tego wieczoru.

Tym akurat Niemczuk nie przejmował się wcale, ponieważ wiedział, iż najbliższe dni przyniosą jego podwładnym tyle pracy i stresu, że nikt nie będzie sobie zaprzętać głowy podobnymi rozważaniami.

Co więcej, zyskał przy okazji dobrą wymówkę, by zlecić zwiększenie dawek leków trankwilizujących i anksjolityków, które mieli otrzymać następnego ranka wszyscy pacjenci oddziałów zamkniętych. Większość z nich zmieni się w warzywa, jak kolokwialnie nazywano ludzi w silnym stanie otępienia, co jednak

ordynator uznał za mniejsze zło po naprawdę długim zastanowieniu i trzech nieudanych, bardzo frustrujących próbach dodzwonienia się najpierw do siedziby triumwiratu, a potem do Arendzikowskiego na Ołbińską.

Gdy za ostatnim razem odkładał słuchawkę, niebo na horyzoncie zaczynało jaśnieć.

6

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 04:27

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

– Co tam się wyrabia? – Mateusz Ciesielski przysunął twarz do siatki chroniącej od wewnątrz zakratowane okno.

Po kilku godzinach względnego spokoju – o ile można określić tym terminem nasilającą się okresami i słabnącą, ale nieustanną palbę – coś zaczęło się dziać w więzieniu naprzeciw. Najpierw zapłonęły wszystkie światła w głównych blokach, potem zza muru dobiegły dzikie wrzaski, a przed momentem ktoś w Iksie oddał kilka strzałów, które odbiły się głośnym echem od okolicznych kamienic.

– Chyba likwidują więźniów – rzucił Paweł Parfieńczyk, po czym zaciągnął się po raz ostatni dopalany papierosem.

Zebrali się tutaj, w dyżurce na trzecim piętrze, ponieważ tylko siostra Wandałowicz pozwalała im na okazjonalne puszczenie dymka, a ich poddane wielogodzinnemu stresowi organizmy coraz częściej domagały się zbawiennej nikotyny. Wypalili już więc tej nocy prawie całą paczkę sportów zostawionych w szufladzie biurka przez kogoś z poprzedniej zmiany. Sięgnęli po nie jak po swoje,

wiedząc, że właściciel nieprędko się dowie o poniesionej stracie, o ile w ogóle wróci do kliniki.

Komunikaty nadawane przez radio nie nastrajały bowiem optymistycznie. Ludziom nakazano zabarykadować drzwi i nie wychodzić na ulice, aczkolwiek przyzwyczajeni do dezinformacji mieszkańcy miasta mieli te ostrzeżenia za nic, tak że nawet tutaj, na Kraszewskiego, widać było grupki objuczonych postaci, które albo zmierzały w kierunku jednej z dwu przepraw, albo wracały znad Odry truchtem i sunąc wzdłuż muru więzienia, skręcały w Zegadłowicza, by tam zniknąć z pola widzenia podenerwowanych sanitariuszy.

– Weź przestań! – obruszył się Marcin Zygmunt, trzeci z obecnych. – Tam z półtora tysiąca ludzi siedzi teraz.

– Sądysz, że klawisze z nudów do much strzelają? – prychnął autor skrytykowanej tezy, ale zanim któryś zdołał wyśmiać go jeszcze bardziej, uwagę całej trójki przykuł niezwykle widok.

Krzyki po drugiej stronie ulicy nasiliły się, lecz nie to było najbardziej intrygujące. W tym samym momencie tylna brama więzienia otworzyła się z głośnym piskiem i na opustoszałą ulicę wyległo ze sto kobiet, może nawet więcej. Prawie każda miała na sobie więzienne wdzianko, a wszystkie trzymały pod pachą niewielkie zawiniątka. Rozbiegły się na oczach zaskoczonych sanitariuszy na cztery strony świata, po czym brama znów została zamknięta, co oznajmił wszem wobec głośny metaliczny szczęk.

– Ja nie mogę – mruknął zdziwiony Ciesielski. – Oni... Oni je normalnie powypuszczali...

Zygmunt przywarł twarzą do siatki, aby lepiej widzieć, a było

na co patrzeć.

Zza rogu ulicy Struga wypadło właśnie kilkudziesięciu zdeorientowanych mężczyzn, z których tylko paru miało na sobie popielate więzienne ancugi, bardzo łatwe do rozpoznania, gdyż przypominały zwykłe kombinezony robocze, tyle że miały ciemne, niemal czarne kieszenie na piersi i trudne do odcyfrowania, choć spore napisy na plecach.

– W radio nic o amnestii nie mówili – zdziwił się Ciesielski, który najwolniej palił i teraz nadrabiał szybkimi sztachnięciami, by móc dołączyć do obu kolegów. – Pięć minut temu wysłuchałem najświeższych komunikatów – dodał tonem wyjaśnienia, mimo że nikt nie zakwestionował jego słów.

– To nie amnestia... – rzucił Parfieńczyk, ocierając usta rękawem kitla.

– A co? – zainteresował się Zygmunt, nie odrywając nosa od metalowych oczek siatki.

Odpowiedź nie padła od razu, ale gdy w końcu ją usłyszeli, na moment zapomnieli o widoku za oknem.

– Po mojemu, to służba więzienna wypieprza pensjonariuszy na ulicę, żeby się samej za murem zadekować.

– Jak ty, Pablo, coś pieprzniesz, to nic, tylko boki zrywać – zaśmiał się Ciesielski.

– Tak? A co twoim zdaniem tam się teraz wyrabia? – odparował Parfieńczyk, z uśmiechem sięgając po leżącą na blacie biurka wymiętą paczkę papierosów. Potrzebował jeszcze jednego dymka, tutaj, teraz.

– Nie wiem, ale na pewno nie jest to... – Mateusz zamilkł, gdy

od strony Reymonta nadbiegła jeszcze liczniejsza grupa zdeorientowanych mężczyzn, którzy rozglądali się w panice, jakby szukali drogi ucieczki. Na dole było teraz prawie tak tłoczno jak na Świerczewskiego tuż przed pochodem pierwszomajowym.

– A to tak można więźniów wypuszczać? – Zygmunt nie podważał już zdania kolegi.

– Skąd – obruszył się wciąż sceptycznie nastawiony Ciesielski. – Za taką samowolkę kula w łeb jak nic. Bez sądu nawet.

– Taaa... – podchwycił Parfieńczyk sarkastycznie. – Kula w łeb.

Kiedy pozostali dwaj odwrócili się od okna, żeby na niego spojrzeć, zobaczyli, jak ich kompan wydmuchuje równiuteńkie dymne kółeczko.

– Czyli że co? – zapytał po chwili kłopotliwego milczenia Marcin.

– Nadal nie kapujecie? – Pablo upajał się chwilą.

– Oświeć nas, proszę. – Mateusz znów zerknął w dół na rozpraszający się z wolna tłum.

– No, sami pomyślcie. Za wypuszczenie więźniów jest kula w łeb, ale oni otwierają bramy na oścież: idźcie, ofiary skończone! Amen!

– A to znaczy, że... – Coraz bardziej poirytowany Zygmunt usiłował się skupić.

– Czy to nie oczywiste? – Parfieńczyk parsknął, widząc ich miny. – Klawisze przestali się obawiać wykonania wyroku.

– Jak to: przestali się obawiać? Przecież za dzień lub dwa... – Ciesielski tracił pewność siebie z każdym wypowiedzianym

słowem, aż w końcu zamilkł zupełnie.

– Właśnie. – Paweł zaciągnął się mocno. – O tym mówiłem, brachu.

– Oni coś wiedzą!

– Otóż to. Są z resortu, a więc siedzą bliżej koryta, mają kontakty, znajomości, gorące linie, i dlatego pierwsi się dowiedzieli, że mamy przesrane. Pozostało tylko jedno: ratować się za wszelką cenę.

– Ale komitet, triumwirat... – Zygmunt kręcił wolno głową. – Normalizacja...

– Nie będzie żadnej normalizacji, brachu. Finito, basta. Koniec.

Ta oczywista prawda była tak obezwładniająca, że dwaj ogłuszeni nią sanitariusze dopiero po dłuższej chwili doszli do siebie.

– Ale w radio... – zaczął niepewnie Ciesielski.

– Mateusz, czy ty się wczoraj urodziłeś? – ofuknął go Parfieńczyk. – Od kiedy to władza ludowa mówi prawdę zatroskanym obywatelom? Zapomniałeś już, co było w pięćdziesiątym szóstym?

Znów zamilkli i tylko rytmicznie rozjarzający się koniuszek coraz krótszego sporta odliczał upływający wolno czas.

Ulica w dole ponownie opustoszała, większość wypuszczonych po – nie wiadomo dlaczego nieudanych – próbach wydostania się za Odrę zawróciła i bocznymi ulicami pobiegła w kierunku dworca. W tłumie dało się zauważyć rannych. Jedna z kobiet, trzymająca się ręką za brzuch, skręciła nawet do drzwi kliniki, ale po chwili dobijania się wróciła na ulicę chwiejnym krokiem, zostawiając na

bruku za sobą czarną smugę. Utykała przy tym mocno, ponieważ miała tylko jeden but.

Parfieńczyk lubił koloryzować, wszyscy o tym doskonale wiedzieli, ale tym razem chyba udało mu się trafić w sedno.

– To co z nami będzie? – wymamrotał w końcu Zygmunt.

Pablo splunął soczyście na wypastowane dzień wcześniej linoleum.

– Mamy dwa wyjścia. Siedzimy w tej klatce do usranej śmierci, która... jeśli wierzyć Eli... czeka nas wszystkich już za kilka dni, gdy pokończą się zapasy żarcia, albo... – zawiesił głos.

– Albo co?

– Albo spieprzać za mur – dokończył spokojnym tonem. – Teraz, natychmiast, póki mamy jeszcze szanse.

– Ale jak to tak? – zapytał Ciesielski, blednąc. – Mamy uciekać? Zostawić profesora i chorych? Nie możemy... – szepnął.

– Słyszałeś, brachu, na ile wystarczy nam żarcia? A sytuacja... z tego, co widać i słyszać – Parfieńczyk wskazał głową okno – pogarsza się z chwili na chwilę.

– A jeśli się mylisz? – wtrącił Zygmunt.

– Was naprawdę pogięło – zachnął się Pablo, gasząc niedopałek tak krótki, że musiał go trzymać między wyhodowanymi do tego celu paznokciami, by się nie sparzyć. – Na waszych oczach wypieprzono z więzienia wszystkich osadzonych. Nad centrum Wrocławia widać łunę. Strzelanina nie cichnie od wielu godzin, przeciwnie wręcz, nasila się nieprzerwanie! Nie czarujmy się. Wyprowadzenie wojska na ulice nic nie dało. Nie wiem, z czym nasi chłopcy tam walczą, ale mogę powiedzieć jedno: koncertowo

dostają w dupę. Skoro nawet klawisze uznali, że pewna czapa jest w tej sytuacji mniejszym złem, to musimy mieć do czynienia z czymś niewyobrażalnym. To nie *variola vera*, brachu, tylko jakiś pieprzony armagedon! – zakończył, podnosząc głos.

– Musi być jakieś inne wytłumaczenie – nie poddawał się Ciesielski.

– To go sobie szukaj. – Pablo rozejrzał się po dyżurce. – Nie wiem jak wy, panowie, ale ja oddaję się w ręce wymiaru sprawiedliwości.

* * *

– Choćbym chciał, to nie mogę. – Muszyński rozłożył bezradnie ręce.

– Dawaj klucz, człowieku! Nie mamy czasu na czcze gadki! – Parfieńczyk, który zawsze traktował cieci z góry, teraz też nie zamierzał się cackać.

– No przecież mówię, że nie mogę... – Portier wskazał na wiszącą za nim witrynę. Rozmieszczone w równych rzędach haczyki były puste, jeśli nie liczyć kilku pożółkłych kartoników, które zastępowały zgubione bądź niezwrócone klucze.

– Gdzieś je pochował, draniu?! – Pablo obrzucił wzrokiem wnętrze niewielkiej stróżówki.

– Pan ordynator kazał mi zdać wszystkie klucze zaraz po tym, jak się okazało, że pacjenci wam pouciekali – wyjaśnił ze stoickim spokojem Szymon. – Do niego musicie iść.

– Żeby go tak... drzwi ścisły! – Ciesielski, czując wciąż szacunek do przełożonego, zmełł w ustach gorsze przekleństwo.

Trochę czasu musiało upłynąć, zanim koledzy namówili go do

wzięcia udziału w tej eskapadzie, ale taki już był, że gdy raz podjął trudną decyzję, nie cofał się na krok, choćby samo niebo miało mu spaść na łeb.

Zygmunt minął tymczasem stojącego im na drodze Muszyńskiego i szarpnął kilka razy za klamkę, lecz wielkie, ciężkie drzwi wyjściowe nawet nie drgnęły. Wyrwanie ich z zawiasów nie wchodziło w grę, nawet gdyby zaparli się we trójkę. Podobnie było z wyłamaniem zamków. Już Niemcy zadbali, by z tego miejsca nie dało się łatwo uciec, a władza ludowa kultywowała tę tradycję jak tylko umiała.

– Skoro tak, to idziemy na górę – rzucił buńczucznie Parfieńczyk.

– No, ale jak to tak? Chcesz się z ordynatorem wadzić? – zaniepokoił się Zygmunt.

– Nie, no co ty – odwarknął rozeźlony Pablo, zmierzając szybkim krokiem w stronę schodów. – Wyfrunę przez świetlik na strychu.

Wspięcie się na ostatnią kondygnację zajęło mu tylko moment, przeskakiwał bowiem po dwa stopnie, zwinnie zawracając na półpiętrach. Ostrzeżony przez Muszyńskiego profesor, co było do przewidzenia, powitał go w drzwiach sekretariatu.

– Po klucz przyszedłem – rzucił hardo Paweł, pomijając wszelkie uprzejmości i tytułaturę.

W takich okolicznościach konwenanse szybko ustępują czystemu darwinizmowi. Zwłaszcza gdy stawką zaczyna być czyjeś życie, a Parfieńczyk miał przekonanie graniczące z pewnością, że zdobycie kluczy jest jedyną gwarancją przetrwania kryzysu.

– Zdajecie sobie sprawę z konsekwencji... – zagadnął Niemczuk, podejmując próbę dialogu, choć odkąd spojrzął przybyłemu w oczy, wiedział, że nie zdoła przemówić mu do rozsądku. Pielęgniarka przyszedł tutaj po klucz, będący w jego mniemaniu przepustką do życia, wydrze go więc za wszelką cenę. Nawet jeśli konieczne będą rękoczyny. – Nie możecie zostawić chorych bez opieki.

– My – rozzuchwalony Pablo wskazał siebie, a potem stojących za jego plecami zdyszanych kolegów – w odróżnieniu od doktorków Gandery i Zadroznego nie składaliśmy przysięgi Hipokratesa. A przypomni mi pan ordynator, gdzie są teraz nasi znamienicy przełożeni? – Zaśmiał się, widząc rzednącą minę rozmówcy. – Jeden wybiegł stąd jak oparzony, nie zdając nawet klucza do gabinetu, a drugi wymknął się chyłkiem z tym swoim dymadełkiem...

No proszę. Wygląda na to, że o tajemnych schadzках Piotra wiedzieli wszyscy oprócz mnie, pomyślał profesor. Ale to w tej chwili najmniejszy z moich problemów.

– Ochłońmy, panowie, proszę! – Niemczuk uniósł ręce w obronnym geście. Nawet za młodych lat nie stanowiłby godnego przeciwnika dla żadnego z tych byków. Do zakładów psychiatrycznych, gdzie często gęsto trzeba stosować przemoc, nie przyjmowano chucher, lecz najsilniejszych kandydatów, którzy przy tym nie musieli być gigantami intelektu. – Porozmawiajmy jak człowiek z człowiekiem, a na pewno dojdziemy do porozumienia.

– Klucze! – Parfieńczyk wyciągnął rękę.

– Przecież to wasi podopieczni! – Ordynator próbował ich

podejść z innej strony. – Znacie ich doskonale. Pozwolicie, by...

– Trzy gęby mniej do wykarmienia – przerwał mu przy pierwszej okazji Pablo. – Może odchodząc, wyświadczymy im większą przysługę, niż pan sądzi.

O tym też wiedzą... Niemczuk przełknął głośno ślinę. W tak wąskim gronie nie sposób zataić podobnych informacji.

– Tam jest gorzej, niż sądzicie – podjął ostatnią, desperacką próbę, widząc, że jego rozmówca zaczyna się jeżyć. Wieloletnia praktyka podpowiadała mu, że zaraz nastąpi wybuch i Parfieńczyk przejdzie od słów do czynów, a tego naprawdę nie chciał.

– Wiemy – zapewnił go Paweł. – I właśnie dlatego chcemy stąd wyjść.

– Tu jest bezpieczniej – skontrował natychmiast profesor, zauważając płaszczyznę porozumienia.

– Teraz tak, ale co będzie pojutrze albo za cztery dni, jak wam się żarcie skończy? – wywarczał Pablo.

– Myślicie, że uda wam się dotrzeć do domów? Panowie, miasto objęto kwarantanną, wojsko strzela bez ostrzeżenia, a wy, jeśli dobrze pamiętam, mieszkacie po drugiej stronie...

– Przestań nam wciskać kity, dziadu jeden! – wydarł się pielęgniarz. Twarz mu nabrzmiała. Na karku i skroniach wystąpiły żyły. Zagotował się. Był przerażony jak szlag i do tego wściekły, a taka mieszanka mogła prowadzić wyłącznie do przemocy. – Aż tacy durni nie jesteśmy, profesorku, żeby pchać się na miasto! Przed chwilą wywalono na bruk wszystkich więźniów z jedyńki! Tam się schronimy, razem z klawiszami. Oni mają w bród prowiantu, kupę broni, siedzą za wysokim murem...

– A nas przyjmą, bo w taki ciężki czas każdemu przyda się medyk. – Zygmunt celowo nie użył słowa „lekarz”, ponieważ mimo białych kitlów żaden z nich nawet nie liznął medycyny. Zatrudniono ich, ponieważ mieli parę w łapach i kiedy doktor kazał, potrafili przywalić.

Niemczuk zastanawiał się przez moment, ale tylko przez moment, czyby nie wyznać im całej prawdy, doszedł jednak do wniosku, że to nie przyniosłoby niczego dobrego, a nawet pogorszyłoby i tak podbramkową już sytuację. Prości sanitariusze nie uwierzyliby w historię o nie dających się zabić odmieńcach, a on – niejako na własną prośbę – pozbawił się możliwości udowodnienia im, że mówi prawdę. Zadrożny, jego kochanka i samobójca siedzieli teraz w kostnicy, której nie da się otworzyć bez wzywania ślusarza albo wyłamania wzmocnionych drzwi, co w tych okolicznościach byłoby bardzo, ale to bardzo nierozsądnym posunięciem.

– Dobrze. Zejdę z wami i otworzę drzwi, skoro chcecie zdezerterować!

– Zdezerterować? – odburknął Parfieńczyk. – To nie wojsko, dziadku. To nawet nie nasza zmiana! Zamknęliście nas tutaj na cztery spusty, ponieważ cała reszta panów doktorów nawiała, ale my nie mamy zamiaru ginąć z powodu tej bandy obesranych świrów, których nazywasz pacjentami.

Mówiąc to, odsunął się, by zrobić przejście nachmurzonemu ordynatorowi. Pół piętra niżej trafili na idącego z odsieczą, zdyszanego nieludzko portiera, który po raz kolejny pokonywał strome schody, nie bacząc na uszkodzoną podczas wojny nogę.

Ciesielski obrzucił go gniewnym spojrzeniem, po czym zmarszczył czoło jeszcze bardziej na widok niesionego przez Szymona sztyła od łopaty. Zanim doszło do nieuniknionej przepychanki z zagradzającym im drogę rencistą, profesor wysforował się naprzód.

– Przecież powiedziałem, że otworzę! – rzucił ostro, jakby nadal był przełożonym zbuntowanych pielęgniarzy, następnie zaś odwrócił się do Muszyńskiego i już znacznie łagodniejszym tonem dodał: – Pan, panie Szymonie, poczeka w sekretariacie. Wszystko będzie dobrze.

Sprowadził na parter wciąż nieufnie na niego spoglądającego Parfieńczyka oraz jego milczących kompanów, otworzył nieśpiesznie wszystkie zamki, nie wypowiadając przy tym ani słowa, i dopiero gdy przekroczyli próg, zawołał za nimi:

– Wiem, co teraz czujecie i myślicie, ale wiercie mi, nie żywię urazy! Pamiętajcie, jeśli coś pójdzie nie tak, możecie wrócić! Te drzwi zawsze będą stały dla was otworem.

Usłyszeli go z pewnością, ale nawet się nie obejrzel.

7

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 04:41
zbieg ulic Kraszewskiego, Struga i Klęczkowskiej

– Łatwo poszło, nie? – rzucił Ciesielski, gdy przebiegli na drugą stronę ulicy i przystanęli na rogu pod więziennym murem.

– Stary głupi nie jest, brachu – odpowiedział Parfieńczyk, nie zwalniasz kroku. – Wiedział, co go czeka, jeśli nie odda klucza po dobroci.

– Pobiłbyś go? – zapytał Zygmunt.

– Zaraz tam pobił. Jedna fanga w nos i dziad by się kopytami nakrył.

– A widziałeś, Pablo, tego ciecica? – Mateusz pokręcił z niedowierzaniem głową. – Ze sztyłem kuternoga przylazł.

– Dobrze, że nie ze sztachetą, jak na wesele w remizie – zaśmiał się Zygmunt, któremu właśnie puszczały nerwy.

Gdy już się wyrechotali, odreagowując niedawny stres, przyszła pora na podjęcie kolejnej decyzji.

– Walimy pod bramę od Kraszewskiego czy idziemy naokoło do głównego wejścia? – zapytał Ciesielski.

Parfieńczyk zatoczył wyciągniętą ręką niemal pełen krąg, na koniec wskazując widoczną w oddali ulicę Klęczkowską.

– Do głównego, panowie. Tam na pewno ktoś będzie, a tu

możemy się dobijać do usranej śmierci.

Ruszyli dalej, pochyleni, czujni, trzymając się blisko muru. Nie obawiali się zarazy, która ich zdaniem nie dotarła w poblize kliniki. Znacznie bardziej niepokoiły ich myśli o puszczonych samopas przestępcach. Większość z tych drani nie stanowiła być może zagrożenia, zwłaszcza dla trzech silnych mężczyzn, lecz spotkanie z recydywą mogło się skończyć różnie.

Po przejściu mniej więcej połowy dystansu Pablo przystanął.

– Słyszeliście? – zapytał, odwracając się do kolegów.

Zamarli na moment, rozglądając się uważnie, ale jedynymi dźwiękami, jakie do nich docierały, były stłumione odległością odgłosy strzelaniny.

– Coś ci się przesłyszało – rzucił w końcu Zygmunt.

– Nie, nie – zaprzeczył Parfieńczyk. – Ktoś tu gdzieś zajęczał.

– Ale gdzie? – zainteresował się Ciesielski.

– Tam chyba... – Pablo wskazał wejście do pobliskiej kamienicy i natychmiast ruszył w jej kierunku.

Drzwi były uchylone, ale na klatce schodowej nie paliło się światło.

– Jest tu kto? – zawołał, zniżając głos, jakby bał się zbudzić lokatorów.

Odpowiedziała mu cisza.

– Nie dziwię się, że masz zwidy, chłopie. – Zygmunt poklepał go po ramieniu, ale nawet się nie zatrzymał. – Mnie aż się włosy na dupie zjeżyły od tego wszystkiego.

– Czeka! – Parfieńczyk uniósł rękę.

Teraz usłyszeli wszyscy. Cichy ni to jęk, ni to szloch dobiegał

z mroku wypełniającego niedomkniętą bramę.

– Tam naprawdę ktoś jest! – Ciesielski stanął jak wryty.

– Halo! – zawołał Pablo, tym razem głośniej.

I znów to zawroźnienie, pełne skargi i bólu. Dochodziło z bliska, jakby ten, kto je wydawał, leżał tuż za progiem kamienicy.

– Ty, a jak to ktoś zarazony? – szepnął Zygmunt, blednąc w momencie.

Trwali w bezruchu, niepewni, co robić dalej, podczas gdy atakujące ich słuch i nerwy jęki przybierały na sile.

– Lepiej stąd chodźmy... – Ciesielski cofnął się o krok.

– Czekaj, brachu. Sprawdźmy, o co tu biega.

Parfieńczyk nie krewił, ale też nie kozakował. Pchnął lewą ręką drzwi, otwierając je na całą szerokość. W poświacie bijącej od najbliższej latarni dostrzegł nogi. Na pewno kobiece, opięte brudnymi, podartymi w wielu miejscach pończochami. Jedna ze stóp była bosa... Ten szczegół sprawił, że nagle przypomniał sobie, gdzie widział wcześniej pobitą czy też raną kobietę. To ona dobijała się jakiś czas temu do drzwi kliniki.

– Cholera jasna... – sapnął zaglądnący mu przez ramię Zygmunt.

Teraz, z bliska, w świetle latarni, widzieli ją lepiej. Siedziała, a właściwie póleżała, oparta górną częścią pleców o ścianę, i obiema rękami ścisnęła kurczowo okolice wyrostka. Na posadzce wokół jej bioder rozlewała się kałuża ciemnej, niemal czarnej krwi.

– Jezusie – jęknął Ciesielski. – Nie podchodź! – Przytrzymał za ramię Pawła, który już kierował się do środka.

– Spokojnie, brachu. Nie mam zamiaru jej tykać – uspokoił go

Pablo.

Pochylił się nad półprzytomną kobietą, obejrzał uważnie ranę, a następnie wycofał się do kolegów.

– Chyba ją pogryzł pies – powiedział cicho. – Cały bok ma poszarpany.

– A może załatwili ją ci z kicia? – zasugerował Zygmunt.

– Pojęcia nie mam, ale wiem jedno: widziałem ją wcześniej z okna. – Parfieńczyk wskazał przez ramię ostatnie piętro kliniki. – Przyłazła od Trzebnickiej, dobijała się do nas przez chwilę, a potem poszła za resztą, właśnie w tym kierunku...

– Jesteś pewien, że to była ona?

– Tak, brachu – potwierdził Parfieńczyk. – Nie miała jednego buta i trzymała się za brzuch, identycznie jak teraz.

– Raczej się nie wyliże – zawyrokował tonem znawcy Ciesielski, który do dłuższej chwili przyglądał się rosnącej wolno, lecz systematycznie kałuży krwi.

– Mówi się trudno. Zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy. Zmiatamy stąd, panowie.

Nie zwracając sobie głowy zamykaniem bramy, zostawili raną tam gdzie była i pobiegli w stronę Kłęczkowskiej. Za drugą z kamieniczek należących do zakładu karnego przystanęli u wylotu wjazdu. Przy niebieskiej bramie osadzonej w budynku administracji stało z dziesięciu mężczyzn walących pięściami w grubą blachę. Wyglądali na więźniów, nie tych groźnych jednak, tylko tymczasowych, jak mawiano o alimenciarzach i innych pijusach, którym powinęła się noga.

– Szlag by to – wysapał Ciesielski.

– Nie wpuszczą nas przez tych drani.

Paweł nagle się wyprostował.

– Czekaście. – Wyszczерzył się, jakby zobaczył dawno nie widzianą ciotkę z Ameryki. – Mam pomysł. Marcin, brachu, ty jesteś dobry w opatrunkach, nie? – rzucił, przyciągając Zygmunta do siebie.

– Zaraz tam dobry, kursy zrobiłem, jak kazali...

– Cudnie, stary, cudnie. Wracamy po niunię!

– Po ranną?

– Tak.

– Ja jej palcem nie dotknę! – Marcin wyrwał się z chwytu.

Parfieńczyk nie słuchał jego narzekań. Popychając obu kolegów przed sobą, kierował się z powrotem na ulicę Struga.

– Po cholere chcesz się nią zajmować? – zapytał wystraszony Zygmunt. – Sumienie cię nagle ruszyło?

– Nie.

– Więc po kiego mam ją opatrywać?!

– Żeby zyskać kartę przetargową przy bramie.

Tym krótkim zdaniem uciszył dalsze protesty. Klawisze mogliby nie wpuścić obcych na teren oczyszczonego właśnie więzienia, ale powinni zmięknąć na widok sanitariuszy niosących ranną kobietę, która – tak przynajmniej będzie brzmiała wersja oficjalna – została zaatakowana przez wypuszczonych na wolność zwyrodnialców. Za murem było ambulatorium, o czym wiedzieli stąd, że tamtejszy lekarz, jakiś dysydent z Górnego Śląska, wpadał czasem na kawę do ordynatora. Jego wstawiennictwo przeważy szalę.

– A jeśli jest zarażona? – Zygmunt wciąż miał opory.

– Nie jest. Widziałeś jej ręce, nogi, twarz? Zero krost, sama gładka skóra. Dopadło ją jakieś zwierzę, nie ospa. Ruchy, bo całkiem nam się tam wykrwawi! – Przyśpieszył kroku.

Dotarli na miejsce w mniej niż minutę. Była tam, leżała jak przedtem, tylko kałuża krwi zdążyła się powiększyć. Marcin, mamrocząc wciąż pod nosem, ściągnął kitel i przykucnął ostrożnie obok półprzytomnej kobiety. Aby założyć opatrunek, musiał najpierw rozprostować jej kurczowo zaciśnięte ręce i wyrwać z nich torebkę. Rzucił ją kompanom, nawet się nie oglądając. Pablo złapał torebkę w locie, zajrzał do środka, pogrzebał w kłamorach, po czym wyjął wyglądający na nowy dowód osobisty.

– Pani Ewa dwojga nazwisk. Bednawska-Krętuś. Nasza ledwie żywa przepustka do raju.

– Źle z nią, Pablo – odparł Marcin, zerkając przez ramię na kolegę. – To nie ugryzienie. Musiała wpaść na coś, może na płot albo gruzowisko, i poszarpała sobie paskudnie cały bok. Na szczęście nie naruszyła otrzewnej, ale nie wiem, czy damy radę donieść ją żywą do bramy więzienia.

– To się pośpiesz! – ponaglił go Parfieńczyk, odrzucając torebkę, po tym jak wyjął z niej niewielki portfelik.

– Nosze by się przydały, wiesz – odezwał się rzeczowo Marcin.

– Mateusz, brachu, dawaj no swój fartuch – zdecydował Paweł, zdejmując własny kitel. – Dwa powinny utrzymać taki ciężar, nie? Poniesiemy ją jak tego manekina na przedostatnim szkoleniu, pamiętacie?

Pamiętali. Podnieśli ranną bez trudu, gdyż ciężka nie była nawet

przed tym, zanim wyciekło z niej parę litrów krwi. Kwiliła cicho, gdy truchtali drobnym kroczeniem, aby jak najmniej kołysać prowizorycznymi noszami, lecz tuż za rogiem Kłęczkowskiej umilkła, jakby straciła przytomność.

– Jeszcze tylko kawałek – rzucił Paweł, który jako pomysłodawca ubezpieczał zdyszanych nieludzko kolegów.

Gdy zbliżali się do bramy, ktoś właśnie odsunął wizjer, po czym usłyszeli tubalny głos należący do któregoś z klawiszy.

– Kapitan mówi, że was wpuści. Za moment przyjdą po was strażnicy, ale macie tam cicho być! Jak który piśnie choć słowo, to zostawimy was na bruku. Zrozumiano? – Stalowa płytką zamknęła się, zanim padła jakakolwiek odpowiedź.

Byli więźniowie się uspokoili. Rozluźnieni poklepywali się po ramionach, uśmiechali, jakby cieszyła ich perspektywa powrotu za mur. Jeden tylko odwrócił głowę, by spojrzeć na zbliżających się pielęgniarzy, którzy mieli do przejścia jeszcze z tuzin kroków, nie więcej.

– Pablo, ja... – Ciesielski zachwiał się nagle i potknął.

Byłby się przewrócił, gdyby asystujący kolegom Parfieńczyk nie podtrzymał go za łokieć. Krok później Zygmunt przystanął, po czym padł na kolana, upuszczając bezwładną kobietę.

– Co wy, chłopaki! – Pablo doskoczył do niego, szarpnął za poły koszuli, prasnął parę razy w twarz, ale nic to nie dało. Błady Marcin nie otworzył oczu. – Mateusz? Odezwij się, brachu! – Zerknięcie przez ramię uświadomiło Pawłowi, że i Ciesielski stracił przytomność. – Ki diabeł?

– Odmieńce! – wrzasnął jeden z więźniów czekających pod

bramą. Pozostali natychmiast zaczęli się do niej dobijać.

– Co wy, ludzie?! – wydarł się Parfieńczyk. – Jakie odmieńce! My z kliniki jesteśmy, ranną niesie...

Poczuł, że coś zaciska się na jego boku tuż pod żebrami. Syknął z bólu, spoglądając w dół, i zdębiał, gdy zobaczył, że w jego ciele zagłębiają się zakrwawione palce kobiety. Rwały skórę i mięśnie, jakby były szczękami imadła. Zaskoczony atakiem Pablo otworzył usta do krzyku, lecz zaraz coś w nich poczuł. To Ciesielski wyciągnął nagle rękę i wraziwszy mu słone od potu paluchy między zęby, szarpnął tylko raz, ale naprawdę mocno, wyrywając z zawiasów dolną szczękę. Ból, potworny, przekraczający wszelkie wyobrażenie, trwał tylko ułamki sekund, niemal natychmiast rozplynął się w błogim niebycie, jakby zmyła go fala zalewającego Parfieńczyka mroku.

8

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 05:28

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Nie wrócili. Mimo wielokrotnych zapewnień profesora, który czekał w stróżówce prawie pół godziny, przed ponownie zamkniętymi drzwiami kliniki nie pojawił się nikt. Ani dezernerzy, ani doktor Gandera, ani siostra Kowalska.

Wstający dopiero dzień, pierwszy w nowej rzeczywistości, nie zaczął się dobrze. Wspinający się ociężale na kolejne piętra pogrążonej w ciszy klatki schodowej Niemczuk miał jednak nadzieję, że najgorsze jest już za nim. Od samego początku uważał Parfieńczyka i jego w gorącej wodzie kąpanych kolegów za najśłabsze ogniwa szkieletowej załogi. Odbębniwszy służbę wojskową, wybrali pracę w szpitalu, ponieważ była lepiej płatna i wydawała się lżejsza niż harówka w którymś z wielkich zakładów Fabrycznej. Ordynator podejrzewał, że spory wpływ na ich decyzję miała perspektywa stosowania siły wobec krnąbrnych pacjentów, co w azylach dla umysłowo chorych było wciąż normą. Tacy ludzie nigdy nie stanowili podpory zespołu. Przychodzili i odchodzili, zmieniając się co rusz, bez krzty szacunku dla wykonywanego

zawodu.

Może więc pozbycie się ich z kliniki nie było wcale takim złym rozwiązaniem? Gdyby zostali, zamknięci w tym gmachu, odizolowani od pogrążonego w chaosie miasta, prędzej czy później doprowadziliby do jakiejś tragedii. Kto wie, czy nie spróbowaliby czegoś głupiego, na przykład przejęcia władzy... Oczywiście siłą. Profesor był zbyt doświadczonym specjalistą, by tego nie rozumieć. Wystarczyło, że spojrzał zaciętrzewionemu pielęgniarzowi w oczy. Uległ tak szybko – co Muszyński miał mu za złe – ponieważ wolał mniejsze zło, którym w tym wypadku było dość znaczne uszczuplenie i tak przetrzebionej załogi.

Z pięciu osób na piętro pozostały tylko cztery, lecz nawet w takiej konfiguracji da się prowadzić dalej klinikę, jeśli odpowiednio rozpisze się dyżury, a przede wszystkim wyłączy farmakologicznie większość najtrudniejszych pacjentów. Było to brutalne posunięcie, balansujące na granicy etyki lekarskiej, jednakże sytuacja też nie należała do normalnych. *Ot, kolejne mniejsze zło. Nie ostatnie zapewne...*

– Panie profesorze?

Zatrzymał się w połowie schodów prowadzących na ostatnie półpiętro.

– Tak, pani Górniakowa? – odpowiedział, odchrząknąwszy uprzednio, ponieważ nie ufał swojemu głosowi.

– Wpół do piątej dochodzi – odezwała się kucharka przydzielona do oddziału siostry Szewczyk. – Jeśli śniadanie ma być gotowe na siódmą, ja i Ewelina powinnyśmy wrócić do kuchni. No i nie ukrywam, że przydałaby nam się pomoc... – zawiesiła

znacząco głoś.

Gotowanie, sprzątanie, ile jest jeszcze zajęć, które ci ludzie będą musieli systematycznie wykonywać prócz doglądania pacjentów? Niemczuk pokręcił głową, schodząc na drugą kondygnację. Miał sobie za złe, że skupiwszy się na powinnościach lekarskich, zapomniał o całej reszcie obowiązków.

– Pani mi przygotuje harmonogram – odpowiedział, ale widząc przerażenie w oczach kucharki, dodał zaraz: – Pani zrobi na kartce taką rozpiskę: o której trzeba rozpoczynać przyrządzanie posiłków, ile czasu to zajmie, jak wiele osób do tego trzeba – uściślił.

– Teraz mam to zrobić? – zapytała Magdalena.

Musiał się zastanowić.

– Nie, wystarczy, że dostanę tę rozpiskę, jak już poradzicie sobie z dzisiejszym śniadaniem. Proszę poprosić siostrę Szewczyk, żeby wyznaczyła osoby do pomocy, ona będzie wiedziała najlepiej, kogo posłać do kuchni. Pani jej powie, że kwestię obchodów biorę na siebie.

– Dobrze, panie profesorze. Postaram się zapamiętać.

Niemczuk odetchnął, gdy kobieta zniknęła za załomem ściany. Sam odwrócił się ku schodom, myśląc: *Kolejny problem z głowy, na pewno nie ostatni w ogóle, ale może przynajmniej tego ranka...*

Wtem budynek zachwiał się w posadach, jakby ziemia zapragnęła pozbyć się go ze swojej powierzchni. Mgnienie oka później ordynatora ogłuszył potworny ryk, a szarzysta za oknem nabrała krwistej barwy, przez co doznał wrażenia, że cały świat nagle zapłonął. Zabrzęczało rozbijane szkło – w górze, pod nim, gdzieś obok. Szyby w oknach i witrynach ambulatoryjnych szafek,

lustra, wszystko pękało pospołu. Z sufitów sypały się miriady drobinek tynku. Tu i ówdzie poleciało coś cięższego.

Równolegle rozległ się złowrogi chrzęst, jakby ponemieckie cegły poddawały się sile tych wstrząsów, na szczęście solidna wiekowa budowla oparła się i temu kataklizmowi; tylko na niektórych jej ścianach pojawiły się cienkie jak włos pajęczyny pęknięć.

Zanim łoskot ostatecznie umilkł, zewsząd zaczęły dobiegać skowyty i wrzaski. Krzyczały przerażone pielęgniarzki, wyli wyrwani ze snu, nic nie rozumiejący pacjenci.

Zaskoczony przez niespodziewane tąpnięcie Niemczuk nawet nie zauważył, kiedy padł na posadzkę. Miał szczęście, że nie stoczył się po stromych schodach, od których dzielił go tylko krok. Nie bacząc na ból w biodrze, podniósł się i przywarł plecami do ściany, rozkładając ręce szeroko na boki.

To była... eksplozja? Tak, coś wybuchło, i to bardzo blisko! Bomba! Ta konstatacja zmroziła mu krew w żyłach. Bombarduj nas! Ale kto? Jak? I dlaczego?

W panice wspiał się na kolejny ciąg schodów. Nie dbał o ból w biodrze ani o startą skórę na dłoniach. Dopadł okna wychodzącego na Odrę. Niebo po lewej było wyraźnie jaśniejsze i znacznie bardziej krwiste niż z drugiej strony. Czerwień rozmywała się jednak szybko, jakby jej źródło ciemniało czy też gasło.

Po krótkiej serii następujących jeden po drugim potężnych wybuchów – mając za sobą bogate doświadczenia wojenne, nawet wyrwany z głębokiego snu Niemczuk umiałby rozpoznać ryk

eksplozji – nie nadeszły kolejne jak podczas ostrzału albo bombardowania.

Coś wyleciało w powietrze. Tutaj, niedaleko, być może w porcie albo jego okolicach. Całe szczęście, że skończy się na powybijanych szy...

Niemczuk zawył, jakby go ktoś rozgrzanym do białości żelazem przypalał. Szkło! Rozbite szkło we wszystkich oknach! Jeśli ostre jak brzytwy odłamki dostaną się w ręce pacjentów, zwłaszcza tych agresywnych, którzy łatwo wpadają w szal, może dojść do hekatomb. Pomimo częściowego ogłuszenia wciąż słyszał skowyty zamkniętych na oddziałach ludzi, przeraźliwe tak, że nawet jemu, choć niejedno już widział, włoski na skórze stanęły dęba.

Dlaczego odłożył decyzję o wzmocnieniu dawek leków do porannego obchodu? Dlaczego nie kazał pielęgniarkom zaaplikować ich w środku nocy? *Ten błąd może nas wszystkich słono kosztować.*

Nie miał czasu na dalsze dywagacje. Zdawał sobie sprawę, że od szybkości jego reakcji zależy los wielu osób. Oderwał się więc od okna i nie zwlekając, ruszył w górę do gabinetu, skąd będzie mógł pokierować...

Zatrzymał się na czwartym stopniu. Jeśli ma przemówić spanikowanym podwładnym do rozumu, musi to zrobić osobiście. Kto w takim momencie podniesie słuchawkę telefonu? Kto go wysłucha? Wahał się tylko sekundę, po czym zawrócił i krzywiąc się wciąż z bólu, zbiegł na drugie piętro. Liczył, że zastanie tam kucharkę, z którą dopiero co rozmawiał.

Nie pomylił się. Leżała zwinięta pod ścianą w pozycji embrionalnej i kwiliła cicho.

– Pani wstanie, pani Górniakowa! – Przyklęknął obok niej. – To był tylko wybuch, nic wielkiego się nie...

Coś łupnęło z metalicznym trzaskiem. Całkiem blisko, na Korzeniowskiego albo na podjeździe od tamtej strony. Zdziwiony Niemczuk spojrział w okna holu wychodzące na miasto i stojące tuż obok więzienie. Szarogranatowe, dopiero jaśniejące niebo przecinały dziesiątki ognistych pióropuszy, które opadały ostrym łukiem ku ziemi. Większość wydawała się mała, ale kilka było naprawdę sporych. Jeden z takich płonących pocisków uderzył właśnie w dach znajdującego się po skosie więziennego bloku dla kobiet.

Ognista kula otaczająca czarny kształt wielkości połowy wagonu kolejowego weszła w gmach z czerwonej cegły jak nóż w masło. Na jego oczach w niebo trysnęły gejzery płomieni i pochłaniające je błyskawicznie chmury iskier. Zrobiło się jasno i kolorowo jak przy pokazie fajerwerków na dwudziestego drugiego lipca, lecz gdy miriady świetlików wypaliły się po kilku sekundach, karmazynowa łuna nie zniknęła, co oznaczało, że ogień trawi wciąż zgliszcza.

Inne komety spadały wokół na kamienice, podwórza, place i ulice, pozostawiając za sobą smugi smolistego dymu.

Profesor skulił się ponownie. Osłonił drżącą kobietę własnym ciałem, modląc się, by podobna rozpalona bomba nie trafiła w gmach szpitala. Klinika została oszczędzona, za co podziękował w myślach Bogu, nieświadom jeszcze, że nie ma powodów do

radości z chwilowego ocalenia.

Pięć, dziesięć sekund spokoju – o ile powstałe pandemonium zasługiwało na to miano. Gdy Niemczuk podniósł głowę, niebo za oknem, poznaczone rozwiewającymi się z wolna kolumnami czarnego dymu, wolne było od ognia.

To tylko płonące szczątki wyrzucone w powietrze skutkiem wcześniejszych eksplozji, skonstatował. Wszystkie, a w każdym razie te większe, już pospadały, można więc uznać, że to koniec zagrożenia. Trzeba zacząć uspokajać ludzi, zanim wybuch paniki dokończy dzieła.

Rozbite szyby! Pacjenci!

Nawrót tych myśli sprawił, że ordynator zerwał się na równe nogi.

– Pani Górniakowa, pani się uspokoi! – Potrząsnął zwiniętą w kłębek kobietą. Kiedy to nie pomogło, posadził ją i kilkakrotnie spoliczkował. Poskutkowało, przynajmniej częściowo. – Już po wszystkim. To był tylko silny, ale zwykły wybuch, jakaś katastrofa w porcie.

– Kara boska... – mamrotała przerażona Magdalena Górniak, rozglądając się z trwogą. – Plagi egipskie...

– Sama pani jesteś plaga egipska! – Znów nią potrząsnął, aż jej się głowa zachybotła na długiej szyi.

Odchylił rękę, by ponowić wcześniejszą terapię, lecz odpuścił tknięty słowami, które przed chwilą usłyszał. Nie miał czasu na wrywanie tej kobieciny z religijnych apokaliptycznych wizji. Z dołu dobiegały coraz głośniejsze i natarczywsze wrzaski, świadczące, że jednak doszło do wybuchu paniki. Na schodach

powyżej rozległ się tupot wielu stóp. To Wiśniewska-Pokus i jej ludzie, przerażeni nie na żarty, próbowali ucieczki.

Profesor zatarasował im drogę z przekleństwem na ustach. Stojąc u wylotu schodów z szeroko rozłożonymi rękami, wiedział, że i w tym wypadku nie zadziałają zwykłe metody perswazji, musiał więc improwizować.

– Stać, kurwa jego mać! – ryknął.

Nie wiedział, co przeważyło: czy jego władcza poza, czy nietypowe dla niego przekleństwo, ale gdyby miał obstawiać, wybrałby to drugie. Podwładni znali go jako cichego, kulturalnego intelektualistę, który krzywi się, gdy musi użyć słowa ocierającego się o niecenzuralność.

Tak czy owak, odniósł połowiczny sukces. Oddziałowa i ostatnia dwójka jej podwładnych zatrzymali się jak wryci, ale w ich oczach wciąż widać było czyste przerażenie.

– Bombardują nas... – wymamrotała blada jak kreda Martyna.

– To nie bomby – odpowiedział Niemczuk, siłąc się na spokój. – Wybuchł zbiornik paliwa w porcie. Doszło tam do najzwyklejszej w świecie katastrofy. Dostałem przed chwilą ostrzeżenie, dzwoniłi z komendy wojewódzkiej, twierdzili, że lada moment może dojść do najgorszego. Chciałem was poinformować, ale zanim zdążyłem... – Zawiesił znacząco głos.

Kolejne kłamstwo w szczytnym celu. Bardzo skuteczne. Już w trakcie mówienia zauważył ulgę malującą się na twarzach trójki podwładnych.

– Wracajcie na oddział – poprosił znacznie łagodniejszym tonem. – Wybuch powybił prawie wszystkie okna od strony

Reymonta i bulwaru. Odłamki szkła mogły poranić pacjentów. Trzeba ich opatrzyć i uspokoić. Podajcie wszystkim elenium. Końskie dawki. Bez wyjątku.

– Jezusie! – Martyna, do której właśnie dotarło znaczenie tego, co przed chwilą powiedział ordynator, zbladła jak ściana. – Jak Traczewski dobierze się do czegoś ostrego...

Nie musiała kończyć. Wszyscy troje zawrócili jak jeden mąż i pobiegli na trzecią kondygnację.

Uff... Niemczuk otarł pot z czoła. Jeden problem z głowy, ale zostały mu jeszcze ekipy z niższych pięter. Zbiegł na dwójkę, lecz tam powitała go złowieszcza cisza, jeśli nie liczyć zwierzęcych skowytów dolatujących z prawej i z lewej, od strony sal i izolatek, w których trzymano najcięższe przypadki.

– Siostrzo Elżbieto! – zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział.

Zasłana rozbitym szkłem dyżurka była pusta.

Poirytowany tym odkryciem zbiegł piętro niżej, tam, skąd dobiegały podniesione głosy.

Tak jak się domyślał, pozostałe oddziałowe i ich podwładni rzucili się pospołu do ucieczki, przed którą powstrzymały ich – na szczęście – zamknięte na cztery spusty drzwi. Spanikowani pracownicy kliniki tłoczyli się teraz obok portierni, na przemian szarpiąc za żeliwną klamkę i napierając na masywne skrzydło, z którym nie mieli szans wygrać.

– Co wy wyprawiacie?! – wydarł się Niemczuk, a gdy mało kto zareagował, zaczerpnął głęboko tchu i najgłośniej jak umiał wrzasnął: – Stój, bo strzelam!

Wszyscy ośmioro zamarli, gdy za ich plecami padły słowa,

których nie spodziewali się w tym miejscu usłyszeć. Zdębieli tym bardziej, że rozpoznali głos krzyczącego mężczyzny. Obejrżeli się równocześnie; oczy mieli szeroko otwarte, twarze zaczerwienione, szczęki opadnięte, jednakże nikt się już nie darł ani nie szturmował wyjścia.

– Nic strasznego się nie dzieje. – Niemczuk odezwał się już normalnym tonem. – W porcie doszło do wybuchu zbiornika z paliwem – powtórzył kłamstwo, żeby podwładni nie złapali go na motaniu. – Dzwonili do mnie z komendy wojewódzkiej, niestety, nie zdążyłem was ostrzec...

– A te rakiety? – zapytał Zając, sanitariusz przydzielony do jedyнки.

– Jakie rakiety? To tylko płonące wciąż szczątki rozerwanego zbiornika – odparł uspokajającym tonem profesor.

Właściwie nigdy nie słyszał o składzie paliw znajdującym się na terenie portu rzecznego, przeładowywano tam bowiem głównie węgiel i zboże, ale wiedział, że żadna ze stojących przed nim osób nie orientuje się w temacie lepiej, a jeśli nawet, to w takim stresie nikt nie będzie myśleć składnie. Liczyło się tylko jedno: ich przełożony otrzymał od władz ostrzeżenie. I co ważniejsze, gwarantował im swoim autorytetem, że największe zagrożenie minęło.

– Dlaczego drzwi są zamknięte? – zapytała wciąż skołowana siostra Krajewska.

– Jest noc – odparł wymijająco Niemczuk. – Na noc zawsze zamykamy.

– Ale klucz...

– Dajmy już temu spokój – wpadł jej w słowo, nie chcąc, by drażyła ten temat. – Eksplozja doprowadziła do wybicia większości okien. Niewykluczone, że część pacjentów odniosła rany. Proszę natychmiast wracać na oddziały i zająć się opanowaniem sytuacji. Trzeba opatrzyć rany i podać wszystkim końskie dawki elenium. Co bardziej agresywnych pakujcie w kaftany albo nie, najlepiej od razu przywiążcie ich do łóżek...

– Za mało nas – zauważył przytomnie Zajęc.

– Racja... – Ordynator zastanawiał się tylko chwilę. – Siostrzo Joanno, siostra zostanie i dokona pobieżnej oceny sytuacji na swoim oddziale, reszta pani ludzi w tym czasie pomoże siostrze Elżbiecie na dwójce.

Na parterze znajdowały się gabinety zabiegowe, za nimi było skrzydło kliniki neurologicznej – dzisiaj świecące pustkami z powodu przeprowadzanego od dwóch tygodni remontu – po przeciwległej stronie holu zaś mieścił się oddział półzamknięty, na którym przebywało aktualnie ośmioro pacjentów, z których żaden nawet pod wpływem paniki nie powinien stanowić większego zagrożenia dla siebie ani dla innych. Rozsądek podpowiadał więc, aby posłać obie ekipy tam, gdzie będą bardziej potrzebne, zwłaszcza że liczył się czas reakcji.

Gdy ponaglani przez Szewczykową podwładni ruszyli w kierunku schodów, zrazu niechętnie, wciąż oglądając się na zamknięte drzwi wyjściowe, profesor chwycił pod łokieć Muszyńskiego.

– Pan też tam się przyda – stwierdził, pociągając portiera za sobą.

Szymon zmełł cisnące mu się na usta przekleństwo. Nigdy wcześniej nie musiał tyle razy włączyć na te przeklęte schody! Uszkodzone podczas wojny biodro dawało się we znaki coraz bardziej, nie pomogła nawet pastylka przeciwbólowa, którą wycygał godzinę wcześniej od siostry Joanny. Kuśtykał więc za poganiającym go co rusz profesorem, lecz na półpiętrze musiał przystanąć, by złapać oddech, a gdy oparł się o parapet wąskiego okna i rzucił okiem na tyły szpitala...

– Łojezu! – wyrwało mu się, zanim zdążył pomyśleć.

– Co się stało? – Wyrwany z zamyślenia ordynator zerknął przez ramię, obrzucając portiera pytającym spojrzeniem.

Przypomniał sobie o dolegliwości Muszyńskiego i na jej karb zrzucił głośną skargę, lecz szybko dotarło do niego, że nie o to chodzi.

– Tam... – Poruszający bezwiednie dolną szczęką Szymon wskazywał drżącym palcem okno. – On...

Niemczuk cofnął się i stanął za plecami roztrzęsionego rencisty. Wystarczył jeden rzut oka na zewnątrz, by i jego ogarnął stupor.

Ten łomot, który dobiegł chwilę temu od strony bulwaru... Ognisty pocisk spadł prosto na dozorcówkę, w której dyżur pełnił młody Lipsa. Nie był wprawdzie tak wielki jak ten bolid, który wbił się moment później w babiniec, lecz i tak wystarczył, by zamienić w ruinę ceglany budynek i postawić go w płomieniach. Nie to jednak przykuło uwagę Muszyńskiego, ale poruszający się, pokryty jęzorami ognia, znajomy kształt...

Adam, bo tak chyba miał na imię chłopak zastępujący tej nocy niedysponowanego ojca, wypełzał właśnie z buzującej jak wnętrze

pieca martenowskiego dozorcówki, pozostawiając za sobą wyraźny płonący ślad. Mimo że całe jego ciało trawiły płomienie, odczułgiwał się od źródła pożaru. Parł przed siebie bardzo powoli, chwytając rozczapierzonymi palcami kolejne kostki brukowe. Pokonał tak ze trzy metry, zanim na dobre znieruchomiał.

– Bożeż ty mój, jaka to musiała być potworna śmierć – wymamrotał Szymon, żegnając się trwożliwie.

Niemczuk nie odpowiedział. Jako lekarz zdawał sobie doskonale sprawę, że płonący jak pochodnia człowiek nie miał prawa przeżyć na tyle długo, by wyczołgać się o własnych siłach z płonącej dozorcówki. Żar wypaliłby mu drogi oddechowe już przy pierwszym wdechu, niewyobrażalnie wysoka temperatura zagotowałaaby w okamgnieniu mózg i narządy wewnętrzne. Być może umarłby tak szybko, że nie poczułby bólu...

To nie był zwykły pożar, ten biedak trafił w sam środek ognistego piekła, momentalnie unicestwiającego wszystko, co żyje. A mimo to zdołał odpełznąć z miejsca kaźni, pozostawiając za sobą kawałki dopalającego się ubrania i ciała. Bogatszy o doświadczenia ostatnich godzin ordynator wiedział, co było powodem tego medycznego cudu. I miał pewność, że to jeszcze nie koniec.

– Chodźmy już, panie Szymonie. Czas pomóc tym, którzy przeżyli... – Chciał położyć dłoń na ramieniu portiera, by pociągnąć go za sobą, ale spóźnił się o sekundę.

– On wcale nie... – bąknął Szymon, przywierając do krat.

Młody Lipsa znów się poruszył. Tym razem nie próbował pełznąć dalej, tylko... zaczął wstawać. Podnosił się niezdarnie, za podporę mając zetlałe dłonie i kolana. Upadł, gdy jedna z rąk

złamała się pod jego ciężarem jak zapalka, lecz to go nie powstrzymało. Po kolejnej, jeszcze bardziej niezdarnej próbie zdołał w końcu uklęknąć. Teraz, gdy wyprostował plecy, pełgające wciąż po jego ciele płomienie strzeliły w górę z większą mocą, ale on miał to za nic. Jeszcze dwie próby i stanął chwiejnie pośrodku drogi dojazdowej.

– Ale jak... Jak on... – Muszyński spojrział błagalnie na profesora.

Pobladł na twarzy do białości, jakby wyssano z niego całą krew. Oczy wylazły mu z orbit, a dolna szczęka oparła się aż o zapadniętą klatkę piersiową.

– To właśnie robi z ludzi zaraza. – Niemczuk nie miał wyjścia, musiał wyznać portierowi prawdę. O ile w przypadku Zadroźnego mógł pominąć milczeniem fakt, że cała trójka zamkniętych w kostnicy ludzi była nie tylko zarażona, ale i martwa czy też nieumarła, o tyle teraz nie dało się już ukryć, iż pokonani przez to choróbsko ludzie uporczywie powracają do życia, jakby zaraza czyniła ich nieśmiertelnymi. – Teraz już pan wie, dlaczego kazałem złamać klucz... – dodał znaczącym tonem.

– Oni też? – Szymon przełknął głośno ślinę.

– Tak. Przed tym cholerstwem nie ma ratunku. Sytuacja jest krytyczna. – Niemczuk chwycił Muszyńskiego za ramiona. – Dlatego musimy trzymać języki za zębami. Rozumie pan?

Odpowiedź nie padła, ponieważ ich uwagę przykuł znów ruch w dole. Lipsa zachwiał się raz i drugi, po czym poleciał bezwładnie do tyłu jak zamroczony alkoholem pijus. Mięśnie na jego udach musiały się wypalić do tego stopnia, że nie były w stanie utrzymać

ciężaru ciała, a może puścił któryś z trawionych ogniem stawów. Jakkolwiek było, wystarczyły trzy koślawe kroki, by Adam ponownie zniknął w buchającym przez wyrwane drzwi dozorcówki ogniu. Sekundę później ogarnięty pożarem strop budynku runął, grzebiąc chłopaka pod zwałami płonących belek i papy.

Profesor, zamiast mu współczuć, poczuł ulgę. Dla tego dzieciaka nie było już ratunku, lecz przy odrobinie szczęścia nikt prócz nich dwóch nie widział jego ostatnich chwil, dzięki czemu tajemnica zarazy nie zostanie odkryta przez pozostałych. *Jak długo jeszcze uda się utrzymać ją w sekrecie, czas pokaże...* Niemczuk spojrzał trwożliwie na widoczny w dole hol drugiej kondygnacji.

Dość, że choć jeden pacjent odniósł śmiertelne rany, a wysłani na dwójkę sanitariusze i pielęgniarki będą świadkami podobnego, jeśli nie po stokroć gorszego koszmaru... Tym razem nie uda mi się ich powstrzymać ani siarczystym przekleństwem, ani nawet groźbą.

9

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 05:37

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Siostra Szewczyk uwijała się jak w ukropie. Ordynator miał rację. Wybuch, choć odległy, doprowadził do wielu szkód, z których przynajmniej na pierwszy rzut oka najpoważniejszą było wybicie niemal wszystkich szyb od zachodniej strony i wielu innych od północy i południa. Wstrząs okazał się tak silny, że nie tylko okna ucierpiały. Lustra, szafki z lekami – gdziekolwiek spojrzęła, zauważała na szkle pajęczyny pęknięć albo otoczone kłami ułomków dziury.

Pech chciał, że izolatki, w których trzymano najniebezpieczniejszych pacjentów, znajdowały się właśnie od strony parku. Ktoś kiedyś uznał, że sielski widok ma kojący wpływ nawet na najbardziej niezrównoważone umysły, ale jej skromnym zdaniem nic to nie dało. Zwyrrodnialcy pokroju Traczewskiego czy Witlickiego mimo lat spędzonych w odosobnieniu i przejścia każdej możliwej kuracji pozostali sobą, czyli pozbawionymi sumienia psychopatami, którzy tylko czekają na okazję, by kogoś skrzywdzić. A że przy okazji byli świetnymi aktorami, już

kilkakrotnie udało im się uspić czujność kolejnych opiekunów, co poskutkowało ciężkim kalectwem dwóch obiecujących młodych pielęgniarzy, a także zgonem postronnej osoby, którą pierwszy z wymienionych pacjentów po udanej ucieczce z izolatki najzwyczajniej w świecie zagryzł, ponieważ tak mu kazał głos w głowie (ponoć należący do samego Szatana).

Biedny Krzysiu...

Zamordowany był starszym bratem Zosi Świetlickiej, wpadł do kliniki w drodze do pracy, ponieważ wychodząc, zapomniała książeczki zdrowia. Pech chciał, że przekroczywszy próg kliniki, wpadł w łapy uciekającego Bogusza, który wziął go na zakładnika. Impas trwał tylko kilka minut, jednakże na nic się zdały błagania zapłakanej siostry, nie pomogły też próby mediacji ze strony doktora Zadrożnego. Traczewski, wyzwolony spod działania leków, znów usłyszał głosy. Wywrócił oczami, jak robił to zawsze, gdy wpadał w trans, a kiedy sanitariusze ruszyli na niego, próbując wykorzystać nadarżającą się sposobność, wgrzyzł się w szyję ofiary z taką mocą, że gdy go odciągali, usta miał pełne skóry i tkanek, które pogryzł i połknął na oczach oniemiałych świadków. Śmiał się opętańczo, kiedy odciągano go od konającej ofiary, której nic nie mogło już pomóc, ponieważ przy takiej ranie i otwartej tętnicy nie sposób było zdążyć z zatamowaniem krwi. Nawet tutaj, w specjalistycznej placówce medycznej dysponującej odpowiednim sprzętem i fachowcami.

Podobnej rzeźni siostra Szewczyk nie widziała nigdy wcześniej ani nigdy później, aczkolwiek praca z psychicznie chorymi do spokojnych nie należała. Mimo że od feralnego dnia upłynęły już

ponad trzy lata, nadal mocno się wzdrygała na samo wspomnienie strugi krwi tryskającej miarowo przy każdym uderzeniu słabnącego serca.

Z tego właśnie powodu czuła ogromne zdenerwowanie, gdy prowadząc Ruciaka i Zająca, zbliżała się do izolatki, w której trzymano obecnie Traczewskiego. Najbardziej niepokoił ją fakt, że w odróżnieniu od innych pomieszczeń dwójki zza stalowych drzwi nie dobiega żaden dźwięk. Siedzący tuż obok Marcin Błazejczyk, drań cierpiący na zaburzenia dysocjacyjne i mający tyle pokręconych osobowości, że zebrane razem mogłyby stanowić obsadę całej serii filmów grozy (i który właściwie powinien zgnić za murem po drugiej stronie ulicy, ale orzeczeniem sądu trafił na wieczne nieoddanie do sąsiedniej instytucji), wzywał teraz pomocy na przeróżne sposoby: z jego izolatki dobiegały na przemian piski przerażonej kobiety, ryki spanikowanego mężczyzny, wątle nawoływania leciwego starca, szloch dziecka i wiele innych niepokojących dźwięków obrazujących fatalny stan chorego umysłu.

Elżbieta starała się je wszystkie ignorować, podobnie jak tubalne śpiewy siedzącego jedne drzwi dalej bipolarnego Witlickiego, w tym akurat momencie czerpiącego z chaosu niezdrową radość. Obaj musieli poczekać na dawkę leku, który odeśle ich na najbliższą dobę albo i dłużej w chemiczny niebyt, ponieważ absolutne pierwszeństwo dano Traczewskiemu. Dlaczego? Pech chciał, że zaledwie dzień wcześniej decyzją ordynatora został rozkuty, gdyż zbyt długie unieruchomienie w łóżku zaczęło powodować u niego odleżyny, a co więcej, leki

podane mu w porze obiadu minionego dnia z pewnością przestawały już działać.

– Krzysztof... – Oddziałowa skinęła głową na stojącego po jej prawicy sanitariusza.

Zając zatrzymał się niecały metr od drzwi. Oblizując spierzchnięte wargi, pochylił się i szybkim ruchem odsunął płytkę wizjera. Z bezpiecznej odległości przyjrzał się tej części izolatki, którą miał w polu widzenia. To właśnie jego Traczewski poturbował feralnego dnia, gdy zabił brata Świetlickiej. Od tamtej pory Krzysztof odpłacał mu pięknym za nadobne, i to przy każdej nadarzającej się okazji, nic więc dziwnego, że Szatan w głowie Bogusza bardzo szybko uznał go za arcywroga, którego należy zniszczyć wszelkimi dostępnymi środkami. Tyle że szczytem dotychczasowych osiągnięć władcy piekieł było ochłapanie sanitariusza moczem z kaczką, albowiem zwykłego plucia nikt nie liczył ani nie traktował serio.

– Widzisz coś? – zapytała siostra Elżbieta, która wybrała Zająca, wiedząc, że sanitariusz ten zrobi wszystko, a nawet więcej, by uniemożliwić znenawidzonemu psychopacie kolejną ucieczkę. Pozostali pracownicy kliniki panicznie bali się Bogusza. Dotyczyło to szczególnie kobiet. Wystarczyło, że spojrzał w ich kierunku, a już rzedły im miny. Z żadną z nich Szewczykowa nie miałaby najmniejszych szans na obezwładnienie drania, gdyby się okazało, że nie spanikował jak pozostali pacjenci (co było bardzo prawdopodobne, zważywszy na ciszę panującą za grubymi stalowymi drzwiami) i knuł właśnie, jak wykorzystał panujący wokół chaos do siania jeszcze większego zamętu. – No więc?

– Nie... – odparł półgłosem Krzysztof, nie odrywając wzroku od wizjera.

– A okno? Co z oknem? – dopytywała oddziałowa.

– Szyby są rozbite – odparł po kilku sekundach irytującej ciszy. – Poszły w drobny mak, ale siatka wydaje się nienaruszona.

Na oddziale zamkniętym okna były zabezpieczone nie tylko od zewnątrz, ale także od środka, by pacjenci nie mieli kontaktu ze szkłem. Lufciki w górnej części można było uchylać za pomocą specjalnej dźwigienki, lecz pomiędzy grubą stalową siatką, której oczka miały w izolatkach po pół centymetra szerokości i wysokości, a samym oknem było co najmniej trzydzieści centymetrów wolnej przestrzeni.

– Sprawdź dokładniej – poleciła Szewczykowa, gmerając przy wiązce kluczy.

Nie przejmowała się, że zaczajony za drzwiami Traczewski może usłyszeć towarzyszący tej czynności metaliczny klekot. Odgłosy wsuwania klucza do dziurki i zgrzyt jego przekręcania trudno przeoczyć nawet w takim harmiderze, tak więc ukrywanie zamiarów nie miało w tym momencie najmniejszego sensu.

– W wykuszu leży sporo ułamków szyby, ale oczka siatki są nienaruszone – zameldował sanitariusz, przysuwając się nieco bliżej, lecz nadal zachowując swoim zdaniem bezpieczną odległość od drzwi. – Drań próbował dobrać się do szkła! – Mówiąc to, Zajac odwrócił się do przełożonej. – Widzę ślady krwi.

– Uwa...! – Tyle zdążyła krzyknąć Elżbieta, dostrzegłszy ruch, po którym w otwartym wizjerze pojawiła się dłoń uzbrojona w bardzo cienki, ale za to długi kawałek szkła.

Wszystko odbyło się tak szybko, że zdekoncentrowany Krzysztof nie zdołał w porę zareagować. Traczewski uderzał na ślepo; wyprowadzając cios, nie patrzył nawet w niewiele szerszy od jego przedramienia otwór, ale nie musiał mierzyć, by dosięgnąć celu, tym bardziej że wzięty przez zaskoczenie Zając, miast odskoczyć, co powinien uczynić, słysząc ostrzeżenie, zaczął odwracać głowę, przez co stracił ułamki sekund i ustawił się idealnie na drodze szklanego szpikulca.

Jego ryk zagłuszył na moment skowity pozostałych lokatorów izolatek. Szarpnął się i cofnął instynktownie, zasłaniając ręką zakrwawioną połowę twarzy.

Elżbieta zamarła, podobnie jak Ruciak i trzymające się za jego plecami Świetlicka i Bruziakowa. Wszyscy wpatrywali się w dłoń trzymającą szklany szpikulec, na którego zakrwawionym końcu znajdowało się... wyłupione oko sanitariusza. Co gorsza, gałka nie tkwiła na samym końcu ułamka szyby, lecz kilka centymetrów od niego, co mogło sugerować...

Szewczykowa otrząsnęła się z osłupienia, gdy Krzysztof padał na kolana. Jego ciałem wstrząsały konwulsje, jak gdyby raz po raz rażono je prądem. Oszołomiony tymi atakami opuścił ręce wzdłuż boków, tak że zwisały bezwładnie, jakby utracił nad nimi kontrolę.

– Wytrąćcie mu to szkło! – zawołała Elżbieta, doskakując do rannego.

Kątem oka zauważyła, że Ruciak bierze zamach drewnianą pałką, która służyła mu do pacyfikowania krnąbrnych pacjentów. Traczewski szarpnął się, ale nie zdołał cofnąć ręki. Wizjer był wąski, a on włożył w pchnięcie całą siłę, przez co jego przedramię

zaklinowało się tak mocno, że potrzebował aż trzech prób, by je uwolnić. W tym czasie Piotr zdążył zadać cios, krusząc dzierżoną broń, i jeszcze jeden, mniej więcej w połowie długości przedramienia, czym z pewnością doprowadził do pęknięcia kości, a nawet ich złamania. Obląkańcowi to jednak nie przeszkodziło wybuchnąć gromkim śmiechem. W wizjerze zamiast ręki pojawiła się moment później jego twarz. Najpierw płonące szaleństwem oczy, potem rozciągnięte w szerokim uśmiechu usta.

– Ofiara została spełniona, Panie mój! Niech się stanie piekło na ziemi! Wypuść swoje legiony i uwolnij pokornego sługę! – charczał Traczewski, krzywiąc się przy tym mocno. Widocznie nawet w szale uniesienia zaczął odczuwać skutki obrażeń. Zamilkł na chwilę, po czym znów się uśmiechając, dodał: – Mój Pan nadchodzi. Właśnie powiedział mi, że się rozprawi z...

Zanim zdążył dokończyć groźbę, wydarzyły się naraz dwie rzeczy. Trzymająca Zająca w ramionach siostra Elżbieta drgnęła, dostrzegłszy kątem oka jakiś ruch, lecz zanim zdołała oderwać wzrok od śmiertelnej rany Krzysztofa, Świetlicka dopadła już do drzwi i z rozmachem wbiła w wizjer kleszcze zaciskowe, w które uzbroiła się w ambulatorium tuż przed wejściem na oddział. Ponad dwudziestocentymetrowe narzędzie chirurgiczne przypominające wydłużone nożyczki zgrzytnęło, przesuwając się po zębie, a następnie weszło w usta Traczewskiego prawie po oczka.

Oddziałowa nie widziała dokładnie, pod jakim kątem został zadany cios, ale ciszę, która po nim zapadła, przyjęła niczym największe błogosławieństwo.

– To za mojego brata! – wrzasnęła w otwór Świetlicka, gdy

dziabnięty przez nią pacjent zwałił się ciężko na plecy. – Pozdrów ode mnie swojego Pana, ty... ty śmieciu!

Z wnętrza izolatki dobiegał przez moment głośny charkot, później coś załomotało o drzwi i zapadła cisza.

– Siostró, klucz! – Ruciak wyciągnął dłoń do Szewczykowej, a gdy nie zareagowała, wyszarpnął jej z ręki cały pęk.

Potrzebował kilku sekund, by znaleźć właściwy, a gdy mu się to udało, pośpiesznie otworzył zamek. *I dobrze, niech sam zajmie się tym potworem*, uznała Elżbieta, tuląc w ramionach umierającego podwładnego.

Zając nie miałby szans, nawet gdyby mogli przenieść go na neurologię i poddać bezzwłocznie operacji. Szklany szpikulec wbił mu się na kilka centymetrów w mózg, co wystarczyło do wywołania silnego krwotoku, którego nie sposób było powstrzymać dostępnymi w klinice środkami. Zresztą gdyby jakimś cudem to się udało, Krzysztof i tak pozostałby niczym więcej jak sparaliżowanym po kres swoich dni warzywem, a takiej męki Elżbieta nie życzyłaby najgorszemu wrogowi.

Ruciak otworzył drzwi na oścież, trzymając uniesioną wysoko pałkę na wypadek, gdyby psychopata tylko symulował. Nie musiał jej jednak używać, ponieważ Traczewski leżał na plecach z otwartą gębą i mętniejącymi z wolna wybałuszonymi oczami. Zbierająca się w jego ustach krew zaczynała właśnie wyciekać z kącików, jednakże sterczące wciąż na sztorc kleszcze nawet nie drgnęły. Bogusz nie żył, to było pewne nawet bez dokładniejszego badania. Czegoś takiego nie da się pozorować.

– Przepuść mnie! – Świetlicka pociągnęła Piotra za ramię. –

Sprawdzę mu puls.

– Na cholere? – mruknął, ale zszedł jej z drogi. – Załatwiłaś drania na amen. – Odwrócił się do oddziałowej. – Co z Krzysiem? – zapytał, zniżając głos.

Szewczykowa nie odpowiedziała. Klęczała na podłodze dwa metry dalej, mocno pochylona, trzymając w ramionach poruszającego nieporadnie nogami sanitariusza. Głowę miała zwieszoną, jakby modliła się za jego duszę, postanowił więc jej nie przeszkadzać. Przełknąwszy zbierającą mu się w ustach gęstą ślinę, przeniósł wzrok na Świetlicką i tu spotkało go zaskoczenie. Zosia, która przyklęknęła obok dźgniętego psychopaty, chwiała się, jakby cierpiała na zawroty głowy, a jej ofiara...

Skurczybyk jakimś cudem przeżył, choć jeszcze przed chwilą mogło się wydawać, że jest sztywny jak deska do trumny. Unosił właśnie ręce, jakby chciał chwycić pochyloną nad nim pielęgniarkę.

Piotr zadziałał instynktownie. Chwycił Świetlicką za kołnierz i pociągnął ku sobie. Ciężka była i bezwładna, jakby straciła przytomność. Zdziwiło go to, ale tylko trochę, ponieważ, po pierwsze, miał do czynienia z kobietą, a te mdleją na potęgę, po drugie zaś, ta kobieta przed momentem zabiła pacjenta. Mordercę brata, pozbawionego uczuć psychopatę, ale mimo wszystko istotę ludzką, a żaden normalny człowiek nie odbiera innym życia, nie rozsypując się przy tym emocjonalnie.

Ruciak zaciągnął nieprzytomną koleżankę na korytarz, gdzie przekazał ją w ręce przerażonej Bruziakowej, a potem wrócił do izolatki, by dokończyć dzieła.

Traczewski próbował się podnieść, ale jedno kopnięcie

chodakiem posłało go ponownie na pokryte plamami krwi brązowe linoleum.

– Masz umówione spotkanie ze swoim Panem – mruknął sanitariusz, unosząc nogę do zadania powtórnego uderzenia. Tym razem mierzył w wystające z wciąż na wpół otwartych ust kleszcze. Szybkie opuszczenie ważącego ponad kilogram drewnianego chodaka wbiło chirurgiczne narzędzie do końca, przy okazji pozbawiając psychopatę kilku przednich zębów i łamiąc w trzech miejscach kość żuchwową.

Zadowolony z wykonanej roboty Piotr cofnął się o krok, spojrzał w dół i... zdębiał. Proste stalowe ostrza kleszczy były tak długie, że powinny dotrzeć aż do potylicy, gasząc wszelkie życie w ofierze, tymczasem leżący na podłodze pacjent nadal się poruszał, jakby to, co mu zrobiono, nie wywarło na nim żadnego wrażenia. Znów próbował się podnieść; chwycił palcami powietrze, unosząc ręce niezdarnie jak niemowlę albo starzec.

Ruciak uniósł pałkę ze szczerym zamiarem zmasakrowania bestii w ludzkiej skórze, ale wtedy właśnie dostrzegł oczy Bogusza. Były całkowicie białe, jakby wywrócone, zauważył też, że krew ciekąca strumieniami z nosa i ust uniemożliwia oddychanie psychopacie, który mimo to...

Wyszedł znów na korytarz, sięgnął do drzwi, by je zatrzasnąć, lecz zanim chwycił krawędź chłodnego metalu, usłyszał za plecami przenikliwy wrzask. Zerknął przez ramię. Alicja odpełzała od leżącej na posadzce Zosi. Minę miała przy tym taką, jakby zobaczyła diabła, a twarz bielszą od kredy, choć nie stroniła tego lata od słońca i należała do grona najładniej opalonych dziewczyn

pracujących w klinice. Nie miał czasu zastanawiać się, o co może chodzić, albowiem Traczewski już przetaczał się na bok, zachlapując przy tym linoleum co najmniej litrem ciemnej krwi.

Piotr zatrzasnął drzwi izolatki, po czym szybko przekręcił klucz, zostawiając go w zamku razem z całym pękiem. Wsunął pałkę za pasek i przyklęknął obok Świetlickiej. Zareagowała, odwróciła opuszczoną nienaturalnie głowę w jego stronę.

Też była blada, a raczej sina na twarzy, kiedy zaś wyciągnął ku niej rękę...

– Nie! – wrzasnęła Bruziakowa, siedząca kawałek dalej, pod najbliższą ścianą. Drżącym palcem mierzyła w koleżankę.

– O co ci chodzi...? – zapytał zdziwiony jej reakcją, ale nie musiała mu odpowiadać.

Wystarczyło jedno spojrzenie w oczy Zosi, równie białe, jak te, którymi przed chwilą gapił się na niego Traczewski. Ruciak odsunął się od przemienionej koleżanki, padając na tyłek. W tej pozycji oddalił się od niej tak szybko, jak mógł, w ostatnim momencie unikając wyciągającej się w jego kierunku ręki.

– Co jest? – mruknął, a gdy przeniósł wzrok na oddziałową, osłupiał do reszty.

Szewczykowa także miała potwornie siną twarz i te niesamowite, szkliste trupie oczy.

– To zaraza... – szepnęła Alicja, po czym złożonywszy ręce, zaczęła się modlić.

Zaraza zarazą, ale jakim cudem zabity psychopata nadal się ruszał? Nawet jeśli jakimś cudem przeżył pierwszy cios, to wbicie kleszczy prosto w mózg musiało doprowadzić do natychmiastowej

śmierci. Na tę myśl Piotr po raz pierwszy poczuł strach. Nie lęk, nie obawę, tylko czysty zwierzęcy strach. Nie był lekarzem, ale pracował w klinice wystarczająco długo, by nauczyć się paru rzeczy, w tym metod pierwszej pomocy i sposobów rozpoznawania, czy ktoś zmarł.

Traczewski został zabity. Na śmierć! Krzysiek także zmarł wskutek wyłupienia oka, ale co stało się z oddziałową i Zosią? One nie zostały nawet draśnięte, więcej, Ela nie miała żadnego kontaktu z agresywnym pacjentem, zatem nie mogła się od niego zarazić...

Po prostu nie mogła, chyba że...

Rzut oka w jej stronę otrzeźwił Ruciaka jak kubeł zimnej wody. Wszyscy troje, Szewczykowa, Świetlicka i Zając, przechylali się właśnie w jego stronę, jakby chcieli go dosięgnąć. Zdrętwiał na moment, ale to wystarczyło, by trójka odmieńców zablokowała mu jedyną drogę ucieczki, zanim zdążył w ogóle zareagować, to znaczy zerwać się na równe nogi i dać dyla, przebiegając między nimi do wyjścia.

Wstał więc, sięgając po pałkę.

– Ala, leć do profesora! – zawołał do koleżanki, która miała jeszcze szanse na ratunek. – Powiedz mu o tym, co tu się wyprawia! Powiedz, że mamy zarazę na dwójce!

– A co z tobą? – zapytała płaczliwie, po tym jak już wycofała się do holu.

– Ja zaraz do ciebie dołączę – odpowiedział, zaciskając spocone dłonie na metrowym kawałku jesionowego drąga.

10

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 05:38

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Krajewska, której grupa wspierała działania Szewczykowej, zajmowała się przeciwległym, wschodnim skrzydłem dwójki – bardziej oddalonym od miejsca wybuchu, a przez to mniej narażonym na zniszczenia. Miało jej pomagać czworo ludzi, w tym tylko jedna pielęgniarka, Marta Kopacz, dziewczyna, z którą pracowała od kilku lat na oddziale półzamkniętym. Do tego dostała obie kucharki i portiera, którzy nie mieli za grosz pojęcia o medycynie, ale tu przecież nie chodziło o klasyczny obchód czy obsługiwanie pacjentów, tylko o pośpieszne sprawdzenie sal i sprzątnięcie każdego okruchu szkła, który mógłby posłużyć chorym do samookaleczenia bądź zrobienia krzywdy współtowarzyszom niedoli.

W tej części oddziału zamkniętego nie trzymano na szczęście zbyt ciężkich przypadków, jednakże Elżbieta i tak uczuliła Joannę na dwóch pacjentów, jej zdaniem wymagających szczególnej uwagi. Pierwszym była Ewa Borowa, apotemnofilka: śliczna młoda blondynka o słowiańskich rysach i wielkich ciemnych oczach,

których zazdrościły jej chyba wszystkie pracownice kliniki. Chodzący ideał, można by pomyśleć, choć ona sama miała odmienne zdanie na temat swojej urody. Trafiała do zakładu psychiatrycznego po nieudanej próbie amputacji prawego przedramienia, które w jej opinii było zbędne i psuło harmonię reszty ciała.

Od tamtej pory, a mowa o kilkunastu miesiącach, profesor i podlegli mu lekarze głowili się, jak pomóc nieszczęsnej dziewczynie. Niczego jednak nie wymyślili, mimo że nie brakowało im doświadczenia. Nie pomogły regularne sesje w gabinecie doktora Gandery, na nic się zdały zmieniane co rusz leki, nawet te drogie, zagraniczne. Wystarczał moment nieuwagi, by Ewa znów próbowała odjąć sobie niechcianą rękę. Próby oczywiście były z góry skazane na niepowodzenie, ponieważ z jej otoczenia usunięto wszystko, co mogłoby posłużyć za narzędzie. Mimo to osiągnęła pewien drobny sukces, jako że nikt nie pomyślał o wyrwaniu jej zębów...

Nie była w stanie odgryźć sobie całej kończyny, jak robią to schwyte w sidła dzikie zwierzęta, zaczęła więc od odjęcia małego palca. Zdesperowana dopięła swego, nie bacząc na niewysłowione cierpienie, które sama sobie zadawała. A gdy ją obezwładniano, śmiała się przez łzy, szczerząc do sanitariuszy zakrwawione zęby.

Zwołane tego samego dnia konsylium podjęło jednogłośnie decyzję, że nie pozostaje nic innego, jak naszpikować nieszczęsną pacjentkę najsilniejszymi psychotropami. Siedziała potem całymi dniami przy oknie wychodzącym na tyły kliniki i gapiła się tymi migdałowymi oczami Poli Raksy na przechodzących bulwarem

ludzi i płynącą w oddali Odrę.

Problem polegał na tym, że dwa tygodnie temu doktor Gandera wystąpił do ordynatora z prośbą o poddanie Ewy kolejnej serii zabiegów, twierdząc, iż wyczytał w specjalistycznym czasopiśmie, że elektrowstrząsy w połączeniu z pewnym nowym specyfikiem mogą zdziałać cuda. O tym, czy to prawda, Borowa miała się przekonać dopiero w następnym tygodniu, w każdym razie już od jedenastu dni zmniejszano jej sukcesywnie dawki leków, by w jak najmniejszym stopniu ucierpiała od syndromu odstawiennego.

Wprawdzie wydawała się wciąż odurzona, lecz już nie tak mocno jak w minionym okresie, tak więc zdaniem siostry Elżbiety istniało spore ryzyko, że w niepożądany sposób zareaguje na widok ostrych przedmiotów.

Drugim przypadkiem, na który Szewczykowa poleciła zwrócić uwagę, był chory na syndrom Ekboma mężczyzna nazwiskiem Augustyniak. Jego wszakże przyjęto do kliniki przed zaledwie kilkoma dniami, po tym jak pociął sobie skórę na nodze w daremnej próbie wydłubania spod niej gnieźdzących się tam urojonych pasożytów. Jego także poddano farmakoterapii, na początek sięgając po niezbyt silne leki, ponieważ doktor Zadrożny i profesor Niemczuk chcieli zapoznać się bliżej z tym niezwykle rzadkim schorzeniem, na które cierpią zazwyczaj starsze, samotne kobiety, a nie mężczyźni w sile wieku, do jakich przecież zaliczał się pan Zbigniew: postawny, atletycznie zbudowany, choć kompletnie łysy mieszkaniec Warszawy, przebywający od jakiegoś czasu na delegacji w stolicy Dolnego Śląska. A było czego słuchać, ponieważ pacjent z wypiekami na twarzy opowiadał lekarzom,

gdzie i kiedy doszło jego zdaniem do zarażenia pasożytami. Umiał przy tym niezwykle obrazowo opisać wygląd pełzających pod skórą robaków, wiedział nawet, jak się rozmnażają. Joanna była świadkiem tylko jednego jego ataku, wtedy gdy go przywieziono. Widziała, jak wił się na noszach, skowycząc, jakby naprawdę coś go pożerało od środka. Rozumiała więc, że Augustyniak również może sięgnąć po ułamki szkła, aby ulżyć urojonym objawom.

Z tych to właśnie powodów musiała podzielić dostępne jej siły. Sama zajęła się mieszkanką sali numer dwa, a pozostałych, pod dowództwem siostry Marty, posłała do ósemki, gdzie trzymano pana Zbigniewa.

Od eksplozji minęło zaledwie siedem minut, dosłownie moment, w którym w życiu przeciętnego człowieka niewiele może się wydarzyć, ale Krajewska i tak była pełna obaw, ponieważ dla chcącego nie ma przecież nic trudnego, jak mówi stare i mądre porzekadło. Znała też jeszcze jedno, nie mniej pasujące do tej sytuacji powiedzenie: jak coś się pieprzy, to na całego.

Przekręciła drżącą ręką klucz w zamku, otwierając drzwi sali numer dwa.

Plan był prosty. W dyżurce napełniła szybko wszystkie dostępne strzykawki i rozdała je każdemu pomocnikowi bez wyjątku, uczulając ich jednak, by uważali, co robią – zwłaszcza że miała pod sobą także niewyszkolony personel. Lek mógł powalić przysłowiowego konia, dlatego musieli uważać z dawkowaniem, a wiadomo, że podczas szamotaniny, gdy ludzie wpadają w panikę, różnie może z tym być. Nie miała jednak wyjścia. Gdyby takiemu Augustyniakowi udało się wytrącić Kopaczowej strzykawkę albo

stłuc ją, zanim lek zostanie skutecznie podany... wolała nie myśleć, czym by się to skończyło. Dlatego wszyscy mieli na podorędziu dodatkowe dawki. Jeśli niechący przesadzą... Niech Bóg ma w opiece tego biedaka.

Otworzyła drzwi na oścież, błędząc wciąż myślami przy drugim, jej zdaniem poważniejszym przypadku, i stanęła jak wryta. Już na pierwszy rzut oka widać było, że się spóźniła.

Jak bardzo, to się dopiero okaże.

Ściana pod rozbitym w drobny mak prawym oknem pokryta była licznymi bryzgami jasnej krwi. Na linoleum, którym w zeszłym roku wyłożono spękane przedwojenne kafelki, też szkliło się od juchy. Wyraźny trop prowadził w kąt czteroosobowej sali, a tam...

Borowa siedziała na łóżku, szczerząc się jak głupia i pokazując podchodzącej do niej wolnym krokiem pielęgniarce prawe przedramię. Rękaw szpitalnej koszuli podwinęła aż nad łokieć, odsłaniając szpecącą jej zdaniem kończynę – co w tej chwili było najszczerzą prawdą, gdyż dorwawszy się do ułomków szyby, pocięła sobie rękę okrutnie, głęboko, miejscami aż do kości. Straciła już z litr krwi, może nawet więcej, lecz nadal się uśmiechała, jakby spotkało ją coś dobrego.

– Siostra zobaczy – pisnęła, wrażając w ciało tuż pod łokciem kilkucentymetrowy, wąski jak nóż szpikulec, po czym wyjął z bólu, ale nie przestając się szczerzyć, przeciągnęła nim aż do nadgarstka. Miała już tuzin takich nacięć.

– Jezu, dziecko, coś ty najlepszego zrobiła... – wymamrotała zdruzgotana tym widokiem Joanna.

– Teraz doktorzy będą musieli obciąć to paskudztwo. – Pacjentka machnęła niepotrzebną jej zdaniem ręką, obryzgując siostrę Krajewską strumieniem ciepłej krwi.

Metaliczny zapach wytrącił pielęgniarkę ze stuporu. Strzykawka wylądowała z głośnym stukotem na szafce nocnej. Borowa nie była agresywna, a usypianie jej w tej chwili nie miało większego sensu, skoro zdążyła zrobić sobie krzywdę.

Joanna chwyciła więc za ręcznik, po czym spróbowała sięgnąć po okaleczone przedramię, ale Borowa uchyliła się zrećtnie, trącając przy tym nogą stojącą obok łóżka szafkę. Siostra Krajewska nie odpuściła jednak, ponowiła próbę, a pacjentka skuliła się, chowając krwawiącą rękę pod siebie i dźgając na oślep trzymanym w drugiej dłoni szkłem.

– Jezusie!

Siłowanie się z Ewą, zwłaszcza teraz, gdy trzymała w dłoni narzędzie równie ostre jak nóż, także nie miało sensu. Krajewska zaczynała żałować, że nie wzięła sobie nikogo do pomocy. W pojedynkę stała na straconej pozycji, a czas dodatkowo działał na jej niekorzyść. Jeszcze dwie, trzy minuty i pacjentka wykrwawi się do tego stopnia, że nikt i nic jej nie pomoże.

Trzeba znaleźć inne rozwiązanie. I to naprawdę szybko!

Krajewska właśnie otwierała usta, by zawołać na pomoc kogoś z drugiego zespołu – umówili się, że jeśli zajdzie taka potrzeba, jedna z kucharek wesprze oddziałową – lecz z korytarza dobiegły właśnie stłumione odległością i ścianami wrzaski. Czyżby u Augustyniaka też nie poszło gładko? A może to Elżbieta trafiła na jakiś problem?

Że też wszystko musiało się przeciw nam sprzysiąc, pomyślała z wyrzutem Joanna, rozpaczliwie szukając wyjścia z patowej sytuacji.

– Dziecko, musisz pozwolić mi opatrzyć tę rękę... – powiedziała, wzdrygając się na głośny trzask, z jakim odłożona przed chwilą strzykawka wylądowała na posadzce. Grube szkło rozprysło się jak wcześniej szyby i lekko mętne lekarstwo rozlało się po linoleum. Ta opcja odpadała więc na dobre, ale na szczęście Krajewskiej coś zaświtało w głowie. – Inaczej nie będzie amputacji – zagroziła.

– Dlaczego? – Ewa nie drgnęła nawet, a plama szkarłatu rozlewającego się po skotłowanej szpitalnej pościeli rosła z każdą sekundą. Nakrochmalona bawełna piła juchę łapczywie niczym wygłodniały drapieżnik.

– Wykrwawisz się od tych ran i umrzesz, zanim doktorzy zdołają cię połatać – tłumaczyła najogłędniej, jak umiała, oddziałowa.

Borowa, wciąż częściowo otumaniona zażyтым wcześniej lekiem i osłabiona wpływem krwi, potrzebowała czasu, by przyswoić tę informację, jednakże chyba w końcu do niej dotarło, że igra z ogniem, ponieważ przestała się głupkowato uśmiechać.

– Jak to: wykrwawię się? – zapytała niepewnie.

Joanna nie musiała nic mówić, wystarczyło, że wskazała głową na pościel. Włókno po włóknie nabierało barwy dobrego wina. Ten obraz wart był tysiąca słów.

Tym razem pacjentka nie odtrąciła wyciągniętej do niej ręki.

Poddała się bez oporu, spoglądając z obawą na pociętą

kończynę; jej oczy wydawały się w tym momencie szczególnie wielkie, ponieważ rozszerzał je dodatkowo strach. Ona chyba naprawdę nie była świadoma konsekwencji tak rozległego samookaleczenia. Może należało winić za to otepiające leki, a może samą chorobę, wobec której nauka była wciąż bezsilna. W każdym razie na reakcję zostało naprawdę niewiele czasu.

Krajewska zrobiła jedyną rzecz, jaka jej przyszła do głowy w tej sytuacji. Szarpana przez zaczynającą panikować Ewę rozsypła sznurówkę, dziękując w myślach Bogu za to, że została przy ortopedycznym obuwiu i nie zamieniła go na polecane przez zwierzchnictwo chodaki. Z długiego na prawie metr sznureczka sporządziła opaskę uciskową, po czym zawiązała ją na ramieniu pacjentki tak mocno, że ta zasyczała z bólu. Następnie obrzuciła wzrokiem rany. Krwawienie zmalowało, ale nie zostało całkiem zatamowane. Długie na trzydzieści centymetrów cięcia naruszyły większość mięśni i naczyń krwionośnych.

Pewne było, że ręki nie da się odratować – tym razem Ewa dopięła swego.

Oddziałowa rozejrzała się po sali. Prócz apotemnofilki przebywały na niej jeszcze dwie pacjentki, katatoniczki. Pierwsza z nich, wychudła i blada jak sama śmierć, leżała przywiązana do łóżka z zamkniętymi oczami, druga zaś – dużo młodsza – siedziała na krześle pod przeciwległą ścianą, gapiąc się tępo w sufit. Żadna nie zareagowała na rozgrywającą się tuż obok tragedię: ani na akt samookaleczenia, ani na późniejsze próby ratowania Ewy. Z ich strony nie było co liczyć na pomoc.

– Marta! – zawołała Krajewska, przykładając zakrwawione

dłonie do ust.

Nie była jednak w stanie przekrzywić wrzasków dobiegających z korytarza. Augustyniak dawał się pozostałym we znaki, a ona nie mogła przecież czekać. Musiała zaprowadzić Ewę do ambulatorium, zanim pobiegnie po...

W tej właśnie chwili uświadomiła sobie, że na terenie kliniki przebywa obecnie tylko profesor Niemczuk, wprawdzie też lekarz, ale psychiatra. Człowiek, który skończył studia jeszcze za sanacji, po pierwszej wojnie światowej, i być może nigdy nie miał do czynienia z szcikiem ran, o amputacjach nie mówiąc. Znajdująca się w skrzydle obok neurologia także była zamknięta na cztery spusty, zatem jedyną osobą, na której mogła w tej chwili polegać apotemnofilka, była pielęgniarka oddziałowa, za cholere nie wiedząca, co robić.

* * *

Marta podbiegła do drzwi ósemki i otworzyła je, nie czekając, aż reszta przywlecze się za nią. Krajewska i Szewczykowa wyraziły się jasno. Liczył się czas, robiła więc, co w jej mocy, by jak najszybciej dotrzeć do zagrożonego pacjenta. Ze strzykawką i wacikiem w ręku wparowała do czteroosobowej sali, mając zakodowane w głowie, że problem może być tylko z jednym pacjentem.

Myliła się.

Było gorzej. Znacznie gorzej.

Z Augustyniakiem dzielili salę trzej inni mężczyźni, którzy zdaniem siostry Szewczyk nie powinni przysporzyć interweniującym kłopotów. Niestety, prognoza okazała się

chybiona. Kopaczowa stanęła jak wryta, ujrawszy całą czwórkę pod rozbitymi oknami. Wszyscy jak jeden mąż gmerali pociętymi palcami w oczkach siatki, próbując dobrać się do odłamków szyb, które – na szczęście – w większości były zbyt duże, aby dało się je przeciągnąć przez stalową plecionkę.

Zdumiona pielęgniarka zaniemówiła, lecz gdy została trącona w ramię przez zdyszanego portiera, natychmiast odzyskała głos i władzę w nogach.

– Odejdą mi od tego okna! – wrzasnęła tak głośno, że gdyby w tym pomieszczeniu było jeszcze jakieś niestłuczone szkło, to pewnie poszłoby w drobny mak.

Pacjenci nie zareagowali, co nie było dla niej wielkim zaskoczeniem, gdyż wiedziała, że ma do czynienia ze schizofrenikami. Dwaj z nich, Hubert Noszczyk i Paweł Karolak – nazywani potocznie, lecz nie do końca poprawnie, fregolikami – cierpieli na urojeniowy syndrom błędnej identyfikacji, bardzo uciążliwe dla otoczenia schorzenie, ale raczej nie tłumaczące ich obecnego zachowania.

Pierwszy po wypadku na budowie przestał rozpoznawać żonę. Po wypisaniu ze szpitala i przewiezieniu do kamienicy, w której mieszkał, notabene dwie ulice od miejsca, w którym teraz przebywał, wpadł w panikę. W piżamie, z obandażowaną głową, uciekł do sąsiadów, tłumacząc, że w jego mieszkaniu przebywa jakaś obca kobieta, która go nagabuje, a gdy próbowali go uspokoić, stwierdził, że na pewno została podstawiona przez SB, aby go inwigilować, ponieważ ważył się krytykować w myślach partię. Po dwóch tygodniach takiego cyrku wezwane przez rzeczoną

małżonkę pogotowie odstawiło go do pobliskiej kliniki, gdzie ze zdiagnozowanym syndromem Capgrasa pozostawał na obserwacji aż do dzisiaj, nie sprawiając problemów i zachowując się bardzo potulnie, albowiem desperacko pragnął opuścić te mury. Z tym że ilekroć lekarze próbowali zwrócić mu wolność, oblewał test. Na widok sprowadzanej do szpitala żony nie umiał się opanować, znów wpadał w panikę i nafaszerowany środkami uspokajającymi wracał na salę.

Drugi schizofrenik cierpiał z kolei na syndrom Fregoliego. Był święcie przekonany, że wszyscy krewni i znajomi to jedna i ta sama osoba, która szpieguje go w przebraniu. Rodzice próbowali przemawiać mu do rozsądku, ale nie pomagało nawet zebranie wszystkich osób razem. W takich sytuacjach albo panikował i uciekał z domu na długie godziny, albo wpadał w szal. Nic dziwnego, że bliscy nie wytrzymali i po mniej więcej miesiącu szukania ratunku po lekarzach zdecydowali się na oddanie jedyne go syna do zakładu psychiatrycznego.

Tutaj kołomyja zaczęła się od nowa. Karolak twierdził teraz z taką samą niezachwianą pewnością, że wszyscy lekarze i pielęgniarki, z którymi ma kontakt, są tą samą, prześladowającą go osobą. Do niemal każdego, z kim rozmawiał, zwracał się więc per „ty draniu”. Jedynymi wyjątkami – z tego, co wiedziała Marta – byli: sanitariusz nazwiskiem Parfieńczyk i siostra Bruziak, których Paweł jakimś cudem rozpoznawał i którym zdawał się ufać, aczkolwiek nie na tyle, by dać się przekonać, że nie ma żadnego spisku.

Doktor Gandera zdołał wprawdzie doprowadzić do znaczącej

poprawy stanu chorego, niestety, po kilku tygodniach nastąpił nawrót. Objawy tak się nasiliły, że nie wdrożono planowanego na ten miesiąc cyklu elektrowstrząsów, by nie zaszkodzić pacjentowi jeszcze bardziej.

O trzecim delikwencie Kopaczowa niewiele wiedziała. Daniel Fejdasz, bo takie nazwisko zauważyła na karcie chorobowej przy jego łóżku, trafił do kliniki dwa dni temu z syndromem obcej ręki, jednakże podobnie jak fregolicy nie sprawiał siostrze Elżbiecie większych kłopotów, choć patrzenie na niego mogło przyprawić zdrowego człowieka o dreszcze. Ni stąd, ni zowąd zaczynał bić się po twarzy i zaraz wpadał w panikę, ponieważ myślał, że został przez kogoś zaatakowany.

Teraz cała trójka klęczała przed rozbitymi oknami i wraz z Augustyniakiem próbowała dobrać się do szkła. Dlaczego? Na co im ono? Na te pytania Marta nie знаła odpowiedzi, ale patrząc na ich pocięte palce, rozumiała, że muszą być bardzo zdeterminowani.

– Odejść mi od tego okna! Już! – wrzasnęła ponownie, ruszając w ich kierunku.

Augustyniak zareagował pierwszy. Może dlatego, że zdobył właśnie upragniony kawałek szkła, niewielki, liczący zaledwie trzy centymetry długości, co jednak wystarczało, by zadał sobie rany, które nie zagoją się do wesela. Zerwał się z kolan i uskoczył przed szarżującą na niego pielęgniarką. Umknął przed nią zwinnie na drugą stronę stołu, uskakując na boki jak dzieciak bawiący się w berka, po czym ruszył z rykiem na ustach prosto na drzwi, w których wciąż stał Muszyński z obiema kucharkami.

Kobiety z piskiem rozbiegły się na boki, żeby zejść z drogi

szaleńcowi. Z ich punktu widzenia wszyscy pacjenci tego przybytku byli wariatami, mniej lub bardziej pokręconymi, lecz nieodmiennie stanowiącymi źródło zagrożenia, bały się ich więc równie mocno jak zarazy. Portier nie skrewił jednak jak one. Stał hardo tuż za progiem, jakby uważał, że powstrzyma obłąkańca samą swoją obecnością. Kiedy nie baczący na nic Augustyniak znalazł się krok od dwadzieścia lat starszego od niego rencisty, Marta skrzywiła się i zamknęła oczy. Gdyby tego nie zrobiła, zobaczyłaby, jak pan Szymon wyprowadza zaskakująco szybki podbródkowy, który trafia wyższego i o połowę cięższego od niego mężczyznę idealnie w szczękę.

Uderzenie było naprawdę fachowo wyprowadzone, tak jak uczył go Władysław Kowalski na zajęciach z boksu, na które Muszyński uczęszczał jako młodzik, zanim trafił na wojnę i został ranny. Pewnych rzeczy się nie zapomina, zwłaszcza gdy człowiek nie tylko rozpamiętuje dawne dobre czasy, ale też ćwiczy regularnie, choć już tylko w domowym zaciszu, na wypełnionym piachem worku marynarskim.

Nogi ugięły się pod zamroczonym Augustyniakiem, zdobyte z takim poświęceniem szkło wyleciało mu z dłoni, jednakże on sam nie mógł się zatrzymać, wpadł więc z rozpędu na blokującego mu drogę portiera i razem zwałili się na posadzkę korytarza. Na ten widok kucharki zaczęły wrzeszczeć jeszcze głośniej, a Marta, której ze zrozumiałych przyczyn umknęło najważniejsze, nie wiedziała, co robić: czy iść z odsieczą zaatakowanemu z taką bezwzględnością panu Szymonowi, czy odciągać od okien pozostałą trójkę pacjentów.

Po sekundowym wahaniu wybrała to pierwsze, co okazało się jej największym błędem.

Noszczyk i Karolak mogli jej zdaniem poczekać. Mimo że nie wiedziała, czemu tak desperacko pragną zdobyć choć kawałek potłuczonego szkła, ważniejsze wydało jej się ratowanie zaatakowanego portiera, który właśnie próbował się rozpaczliwie wydostać spod zamroczonego, ale ciężkiego jak szlag Augustyniaka. Jego strzykawka, rozbita w drobny mak, leżała na samym środku korytarza, a żadna ze spanikowanych kucharek nie zamierzała użyć trzymanego w ręku środka uspokajającego. Stały tam tylko i wrzeszczały, nakręcając się wzajemnie.

Kopaczowa doskoczyła do leżących i nie namyślając się wiele, wbiła igłę w tyłek pacjenta, który jej zdaniem dusił właśnie pana Szymona. Tak to wyglądało z jej perspektywy, aczkolwiek tak naprawdę Augustyniak miał w tym momencie spory problem ze zrozumieniem, skąd wzięła się na szpitalnym korytarzu ciężarówka, która go potrąciła. Oszołomienie celnym hakiem było tak mocne, że nie wierzył, choć powinien, gdy poczuł najpierw piekące ukłucie, a potem znacznie mocniejszy, rozrywający pośladek ból, towarzyszący zbyt szybkiemu wtłoczeniu weń prawie dziesięciu centymetrów sześciennych mętnego płynu.

Zaaplikowany Augustyniakowi środek był bardzo silny, ale nawet on potrzebował czasu na zadziałanie, Marta odrzuciła więc opróżnioną strzykawkę i chwyciwszy półprzytomnego pacjenta za lewe ramię, przetoczyła się na bok, zakładając fachową dźwignię i odciągając go od z trudem łapiącego oddech portiera. Pan Szymon, korzystając z jej pomocy, zdołał się w końcu uwolnić, lecz

że brakowało mu sił, by od razu wstać, odczołgał się tylko na stronę, łapiąc powietrze jak wyciągnięta z wody ryba.

– A wy przestańcie w końcu drzeć ryja! – zawołała Kopaczowa do panikujących wciąż kucharek. – Ale już! – Gdy obsztorcowane kobiety odjęły ręce od uszu i ucichły, wydała im kolejne polecenie. – Jazda na salę! Zróbcie im zastrzyki...

– Ale oni... – pisnęła Górniakowa.

– To chociaż odciągnijcie ich od okien! – Marta zmieniła zdanie. Te cholerne idiotki prędzej połamią igły albo porozbijają strzykawki, niż ich prawidłowo użyją. – Ja zaraz do was dołączę.

Musiła się upewnić, że obezwładniony mocnym chwytem i środkiem farmakologicznym Augustyniak nie wstanie i nie zacznie ponownie uciekać, albowiem na to przede wszystkim nie mogła pozwolić.

* * *

Joanna pojawiła się w drzwiach ósemki w chwili, gdy Marta z pomocą kucharek i portiera usiłowała wtaszczyć nieprzytomnego Augustyniaka na łóżko, by można go było unieruchomić pasami. Pozostali pacjenci leżeli już grzecznie w pościeli, zwinięci w kłębek i tak przerażeni, że bali się choćby drgnąć. Miela i Górniakowa, które nie miały wielkiego doświadczenia w obcowaniu ze schizofrenikami, zagnały ich tam wyzwiskami, pięściami i kopniakami, zanim siostra Kopacz zdążyła je pouczyć.

– Potrzebuję twojej pomocy – rzuciła bez wstępów Krajewska, po czym obróciła się na pięcie, jakby zamierzała odejść.

– Najpierw ty mi pomóż, Joasiu – wystękała Kopaczowa, ocierając pot z czoła, gdy ciężki jak dwa wory ziemniaków i równie

jak one bezwładny pacjent wyślizgnął jej się z rąk.

– Chodź – ponagliła ją oddziałowa. – To naprawdę pilne.

– Nie zostawimy go przecież na podłodze!

– Nic mu nie będzie, jak sobie na twardym poleży. No chodźże.

– Ale...

– Ona mi tam umiera! – Joanna podniosła głos.

– Siostra idzie – wysapał portier, po tym jak już ułożyli Augustyniaka równiej, a gdy dostrzegł wahanie w jej oczach, dodał jeszcze: – Bez obaw, ogarnę ten bajzel.

– Zostały nam tylko dwie strzykawki – poinstruowała go Marta, ruszając w kierunku drzwi i czekającej tam z wyciągniętą ręką Krajewskiej. – Daj pan pozostałym po siedem centymetrów. To powinno wystarczyć. A wy, płaczki, łapcie za szczotki. Niech mi tu nie zostanie choćby jeden okruch szkła!

To powiedziawszy, zniknęła w korytarzu, by podążyć za przełożoną.

Muszyński zrobił zastrzyki, jak mu kazano, następnie zaś pomógł rozrzuścionym wciąż kobietom posprzątać salę. Okruchy szkła zaścielały całą podłogę, lecz szpitalne meble są na szczęście tak skonstruowane, że umożliwiają dostęp do najdalszego nawet kąta, dzięki czemu w kilka minut wymietli każdą drobinę, a potem zajęli się wykuszami. To wymagało od nich otwarcia kłódek blokujących ramy z siatkami, ale poradzili sobie z tym sprawnie, wiedząc, że muszą jeszcze zrobić porządek na sali numer dwa, o pozostałych pięciu nie mówiąc, tak samo jak o tych pomieszczeniach ogólnodostępnych, które znajdowały się we wschodniej przybudówce.

Dziesięć minut później Szymon po raz ostatni omiół wzrokiem lśniące czystością pomieszczenie i zaprowadził obie kucharki do sali znajdującej się na początku korytarza. Wiedział, że tam też nie będzie wesoło, nie spodziewał się jednak aż takiego pieprznika. Wszędzie było pełno krwi, na ścianie pod oknem, na podłodze, na meblach, na łóżkach – na jednym z tych ostatnich plama zrobiła się tak wielka, jakby w pościel wsiąkły hektolitry juchy – nie zastał jednak ani pielęgniarek, ani rannej. Powitały go za to dwie pacjentki, nieruchome i blade, jakby wykute z marmuru posągi.

– Wysprzątajcie dwójkę tak dokładnie jak ósemkę, a potem przywróćcie porządek w reszcie sal. – Muszyński podał stojącej bliżej kucharce pęk kluczy do kłódek i drzwi tego oddziału. – Ja sprawdzę, czy siostry nie potrzebują pomocy.

– Pan nas nie zostawia samych z tymi... tymi... – zapiszczała pani Ewelina, wskazując na nieruchome postacie.

– Dałyście sobie radę z trzema chłopami, to i te katatonice nie powinny być wam straszne! – Portier pokręcił głową, śmiejąc się w głos. – Założyć się mogę, że nawet na was nie spojrzą. Zresztą bez obaw, pewnie zdążę wrócić, zanim tu skończycie.

Nie musiał długo szukać pielęgniarek, wystarczyło iść po krwawym tropie, który zostawiły, przewożąc ranną pacjentkę. Ta kobieta musiała zrobić sobie potworną krzywdę, uznał Muszyński. Ciemnoczerwone kropki znaczyły biel poniemieckich kafelków z zatrważającą regularnością. Widział je co kilka centymetrów, a były naprawdę spore. *To nie kropelki z rozciętego palca ani nawet rozbitego nosa*, skonstatował w duchu. Część została rozpaćkana w charakterystyczny sposób, szybko więc wywnioskował, że siostra

Joanna zapakowała okaleczoną kobietę na wózek inwalidzki. Domyślił się także, dokąd ją zawiozła.

Ambulatorium znajdowało się na końcu budynku, we wschodniej przybudówce, jego okna wychodziły na poradnię i znajdującą się za nią ulicę Zegadłowicza, lecz choć ta strona budynku była najmniej narażona na skutki eksplozji, i tam nie obeszło się bez szkód. Szyby w oknach pokryła siatka pęknięć, ale na szczęście nie rozsypały się w drobny mak jak te na salach, które Szymon wcześniej odwiedził. Za to witryna szafki z lekami i narzędziami wyglądała, jakby walnął w nią meteoryt. Jasne było jednak, że te zniszczenia nie zostały spowodowane wstrząsem. Większość szkła wałała się bowiem nie na podłodze, tylko na półkach, między flaszkami i pudełkami, co było czytelnym znakiem, że ktoś potraktował tę szybę tępym narzędziem albo... łokciem.

Siostry zdawały się tym faktem nie przejmować, zatem i on wzruszył ramionami.

– Trzeba wam pomocy? – zapytał.

Nie odpowiedziały. Obie pochylały się z troską nad drobną blondynką o wielkich zestrachanych oczach. A ta miała się czego bać. Jej prawa ręka od łokcia w dół wyglądała, jakby ją ktoś wsadził do klatki wygłodzonego tygrysa. Na szczęście fachowo założona przez Martę opaska uciskowa, która zastąpiła sznurówkę oddziałowej, zatamowała w końcu upływ krwi. To dawało rannej trochę więcej czasu, aczkolwiek niespecjalnie zwiększało szanse na przeżycie.

– Laboga! – mruknął Muszyński, zegnając się odruchowo. – Już

po rękę.

– Kolejny znawca się znalazł – burknęła nie wiadomo czemu rozwścieczona Krajewska.

– Napatrzyłem się na tych bez rąk i nóg w przyfrontowym szpitalu – wyjaśnił, nie chcąc brnąć w słowne utarczki.

Mieli teraz większe problemy niż jego urażona duma.

– Chwileczkę! – Marta wysunęła się zza stołu zabiegowego, na którym złożyły omdlewającą już dziewczynę. – Był pan świadkiem amputacji?

– Zdarzyło się parę razy – przyznał zdumiony jej nagłym zainteresowaniem. Zaraz też spojrział uważniej na obie pielęgniarki.

Były bardzo zdenerwowane, co w tej sytuacji nie mogło dziwić, chociaż... Wtem dotarło do niego, że w całej klinice nie ma lekarza, który umiałby przeprowadzić zabieg amputacji, a bez tego Ewa nie miała najmniejszych szans na przeżycie.

– A taka amputacja to jak powinna przebiegać? – Kopaczowa wskazała zmasakrowaną rękę.

– No... – Muszyński podszedł bliżej, by przyjrzeć się ranom. – W tym wypadku trzeba by ciąć, myślę, gdzieś tutaj – wskazał miejsce kilka centymetrów poniżej górnych nacięć, ale zaraz cofnął palec. – Cholera całą skórę sobie pocięła, trudno to będzie na koniec załatać... – Pokręcił głową.

– O czym pan mówi? – zdziwiła się Krajewska.

– O kikucie. Tu same frędzle zostały, a trzeba przecież jakoś kość zakryć i ranę zamknąć, nie? – Widząc, że oddziałowa nic nie rozumie, dodał jeszcze: – Nasi doktorzy, tam na wojnie, jak obcinali ręce albo nogi, to zostawiali taki naddatek skóry z jednej

strony, żeby było czym całą ranę nakryć, inaczej mogłaby się paskudzić i rozłazić w szwach. A tutaj to chyba niemożliwe. – Raz jeszcze obejrzał uważnie górną część przedramienia Ewy. – Tak, trzeba będzie rozmontować staw w łokciu. Jak oni to, cholera, nazywali... O, już wiem: wyłuszczenie! – ucieszył się, że pomimo upływu lat zapamiętał tak trudną nazwę.

Kopaczowa pokręciła głową.

– Z tego, co pamiętam z praktyk, to o wiele trudniejsze od zwykłej amputacji.

– Ale kości nie musicie ciąć...

– No tak, do tego trzeba by prawdziwego fachowca, inaczej koniec pieśni.

– Racja – potaknął Szymon. – Czyli nie ma zmiłuj, tnijcie tuż nad łokciem.

Krajewska przełknęła głośno ślinę.

– Niech mi pan opowie, panie Szymonie – odezwała się bardzo niepewnym głosem – ale tak najdokładniej, jak pan potrafi: w jaki sposób robili to lekarze w pana szpitalu polowym?

– Wie siostra co? – odparł po chwili zastanowienia. – Może lepiej będzie, jak sam to zrobię?

Zaskoczył je obie tą propozycją.

– Coś pan, z konia spadł? – obruszyła się Joanna. – Przecież pan nie jesteś lekarzem.

– Ale jako jedyny z nas trojga widziałem na własne oczy, jak to się robi.

– Ja asystowałam raz przy amputacji – wtrąciła nieśmiało Marta. – Ale tylko palca. U nogi. Na praktykach siedem lat temu.

– No to jedyny z nas dwojga – poprawił się Muszyński. – Tyle że ja nieraz pomagałem doktorom przy takich operacjach, bo wiecie panie, w lazaretach często brakowało ludzi do pracy, więc jak ktoś z rekonwalescencji się zgłaszał, to szef jednostki nigdy nie widział przeciwwskazań, a ja wtedy ręce i oczy miałem zdrowe, tylko, no, trochę kulałem.

– Dobra. – Krajewska podjęła decyzję, ponieważ czas uciekał. – Pan kroisz, my asystujemy, a potem szyjemy. Byle szybko, bo nam się ta niedojda do reszty wykrwawi.

– Woda?

– Tam.

– Jakieś kroplówki wypadaloby tej bidzie podać, bo ledwie nam tu dycha... – rzucił, podwijając rękawy koszuli, by umyć starannie ręce.

Żołnierzy, którzy trafiali na stół, zawsze nasączano jakimiś płynami, tak to zapamiętał.

– Krew! – wrzasnęła nagle siostra Joanna, waląc się otwartą dłonią w czoło.

– Co: krew? – zapytali oboje niemal w tym samym momencie.

– Transfuzję możemy jej zrobić!

– W prosektorium jest lodówka – podchwyciła Marta. – Tam ci z neurologii trzymają zapas krwi dla operowanych.

– Leć, złociutka, na dwójkę... – Krajewska odwróciła się do niej. – Na karcie choroby przy łóżku powinna być wypisana grupa krwi.

– Już lecę.

– Czekaście! – Muszyński zgasił je, podnosząc głos. – Czy

prosektorium to to samo co kostnica?

– Tak.

– A poza tym miejscem jest jeszcze gdzieś taka krew?

– Nie.

– W takim razie transfuzja odpada.

– Oszalał pan, bez transfuzji...

– Nie dostaniecie się do kostnicy, siostrzyczki kochane.

Ordynator kazał mi klucz w zamku złamać, żeby nikt tam nie mógł wejść – wyjaśnił pośpiesznie, nie przerywając mycia rąk.

– Dlaczego?

Popatrzyły na niego jak na raroga.

– Zamknęliśmy tam zarzonego... – Nie mógł powiedzieć im całej prawdy, nie narażając się przy tym na gniew Niemczuka. – Tego, no wiecie, samobójcę. – Ufff, wybrnął zupełnie nieźle. – Musieliśmy go jakoś odizolować – dodał.

– Cholera jasna! – Krajewska zacisnęła ręce w pięści, jakby zamierzała kogoś nimi zdzielić, lecz nie znalazłszy odpowiedniego celu, syknęła tylko gniewnie.

– Jeśli się pośpieszymy, damy radę – uspokoił ją Szymon. – Gorsze przypadki widziałem, gdy dochodziliśmy do linii Odry. – Wyprostował się znienacka. – Powiedzcie mi tylko, siostry kochane, jak będzie z narzędziami.

– Skalpele już się wygotowują. Są tam, w autoklawie. Nożyczki, kleszcze i...

– Ja mówię o piłce do kości.

Obie poblady, gdy to powiedział.

– Piłka...

– Jak wy to sobie wyobrażacie? – obruszył się Szymon. – Skalpelem ciało można kroić jak masło, ale kości nim i w godzinę nie przetnę, zwłaszcza takiej grubej.

Pobladyły jeszcze bardziej. Miały za sobą dobre kilka lat pracy w zawodzie, ukończyły odpowiednie szkoły, ale nic nie mogło ich przygotować na te wydarzenia rodem z horroru. Były na chodzie już prawie dobę, stres zżerał je od wczesnego wieczoru, doprowadzając nieraz na skraj paniki. Zaczynały się gubić, co nie wróżyło najlepiej. A leki niewiele pomogą w sytuacji, gdy trzeba zachować pełną jasność umysłu.

– No to klops – jęknęła w końcu Marta.

Muszyński spojrzał na przysłuchującą się im ze spokojem dziewczynę.

– Ona rozumie, o czym mówimy? – zapytał.

– Pewnie tak, ale dostała tyle głupiego jasia, że jest jej wszystko jedno.

– A ból poczuje, jak ją zacznę kroić?

– No, raczej tak.

– Nie może jej siostra jakoś znieczulić?

– Podanie jej w tym stanie jeszcze czegoś mogłoby... – nie dokończyła. – Dlaczego wszystko musiało sprzysiąc się przeciw nam? Co my takiego zrobiliśmy, że Bóg nas karze?!

– Spokojnie, sostro. – Szymon odszedł od umywalki z uniesionymi rękami, jak robili to lekarze, którym asystował. – Będziemy wyłuskiwać, nie ma innej opcji. Tak, wiem, że to trudniejsze, ale widziałem taki zabieg, co prawda z nogą w kolanie, ale zasada jest przecież ta sama.

– A jeśli coś pan spaprzesz?

– To ktoś po mnie za jakiś czas poprawi, nie? Jeśli dziewczyna przeżyje i doczeka wkroczenia naszych do miasta, zrobią jej drugą, porządniejszą operację.

– Albo to, albo... – Marta zawiesiła znacząco głos. – Bierz pan ten skalpel i niech nas Bóg ma w swojej opiece.

11

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 05:48

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Profesor nie marnował czasu. Czekając na raporty z oddziałów, bez przerwy wykręcał kolejne numery, jednakże żaden z odbiorców nie podniósł słuchawki. Milczał szpital na Ołbińskiej, milczała komenda wojewódzka, a z centralą w ogóle nie dało się nawiązać połączenia, po wybraniu zera z głośniczka za każdym razem dobiegał monotony pisk.

Niemczuk nie dziwił się temu specjalnie – wiedział przecież, że telekomunikacja zatrudnia na stanowiskach operatorów wyłącznie kobiety, a te, widząc, a raczej słysząc, co się święci, już kilka godzin temu rzuciły robotę w diabły, by wrócić do domów i czekających w nich wylęknionych rodzin.

Nie dopuszczał do siebie myśli o innym, równie prawdopodobnym wytłumaczeniu tego faktu...

Przerwał wykręcanie następnego numeru, gdy od strony sekretariatu dobiegł głośny tupot. Spodziewał się, że lekko nie będzie, ale na widok siostry Alicji zrobiło mu się zimno, choć noc była nieludzko upalna.

– Oni... oni... – bełkotała przerażona pielęgniarka, trzęsąc się przy tym jak osika.

Niemczuk zerwał się z fotela, podbiegł do niej i po sekundowym wahaniu przytulił ją mocno jak ojciec córkę.

– Dobrze, już dobrze – szeptał, podczas gdy ona łkała mu w ramię. – Powiedz mi, kochanieńka, co tam się stało.

– On zabił Krzysia...

– Kto? Traczewski? – Nie przestawał jej głaskać, zadając kolejne pytania.

– Ta... Tak. Wbił mu szkło prosto w oko... – Ten zwykły, ludzki gest przynosił skutki, Bruziakowa uspokajała się, powoli mówiła też coraz składniej. – Przez wizjer się na niego zamachnął.

– Rozumiem. I co, zostawiliście go tam zamkniętego?

– Nie. Siostra Świetlicka... – Pielęgniarka znów zaczęła się trząść, jakby koszmar wrócił.

– Ją też zabił? – Ordynator zmartwiał.

– Zaraza... Dopadła ich zaraza. Wszystkich bez wyjątku! – Odsunęła się od Niemczuka. – Musimy uciekać! Natychmiast! Odmieńcy zaraz tu będą!

– Zaczekaj, dziecko. – Znów ją złapał, przytulił, tym razem mocniej.

Musiał się zastanowić. Jeśli mówiła prawdę – a na to wyglądało – ucieczka wydawała się najrozsądniejszą z opcji. Odmieńcy z dwójki rozleżą się przecież po całym szpitalu. Jeszcze chwila i zablokują schody, a wtedy każdy, kto przebywa wyżej od nich, zostanie odcięty od wyjścia, co równać się będzie pewnej śmierci czy też przemianie w jedno z tych monstrów, o których

wspominał doktor Arendzikowski.

– Chodźmy już, proszę – błagała Alicja.

– Oczywiście, oczywiście...

Jak to rozegrać?, myślał gorączkowo. *Trzeba powiadomić Martynę. Tak, to teraz najważniejsze. Niech wyprowadzi pacjentów z trójki, tylu, ilu zdoła. Trzeba też posłać kogoś do Krajewskiej, niech przerwie sprzątkanie i ewakuuje się...*

– Profesorze!

– Zaczekaj, dziecko, tylko wezmę klucze.

Puścił ją, rozejrzał się po gabinecie.

Klucze. Tak. Są w szufladzie.

Szybkim krokiem obszedł biurko, pochylił się, by wyjąć dwa grube pęki, w które pan Szymon połączył wszystkie klucze zabrane z portierni. Właśnie prostował plecy, by pokazać je Alicji, gdy w drzwiach pojawiła się bezszelestnie zakrwawiona postać.

Musiał zrobić naprawdę straszną minę, ponieważ stojąca plecami do wejścia dziewczyna zbladła w momencie, a potem... straciła przytomność.

– Co jest, jak pragnę zdrowia? – wymamrotał zaskoczony takim powitaniem Ruciak. – Ona też się zmienia?! – Przestraszony cofnął się o krok.

– Nie. Zemdlała tylko. Przyznam, że ja na twój widok też o mało zawału nie dostałem – odparł profesor, po czym zrobił kilka głębokich wdechów, by uspokoić łomoczące serce. – Ale ty żyjesz...

– Tak, jeszcze dycham, choć niewiele brakowało. – Nie do końca uspokojony wyjaśnieniem Piotr przyklęknął obok leżącej na

podłódze koleżanki i ostrożnie uniósł jej lewą powiekę, by przyjrzeć się oku. Odetchnął, gdy zobaczył tęczę. – Jest pan profesor pewien, że ona się nie zmieni jak tamci? Oni też omdlewali, a potem...

– Nic jej nie będzie. Zobaczyła moją reakcję na twój widok...

– Myślała, że to oni?

– Tak.

– Zaraza... Wszystkich dopadła...

– Wiem. Alicja powiedziała mi... to znaczy usiłowała powiedzieć, co tam się stało. – Niemczuk odłożył klucze, ale po zastanowieniu znów po nie sięgnął. – Właśnie... Co tam się tak naprawdę stało?

Ruciak streścił pokrótce niedawne wydarzenia. Udało mu się wyrwać zarazonym – co do tego, że Zajac i Traczewski padli ofiarami dziwnej choroby, miał całkowitą pewność, widział przecież na własne oczy, jak wstawali z martwych. Otoczyli go, odcięli od wyjścia, ale zdołał przywalić pałką Krzyśkowi, a gdy ten padł po celnym ciosie w rzepkę, przeskoczył nad nim, by potem, próbując wybić się z pleców wstającej dopiero Zosi, potknął się i sam rymsnął jak długi. Pechowo się wywalił. Gruchnął głową o posadzkę, gubiąc przy tym jedyną broń. Zamroczyło go na moment, lecz szybko doszedł do siebie i zobaczył, że wszyscy odmieńcy znów leżą prosto na niego. Rozczapierzone paluchy siostry Szewczyk były już tylko centymetry od jego nóg. Zdjęła go na to taka panika, że na śmierć zapomniał, iż może wstać, i jak dureń skończony odpełzał od nich, nie bacząc na ból w skrzyżnym przy upadku nadgarstku. Tak właśnie doprowadził tych drani aż

pod zewnętrzne drzwi oddziału. Tam dopiero, po tym jak nareszcie oddalił się na kilka kroków, prześladowcy dali mu spokój.

Kończąc tę nerwową relację, zerknął na bose stopy i dziurę w skarpecie. Zgubił przez to wszystko prawie nowe chodaki, żał mu ich było jak cholera, ale nie wspomniał o stracie nawet słowem. To była naprawdę niewysoka cena za ocalenie życia.

– Coś takiego... – Niemczuk opadł ciężko na fotel.

Dopadło go jeszcze większe zwątpienie. Wiedział o zarazie tyle, ile powiedział mu wcześniej Bogdan, jednakże rozum naukowca do tej pory bronił się jak lew przed przyjęciem do wiadomości szalonych teorii, mimo że ich autorem był prawdziwy autorytet w świecie medycyny. Nawet widok Zadrożnego w kostnicy nie przekonał go do końca. To znaczy profesor nie miał wątpliwości, że lekarz został zarażony czy też odmieniony, ale nadal uważał go za chorego, nie zmarłego i zmartwychwstałego. Teraz wszakże, po wysłuchaniu szczegółowej relacji podwładnego, musiał stawić czoło bolesnej prawdzie. Zaraza zabijała, aczkolwiek ludzie po śmierci niemal natychmiast wracali do życia, czy też może raczej tylko do jego pozornej formy, i zarażali dalej kogo się dało. Jaką drogą, pozostawało na razie tajemnicą.

– Jesteś pewien, że nie poleźli tutaj za tobą? – zapytał cucącego koleżankę pielęgniarkę.

– Przystanęli, zanim dotarłem do bliższych schodów, i tam już zostali – odparł z przekonaniem Ruciak. – Wiem, bo ja też się zatrzymałem, kompletnie mnie zatkało – usprawiedliwił się, widząc minę szefa. – A oni stali w drzwiach dwójki, gapili się w sufit tymi zablony ślepiami i wyciągali w górę łapy, jakby chcieli muchę

złapać albo komara... – Zamilkł nagle, zbladł. – Jak to w ogóle możliwe, panie profesorze? Śmierć to przecież śmierć, nie ma to tamto. Mózg Traczewskiego został przebity na wylot. Świetlicka go dziabnęła, a ja dobiłem! Całe kleszcze chirurgiczne weszły mu przez podniebienie, a mimo to wstał i ruszył na mnie! No i jeszcze siostra Elżbieta, a potem Zosia. Nikt im nic złego nie zrobił, a też się poprzemieniały.

– Nie umiem odpowiedzieć na twoje pytania – uciał Niemczuk, czując, że sam zbliża się niebezpiecznie do granicy, za którą faluje przybierające wciąż morze paniki – ale prędzej czy później dowiemy się wszystkiego. Masz na to moje słowo, przyjacielu. To tylko kwestia czasu.

* * *

Siostra Martyna dołączyła do nich dziesięć minut później. Dochodząca do siebie w gabinecie ordynatora Alicja powiedziała jej, gdzie powinna szukać szefa. Wiśniewska-Pokus zeszła więc po schodach na niższe piętro i przystanęła za plecami Niemczuka i Ruciaka, którzy przypatrywali się z bezpiecznej odległości grupce znajomo wyglądających, lecz dziwnie zachowujących się osób.

– Co się tu wyprawia?! – zawołała zdziwiona.

– Nie drzyj się tak! – ofuknął ją Piotr. – Jeszcze nas usłyszają!

– Nie, ich mózgi nie funkcjonują jak należy. – Profesor włożył palce do ust i gwizdnął jak pospolity łobuziak.

Tego dźwięku nie dałoby się zignorować na otwartej przestrzeni, a co dopiero w akustycznym holu poniemieckiego gmachu, jednakże siostra Elżbieta – bo to ona stała przy wejściu do zachodniego skrzydła dwójki – i towarzyszący jej ludzie nawet nie

drgnęli.

– Ale o co tu chodzi? – zapytała Martyna.

– Zaraza – odparł zwięźle Ruciak.

– Jezusie. – Zakryła dłonią usta. – Oni wszyscy?

Dopiero teraz zauważyła, że za plecami Zająca stoi Traczewski. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wypuściłby tego drania na korytarz, a on sam nie zachowywałby się tak biernie, mając wokół tyle potencjalnych ofiar.

– Spokojnie, siostró. – Niemczuk odwrócił się do niej. – Oni nie...

– Pan profesor patrzy! – Piotr szarpnął go za rękaw.

Zarażeni ruszyli. Szli wolno, jak w transie, odchylając mocno głowy i wymachując rękami, jakby chcieli coś chwycić. Pod sufitem nie było jednak niczego, co mogło czy powinno ich zainteresować. Niemczuk się skrzywił. Ten widok przypomniawszy mu inną scenę, którą obserwował nie tak dawno temu...

Kostnica!

Odwrócił się do Martyny raz jeszcze.

– Leć na górę, dziecko, prędko! Każ tym, którzy wyszli do holu, wracać natychmiast do swoich sal! No już, już!

Posłuchała go, choć nie miała pojęcia, skąd ordynator wie, że ktoś wałęsa się teraz po trzeciej kondygnacji. Odmieńcy zatrzymali się moment po tym, jak zniknęła za załomem ściany, później zaczęli zawracać bardzo niezdarnie, jak ludzie upośledzeni ruchowo. Zamarli znowu, zanim pierwszemu udało się wykonać pełny obrót.

– Cholera – jęknął niezadowolony profesor.

Wiśniewska-Pokus znów pojawiła się na schodach, tym razem nie sama.

– To nie byli pacjenci – rzuciła zadowolona – tylko Damian! – Wskazała towarzyszącego jej sanitariusza.

– Oni wyczuwają obecność żywych – odezwał się półgłosem profesor, ignorując jej słowa.

– Ale jak? – Ruciak cofnął się natychmiast za plecy przełożonego.

– Spokojnie, chłopcze. – Niemczuk poklepał go po ramieniu. – To działa tylko na określoną odległość.

Był zafascynowany tymi... tworam. Przyjrzał się uważnie każdemu odmieńcowi, oczywiście z bezpiecznej odległości, i mógł już powiedzieć, że słowa Ruciaka nie zawierały krzty przesady. Ci ludzie najpierw zginęli, a potem wstali z martwych. W miejsce oczu mieli same białka, skórę siną, odbarwioną, całkiem jak świeżo zmarli. Twarz Traczewskiego była ponadto zmiażdżona, brakowało mu przednich zębów, a w jego na wpół rozwartych ustach dało się zauważyć coś błyszczącego, co musiało być elementem kleszczy wbitych przez Świetlicką. Ten człowiek był stuprocentowym chodzącym trupem, a co za tym idzie, przeczył swoim istnieniem całej wiedzy medycznej, i nie tylko.

– Skoro wyczuwają człowieka przez sufit, a nas nie... – odezwał się Ruciak, któremu stwierdzenie przełożonego nie dawało spokoju.

– To oznacza, że sygnałów, które odbierają, nie wygłusza cegła ani beton – odpowiedział ze stoickim spokojem profesor. – W tym wypadku liczy się wyłącznie odległość, zatem będziemy mogli... –

Zamilkł nagle, jakby tknęła go jakaś myśl, po czym spochmurniał.

Odmieńcy przyleźli do holu, ponieważ kierowali się na najmocniejsze źródło sygnału, którym był w tym momencie uciekający przed nimi sanitariusz, ale jeśli wyprowadzić ich na korytarz oddziału – co da się bez trudu zrobić, posyłając na trzecią kondygnację kilka osób i każąc im przejść wolno na koniec zachodniego skrzydła – to powstanie jeszcze większy bajzel. Wracając tam, skąd przyszli, wyczują bliższe ofiary, od których roiło się w salach na końcu korytarza. *Cholera jasna, zaklął w myślach, przecież do tego brakuje im najwyżej dwóch albo trzech kroków. W tym skrzydle dwójki jest jeszcze dziesięciu pacjentów, nie licząc tych, którzy siedzą w izolatkach. Na szczęście ciężkich przypadków nie było ostatnio wiele...*

Pokręcił głową ze smutkiem.

Jeśli odmieńcy zawrócą, uniemożliwią personelowi dotarcie do tych ludzi, a jeśli zostaną tu gdzie są, zablokują pół kliniki.

– A co to się tutaj wyrabia?

Niemczuk drgnął, słysząc radosny głos portiera. Muszyński wychodził właśnie z pobliskich drzwi wschodniego skrzydła dwójki i choć był uśmiechnięty od ucha do ucha, wyglądał jak przysłowiowe siedem nieszczęść. Gdyby się nie odezwał, można by go wziąć za odmieńca. Nie miał na sobie ani znoszonej marynarki w jodełkę, z którą się do tej pory nigdy nie rozstawał, ani spranej koszuli, za to był zakrwawiony na całym ciele, jakby wracał z nielegalnego świniobicia.

– Stój pan tam, gdzie pan jesteś! – Profesor uniósł ostrzegawczo dłoń. – To zarażeni! – Wolną ręką wskazał grupę siostry Szewczyk.

– Psie krwie! – Szymon zamarł w komicznej pozie, jakby ktoś zatrzymał w kinie film, a potem cofnął się bojaźliwie trzy kroki. – A myślałem, że to u nas było ciężiej – rzucił, mierząc odmieńców ponurym spojrzeniem.

– Po waszej stronie też są jakieś ofiary? – zainteresował się Niemczuk.

– Mało brakowało, a by były – przyznał portier, po czym zrelacjonował przebieg wydarzeń po tej stronie drugiej kondygnacji, pomijając oczywiście takie detale jak jego wiodąca rola w amputacji.

– Gdzie siostra Joanna? – zapytał Niemczuk, gdy opowieść dobiegła końca.

– Kończy szyc tę nieszczęsną dziewczynę. – Muszyński obejrzał się przez ramię. – Posłała mnie, żebym sprawdził, kto to tak gwiżdże.

– To tylko ja. Sprawdzałem, czy zarażeni nas słyszą – usprawiedliwił się ordynator.

– Czy oni nie... – zaniepokoił się Szymon, gdy rozmowa zeszała na stojących opodal zainfekowanych.

– Spokojnie, z tej odległości pana nie wyczują – zapewnił go profesor.

– A z jakiej? – zapytał przytomnie portier.

– Tego jeszcze nie wiemy – przyznał Niemczuk – lecz zaraz możemy to sprawdzić... – Uczynił krok do przodu.

– Co pan wyprawia?! – wrzasnęła siostra Martyna.

– Spokojnie, wiem, co robię – odpowiedział, nie spuszczać wzroku z zarażonych.

Robił krok za krokiem, bardzo wolno, a gdy znalazł się jakieś dziesięć metrów od najbliższego chodzącego trupa, ten poruszył się i zaczął odwracać jak przed chwilą, gdy wyczuł idącego piętro wyżej Damiana. Ordynator natychmiast cofnął się pod dalsze schody.

– No i mamy odpowiedź – mruknął, kręcąc głową. Nie spodobał mu się wynik eksperymentu, zwłaszcza że pozostał taki sam nawet po trzeciej próbie. Ożywieńcy wyczuwali człowieka z odległości mniej więcej dziesięciu metrów, co oznaczało, że zareagują na każdy ruch w obrębie wszystkich trzech poziomów wschodniego skrzydła.

Podzielił się tym spostrzeżeniem z podwładnymi, nie licząc jednak, że ktoś może mu pomóc w rozwiązaniu tego problemu.

I tu się pomylił.

– Ja ich odciągnę – zaofiarował się Muszyński.

– Daj pan spokój. Dość już dzisiaj ludzi... naginęło.

– Ordynator szanowny pozwoli mi dokończyć – poprosił Szymon. – Ja za wojny w zwiadzie byłem. Nie takie numery robiliśmy nocą za liniami wroga. Paru szkopów posmakowało mojego bagnetu – pochwalił się, lecz nie zrobiło to wielkiego wrażenia na Niemczuku.

– To nie są jakieś tam durne szwaby, których możesz pan bezkarnie podejść – odezwał się Ruciak, zanim profesor zdążył przemyśleć odpowiedź. – Siostra Elżbieta tylko dotykała zabitego, a się przemieniła. To samo było z Zosią... – Wskazał drżącym palcem obie nieumarłe pielęgniarki.

Portier wzruszył ramionami.

– Nie muszę ich przecież po główkach głaskać.

Niemczuk postanowił skierować rozmowę na właściwe tory.

– Oni wyczuwają żywego z odległości dziesięciu metrów.

– Tak nosem? – zapytał szczerze zaciekawiony Muszyński.

– Nie sędzę – odparł profesor. – Powiedziałbym, że to raczej jakieś postrzeżenie pozazmysłowe.

– A jakby kazali panu to samo powiedzieć, ale tak po ludzku?

– Po ludzku, powiadasz pan... Taki weźmy na to wirus oczu i uszu nie ma, a umie trafić gdzie trzeba. – Niemczuk zdawał sobie sprawę, że to nieco chybiona analogia, ale portierowi chyba wystarczała, ponieważ skinął stanowczo głową.

– Rozumiem...

– Jak pan to zrobi, panie Szymonie?

Muszyński przygryzł wargę, jakby układał w myślach plan.

– Sprowadzę ich schodami do piwnicy i tam zostawię.

– A jak chcesz ich pan wymanewrować? Przecież to pojedynczy prosty korytarz...

– Da mi pan profesor klucze, to boczne drzwi sobie otworzę i wrócę naokoło.

– Jak pan chcesz te drzwi otworzyć, mając całą zgraję na plecach? Czasu panu nie wystarczy. Dziesięć metrów przejdą w kilka sekund, a to dwa zamki i skobel.

– Hmm... – Portier znów się zamyślił. – Skoro wyczuwają ludzi tylko z określonej odległości, to po zejściu na dół mogą ich zgubić. Zostawię ich w połowie korytarza, otworzę drzwi na spokojnie, a potem wrócę! – Wyszczrzył w uśmiechu nierówne zęby.

Niemczuk nie zastanawiał się długo. Spodobał mu się ten plan.

Był ryzykowny, ale pozwalał odblokować klinikę i pozbyć się choć na pewien czas problemu. *Wystarczy zamknąć kraty między parterem a piwnicą i odmieńcy, nawet jeśli coś zwabi ich z powrotem w poblize holu...* Szlag! Byłby palnął się dłonią w czoło, gdyby nie stojący obok podwładni.

Przecież w piwnicy są zapasy. Pozbycie się jednego problemu ściągnęłoby nam na głowy drugi, jeszcze gorszy. Chyba że...

– Dobry plan, panie Szymonie, ale wprowadzimy do niego jedną małą zmianę.

– Tak?

– Wyprowadzisz ich pan bocznymi drzwiami na zewnątrz i tam zostawisz. Na otwartej przestrzeni łatwo będzie ich zgubić, dobrze mówię?

– Święta racja, panie profesorze – ucieszył się Muszyński, któremu także bardziej pasowało pozbycie się zarażonych z budynku.

12

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 06:28
kamienica przy ulicy Kraszewskiego 30

– Na dworzec! – powtórzył stanowczo Ziemowit Mierzwiak, lokator spod piątki.

– Do szpitala! – nie odpuszczał Seweryn Pogorzelski, tuląc do siebie żonę Darię, trzymającą na ręku ich jedyne go syna Stasia, który miał tego pecha, że przyszedł na świat kilka tygodni przed wybuchem zarazy.

Sterczeli na narożnym balkonie, wysoko nad rozwidleniem ulic Struga i Kraszewskiego. Tylko oni zostali w tej kamienicy. Reszta mieszkańców albo czmychnęła już z miasta – taką przynajmniej mieli nadzieję – albo... Ziemowit odcharknął i splunął za metalową barierkę. *Lepiej o tym nie myśleć.*

Przed chwilą zrobił obchód całej klatki schodowej, od parteru aż po strych. Walił do wszystkich drzwi, lecz wszędzie, prócz siódemki, gdzie mieszkali Pogorzelscy, odpowiedziała mu bądź głucha cisza, bądź drapanie i stukoty, zwiastujące przemianę.

– Przecież Anka jest u siebie – powiedziała z przekonaniem Daria. – Jeszcze chwilę temu słyszałem, jak się krząta po kuchni, garami tłucze.

– Pani zapuka do Wośkałowej, pani posłucha, jak drapie

w drzwi od tamtej strony. Po mojemu, niczym się już nie różni od tych popaprańców – rzucił poirytowany Mierzwiak, wskazując kręcących się w dole зараzonych.

Na razie nie byli zbyt liczni, ale mógłby przysiąc, że przybywa ich z chwili na chwilę. Gdy wyglądał z okna koło pierwszej, sprawdzając, gdzie to strzelają, na ulicy było pusto. Przed drugą zobaczył przemykających chyłkiem ludzi. Taszcząc ciężkie walizy, objuczeni tobołami, biegli w kierunku Odry i w przeciwną stronę. Po czwartej, kiedy w zakładzie karnym zapanowała zawierucha, na ulicach zrobiło się nagle tłoczno, ale wypuszczeni więźniowie skorzystali z okazji i szybko czmychnęli na cztery strony świata, po czym w dole znów zapanował względny spokój. Tylko niewielka część uwolnionych wróciła – na swoje nieszczęście, ponieważ to głównie oni stali się ofiarami przedziwnej zarazy.

– Tak sama z siebie wzięła i umarła? – zdumiała się Daria.

– Nie inaczej – przytaknął. – Ta zaraza jest inna od wszystkich. To pandemonia, wie pani. Cały świat już z nią walczy.

– Naprawdę? – Seweryn posłał mu zdziwione spojrzenie.

– Naprawdę. W radio mówili...

– Gdzie? – przerwał mu zaskoczony Pogorzelski. – Ja cały czas kręciłem potencjometrem. Od Warszawy po naszą lokalną rozgłośnie i z powrotem...

– Było słuchać tych stacji co trzeba, tobyś pan wszystko już dawno wiedział.

– A bo to Monachium prawdę nam powie – obruszył się Seweryn. – Przecież sąsiad wie, że ta rozgłośnia to woda na młyn reakcjonistów. Taka sama propaganda jak nasza, tylko w przeciwną

stronę skierowana.

On pracował po drugiej stronie miasta, w Pafawagu. Inżynierem był, wagony dla kolei projektował i dlatego, dzięki układom w dyrekcji, mógł trafić do tej luksusowej kamienicy zamieszkaney głównie przez prominentnych pracowników PKP.

– Ale w pięćdziesiątym szóstym jako jedyna nie kłamała – przypomniał mu cierpkim tonem Ziemowit.

– Ja tam ani jednym, ani drugim do końca bym nie wierzył...

– Nie drzyj się tak, bo Stasia obudzisz – ofuknęła go żona, odwracając się do sąsiada. – I co oni tam, panie Ziemku, w tej Wolnej Europie mówili?

– Tak koło drugiej podali, że w Moskwie i Leningradzie również zanotowano pierwsze przypadki zachorowań.

– Moskwa, Leningrad. Nie mówiłem, że czysta propaganda? – mruknął Seweryn.

– Ty tam cicho bądź, kiedy bardziej uświadomieni rozmawiają – zgasiła go żona. – U nas tylko przemówienie Cyrankiewicza leci. W koło Macieju je puszczają.

– Dobrze, że nie Gomułki, boby się pani dopiero nad ranem zorientowała, że zapętlili nagranie – zażartował Mierzwiak, choć nie bardzo było się z czego śmiać.

– Nie gadaj – zaprotestował Pogorzelski. – Nasze, wrocławskie radio nadaje komunikaty wojskowe. Nakazuje w domach siedzieć, szykować się na przeczekanie najgorszego. Ponoć wojsko już do nas jedzie z ościennych garnizonów.

– Daj sąsiadowi dokończyć – zganiła go żona.

– Drugi raz udało mi się ich złapać jakąś godzinę temu – podjął

Ziemowit. – Informowali, że Pragę ogłoszono miastem zamkniętym. Mówili, że w Bukareszcie policja i wojsko izolują ogniska zarażonych. Co chwilę nowe depesze ze świata przychodziły. Tak spanikowanych lektorów to tam jeszcze nigdy nie słyszałem, powiem pani.

– A o Polsce co mówili?

– Kwadrans temu, gdy złapałem fale po raz trzeci, wspominali akurat, że sytuacja u nas w kraju wymknęła się spod kontroli. Rząd został ponoć ewakuowany, nie wiadomo dokąd. W największych miastach panuje totalne bezhołowie. Nikt nie wie, co robić...

– Jeśli to prawda, nie będzie żadnego wojska – wymamrotał Seweryn.

– Dlatego mówię: trzeba wiać na dworzec, ale nie nasz, tylko Główny. Zaświadczenia o szczepieniu macie?

– Pierwsi do przychodni poleciliśmy – potaknęła Daria. – Ze względu na Stasia.

– I dobrze. Znam wysoko postawionych ludzi na stacji, są mi winni co nieco. Jestem pewien, że załatwię nam miejsca w pierwszym pociągu, który opuści miasto. Jak pani wcześniej wspomniała, tam gdzie ludzi mniej, tam łatwiej przetrwać najgorsze.

– A ja mówię, że to dla nas za duże ryzyko – upierał się Pogorzelski. – Dziecko za małe mamy na takie szalone eskapady. A szpital jest na wyciągnięcie ręki, po drugiej stronie ulicy. Popatrz pan sam, toż to prawdziwa forteca. Nie tylko zarazę, ale i wojnę można tam przeczekać.

– A dlaczego nie więzienie? – zapytał całkiem poważnie

Mierzwiak. – Tam przecież mur wyższy i solidniejszy...

– W taki czas wolę w jednym domu z doktorami siedzieć niż z uzbrojonymi po zęby okrutnikami. Sam pan wiesz, co to za katownia...

Kilka razy już widzieli, jak nocą robił się szum, a potem tylną bramą wyjeżdżały nieoznakowane ciężarówki.

– Też prawda – przyznała Daria, po czym po zastanowieniu dodała: – Ale gdyby panu Ziemkowi udało się te bilety załatwić, to do mojej siostry moglibyśmy pojechać. Ona w głuszy mieszka z tym swoim.

– Przecież to kawał świata stąd – odwarknął jej mąż. – Jak ty to sobie wyobrażasz? Sto kilometrów pieszo chcesz przejść? Z tobołami na plecach i dzieckiem na ręku?

– Może jakieś pociągi będą jechały w stronę Patkowa.

– Akurat. Równie dobrze możemy trafić do takiego, co nas powiezie w przeciwnym kierunku.

– Ja niczego nie mogę obiecać – zastrzegł się Mierzwiak, aby potem nikt nie miał do niego pretensji – oprócz tego oczywiście, że znajdę dla nas miejsce w pierwszym pociągu, który stąd odjedzie. No, może w drugim. Decydujcie się, państwo kochani, bo czas leci, a tam w dole z każdą chwilą robi się niebezpieczniej. Zagłosujmy – zaproponował.

– Szpital! – powtórzył z uporem maniaka Seweryn, wskazując palcem ukryty częściowo za młodymi drzewami budynek po przeciwnej stronie ulicy.

Daria milczała, zatem obaj zgromili ją wzrokiem.

– Szpital – szepnęła, kołysząc synka.

Wybrała mniejsze, jak jej się wydawało, zło.

* * *

Walili pięściami w drzwi. Darli się jak opętani, zerkając co rusz przez ramię w obawie, że ten rwetes zwabi stojących trzydzieści metrów dalej zarażonych, lecz tamci – nie wiedzieć czemu – nie reagowali na nic.

– Dlaczego psie syny nie otwierają? – dziwiła się Daria.

Jej mąż przysunął twarz do jednej z wąskich szyb.

– Ciemno tam choć oko wykol – rzucił.

– Pan się odsunie. – Mierzwiak sam zerknął do środka, po czym obrócił się i biorąc lekki zamach, uderzył w szkło łokciem. Oczywiście nie gołym ciałem, tylko przez kolejową marynarkę.

– Co pan wyprawia? – oburzył się Seweryn, łapiąc go za rękę.

– Zwiększam nasze szanse na przeżycie. Chyba że panu szyba droższa żony i dziecka?

Pogorzelski odsunął się, unosząc dłonie w obronnym geście.

Ziemowit obtłukł łokciem ostre odłamki wokół otworu, wsunął rękę do wnętrza i zaczął gmerać przy zamkach. Wymacał w końcu zasuwę, odsunął ją po kilku próbach, ale gdy nacisnęli kłamkę, drzwi ani drgnęły.

– Co jest? – Zaskoczony kolejarz podrapał się po głowie.

– Chyba zamknęli na klucz. – Seweryn podpowiedział mu najprostsze z wytłumaczeń.

– No to klops.

– Zawołajmy przez tę dziurę, może teraz nas usłyszą – zaproponowała Daria.

Tak zrobili, ale choć darli się przez minutę, a może i dłużej, nie

doczekali się żadnej reakcji. Mierzwiaka to specjalnie nie zdziwiło. Z głębi budynku dobiegał zduszony chór tak przeraźliwych lamentów i skowytów, że skóra na karku cierpła.

– I co teraz? – zapytał.

– Nie ma tam drugiej zasuwki? – Pogorzelski znów poszukał najprostszego rozwiązania.

– Jeśli jest, to nie w zasięgu ręki – zapewnił go sąsiad.

– W takim razie chyba nie zostaje nam nic innego, jak posłuchać pańskiej rady.

– Czyli dworzec?

– Tak.

Seweryn uścisnął żonę, po czym pochylił się, by podnieść walizki, do których zapakowali wszystko, co mogło być im w tej podróży potrzebne. Wyprawkę Stasia i czyste pieluchy Daria niosła w osobnym tobołku przerzuconym przez plecy.

Zeszli na podjazd i rozejrzeli się na wszystkie strony. Wszędzie stali w dziwnych pozach ludzie, wyglądający tak, jakby zastygli w oczekiwaniu na zbliżający się cud.

– Łatwo nie będzie – stwierdził Mierzwiak, obrzucając wzrokiem zaparkowany przy krawężniku samochód. – Momencik...

Odstawił swoją, znacznie lżejszą walizkę, by zajrzeć do wnętrza wozu przez szybę w drzwiach od strony pasażera.

– Daj pan spokój! – zirytował się Pogorzelski. – To piękny wóz, ale mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Kolejarz zapytał go po chwili:

– Wierzy sąsiad w Świętego Mikołaja?

– Z byka pan spadł? – fuknął Seweryn, przerażony perspektywą podróży przez miasto opanowane zarazą.

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek miał tę przyjemność – odparł rozradowany Ziemowit, otwierając wartburga, i uczynił taki gest, jakby zapraszał ich do środka.

– Co pan robi? – zdziwiła się Daria.

– Z darów losu korzystam – rzucił w odpowiedzi, uśmiechając się pod nosem. – Pani patrzy, kluczyki w stacyjce, drzwi nie zamknięte, zupełnie jakby siła wyższa nad nami czuwała.

– Takie cudo ktoś otwarte zostawił? – Seweryn zajrzał do auta i rozdziawił usta z zachwytem.

Wszyscy o takim marzyli, lecz mało kto miał szczęście je dostać. A tu proszę, trzystadwunastka, nówka prawie. Dziewięćset dziewięćdziesiąt dwa centymetry sześciennego pojemności, czterdzieści albo nawet czterdzieści pięć koni mechanicznych mocy. Krążownik szos. Potwór nie maszyna.

– Taki starszy pan nim jeździ – poinformowała ich Daria, która teraz, na macierzyńskim, sporo czasu spędzała w oknie albo na balkonie, gdzie usypiała Stasia. – Jakaś tutejsza szycha pewnie.

– Nikogo innego nie byłoby stać na takie cacko – poparł ją mąż, po czym obaj mężczyźni pokiwali zgodnie głowami.

– To jak, drodzy sąsiedzi? – zapytał Mierzwiak. – Jadziem z tym koksem?

– Ale jak to tak? Chce pan doktorom ukraść auto? – Pogorzelski spojrział na Ziemowita z naganą.

– Nie ukraść, tylko pożyczyć – sprostował kolejarz.

– Na wieczne nieoddanie. Przecież do więzienia nas za to

wsadzą.

– Kto?

– Jak to: kto? – obruszył się Seweryn. – Władza ludowa, jak już zrobi porządek z tą zarazą.

– Jeśli w jedynym słusznym radio prawdę gadali, to po tej zarazie nie będzie już władzy ludowej – oznajmił Mierzwiak, obchodząc wartburga, by zająć miejsce za kierownicą. – To jak? – rzucił w stronę chodnika.

Pogorzelski spojrział na żonę, a ta wskazała głową perspektywę ulicy i kilkunastu zarażonych, którzy tam sterczeli. Z dzieckiem na ręku i walizami nie mieli wielkich szans na przebicie się do którejś z głównych ulic, a co będzie dalej, jeden Bóg raczy wiedzieć.

Seweryn poddał się więc, wzdychając ciężko. Życie syna było teraz dla niego cenniejsze niż własny honor – albowiem kradzież czy też zabór tej pięknej trzystadwunastki, auta, o którym od tak dawna skrycie marzył, jawiły mu się czynem hańbiącym.

– Pakujemy graty do bagażnika – zakomenderował kolejarz. – A co się nie zmieści, na tylne siedzenie.

13

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 06:33

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Muszyński zerknął przez ramię. Siostra Szewczyk, bo to ona szła na czele podążającej za nim grupki zarażonych, zatrzymała się krok od szczytu schodów, ponieważ znów straciła trop.

Szymon zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zwiększy dystansu dzielącego go od ożywieńców, ci, spadając ze stopni, mogą na niego zlecieć, a przecież jeden dotyk wystarczał, by przerobili człowieka na swój obraz i podobieństwo. Pech miał, że kuśtykając pośpiesznie, źle to sobie wyliczył i za bardzo wysforował się do przodu. Spojrzał w górę z wyrzutem. *Nie mam wyjścia, muszę zawrócić, jeśli chcę pociągnąć tych drani za sobą.*

Postanowił, że podejdzie do tego elementu planu bardzo ostrożnie. Wspinał się na kolejne stopnie i zatrzymywał, stopniowo zmniejszając odległość dzielącą go od odmienionych. Gdy stanął na trzecim schodku, zarażeni ruszyli. Siostra Elżbieta przesunęła do przodu prawą nogę, jakby nie zdawała sobie sprawy, że tym razem pod jej stopą zabraknie podparcia.

Poleciała w dół bezwładnie jak szmaciana kukła, nie wydając

zadnego dźwięku, jeśli nie liczyć łomotu. Szymon przypadł do ściany, by nie zahaczyła go przypadkiem ręką albo nogą, jednakże nie do końca zdołał uniknąć kontaktu. Musnęła go wprawdzie tylko koniuszkiem małego palca, ale i tak poczuł się, jakby dostał ciężkim młotkiem w sam środek czoła – a wiedział, jak to smakuje, ponieważ ciężkie narzędzie odskoczyło mu raz, gdy zdenerwował się przy pracy. O mały włos sam by siebie znokautował. Teraz też niewiele brakowało. Nogi się pod nim ugięły, pociemniało mu przed oczami, lecz na szczęście dla siebie nie puścił trzymanej kurczowo poręczy.

Oddziałowa padła na podest jak długa, ale natychmiast zaczęła się zbierać. Nie przeszkadzały jej liczne rany, nawet otwarte złamania. W tym czasie z góry zaczęli spadać następni odmieńcy. Oni nie mieli szans na dopadnięcie wabiącego ich portiera.

Wciąż na wpół zamroczony Muszyński zeskoczył ze schodów i sycząc z bólu, ukrył się za załomem ściany, by stamtąd – dysząc ciężko – obserwować rozgrywającą się przed nim hekatombę. Musiał potrząsnąć głową, żeby pozbyć się mroczków latających mu przed oczami. Kolana w dalszym ciągu ugiwały się pod nim, ale powoli odzyskiwał oddech, a łomoczące o żebra serce uspokajało się z każdą sekundą. Odetchnął z ulgą, gdy zauważył, że wszyscy zarażeni zlecieli na półpiętro. Nie chciał nawet myśleć, co by było, gdyby się rozdzielili. W wąskim korytarzu nie zdołaliby ominąć tej bandy i wrócić pod schody, zostałyby mu więc jedna opcja: powtórzenie całej operacji po raz wtóry.

Kolejny ciąg schodów pokonał już w znacznie bardziej komfortowych warunkach. Dranie potłukli się tak bardzo, że

większość nie mogła ustać na połamanych albo poskręcanych nogach. Czołgali się więc za nim, włączając przy tym jeden na drugiego, na co nie narzekał, gdyż jego też noga bolała i chwalił Pana za to niewielkie spowolnienie. Przyśpieszył dopiero w połowie korytarza biegnącego na przestrzał budynku. Zerkając przez ramię co dwa kroki, sprawdzał, czy odmieńcy nadal za nim leżą. Nie do końca bowiem ufał zapewnieniom profesora, choć był naocznym świadkiem prób przeprowadzonych w holu drugiego piętra.

Ordynator miał jednak rację. Zarażeni zatrzymali się, gdy tylko oddalił się na więcej niż dziesięć kroków. *Zatem obejdzie się bez nerwów*, pomyślał, sięgając do kieszeni po klucze. Na dole było ciemno, słabe żarówki z trudem rozjaśniały wieczny mrok piwnic, ale jemu to nie przeszkadzało. Klucz do zewnętrznych drzwi oznaczył sobie zawczasu tasiemką, zatem teraz bez najmniejszego problemu wyłowił go z grubego pęku. Najpierw odsunął przykręcony na wysokości głowy rygielek, potem otworzył zamontowany rok wcześniej zamek łucznic, a na koniec wsunął klucz do dziurki i przekręcił go dwukrotnie.

Drzwi zaskrzypiały przeraźliwie, gdy je otwierał. Szymonowi momentalnie zrobiło się duszno, ponieważ temperatura na zewnątrz była dwa razy wyższa niż w podziemiach kliniki. *Jakby było mało zarazy, to i pogoda nam nie odpuszcza*, pomyślał portier, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Za kutym ogrodzeniem dostrzegł jakiś ruch, ale tutaj, na tyłach przychodni, nie było żywego ducha. *Chociaż jedno poszło zgodnie z planem*, ucieszył się, podstawiając pod drzwi drewniany klin. Dobił go

mocno pod ostrym kątem, żeby któryś z drani nie zaczepił stopą o trudną do zauważenia przeszkodę i nie zniweczył jego pracy. Szczególnie że swego czasu na polecenie ordynatora przykręcił do tych drzwi sprężynę, żeby zamykały się same. Ot, udogodnienie na co dzień, mogące stać się utrapieniem w godzinę próby.

Jeśli drzwi się zatrzasną, zanim wszyscy odmieńcy wyleżą na zewnątrz, będzie zmuszony wrócić tutaj i wypuścić pozostałych, co może nie wiązało się z takim ryzykiem jak zwabianie ich na schody, ale na pewno mogło zabrać sporo czasu, a on miał już dosyć tego latania w tę i we w tę. Noga w uszkodzonym odłamkiem stawie bolała, jakby miała zaraz odpaść. Do tego ledwie dychał. Aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczony. Od kilku chwil czuł się jednak jak przodownik pracy po biciu kolejnego rekordu na budowie. I jeszcze ten paluch Szewczykowej... Nadal kręciło mu się w głowie, nie umiał też złapać oddechu.

Nie powinno tak być, pomyślał zły na siebie. Nie po to ćwiczył trzy razy w tygodniu, by padać na nos jak kawka. Do starości było mu jeszcze daleko, a tu proszę: po przebiegnięciu zaledwie kilku metrów dyszał jak stary pies.

Rozmyślając o stanie własnej kondycji, odwrócił się, by ponownie wejść do piwnicy. Wtedy to usłyszał. Za jego plecami rozległo się głośne sapanie i tupot, jakby ktoś...

Trącony mocno, poleciał na chodnik. Ktoś przeskoczył nad nim, zachwiał się, ale zdołał jakimś cudem ustać i natychmiast zniknął w mrocznej paszczy korytarza.

Stój, durniu, oni tam są! – to właśnie chciał zakrzyknąć

Muszyński, lecz z jego krtani wydobył się tylko przeciągły jęk, który ucichł, gdy z mroku dobiegł przeraźliwy, zdecydowanie kobiecy pisk. Nieprzyjemny dźwięk urwał się nagle, jakby wydająca go osoba straciła przytomność albo zginęła.

Kolejna fala paniki omyła go i cofnęła się. Miał czas. Nie, nawet gdyby ta franca zdołała się w porę zatrzymać – a jej urwany krzyk świadczył o czymś zgoła przeciwnym – to nie wyprowadziłaby tamtych na niego. Okaleczeni nie byłiby w stanie poleźć za nią, a menda szybka była jak Staszek... jego kapral, który wygrywał wszystkie zawody sprinterskie w okręgu.

Szlag by to wszystko! Po tym jak grzmotnął żebrami o beton, nie mógł zaczerpnąć oddechu. *Żeby tak dać się zrobić w bambuko!* Zdębiał, słysząc za sobą kroki, zamarł zdjęty strachem, i dlatego dał się zaskoczyć. Stracił cenną sekundę albo dwie, podczas których mógł i powinien zareagować, ponieważ oczami wyobraźni widział szarżującego na otwarte wejście płonącego wciąż Lipsę. Gdyby nie paraliżujący strach...

Zebrał się z chodnika, dysząc ciężko. Otrzeptał spodnie z pyłu, potem przyjrzał się krwawiącemu łokciowi. *Do wesela się zagoi*, uznał, widząc, że to tylko zdarta skóra. Ruszył wolno w kierunku piwnicy, tym razem rozglądając się czujnie.

Odmieńcy byli tam, gdzie ich zostawił. Doleźli do strefy głębszego mroku pomiędzy nielicznymi lampami, nie widział więc ich dokładnie, podobnie jak to musiało być w wypadku nieznanym, która tu przed chwilą wpadła. Dopiero gdy podszedł bliżej, zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Dranie nie leżeli już na posadzce jak wtedy, gdy ich zostawiał. Znów wszyscy

stali jakby nigdy nic, a przecież Szewczykowa miała nogę złamaną w co najmniej trzech miejscach – obejrzał sobie jej rany wyraźnie, kiedy upadła metr od niego.

– Niesamowite... – mruknął, zwalniając.

Nie dość, że ozywają po śmierci, to jeszcze się renegeocjują... Przystanął tknięty myślą, że chyba nie tak to słowo powinno brzmieć, ale był zbyt zdenerwowany, by szukać właściwego określenia. Ważniejsze pytanie brzmiało: czy po cudownym ozdrowieniu zmieniało się coś jeszcze? Na przykład odległość, z jakiej wyczuwali żywych.

Obliznął spierzchnięte wargi, zbliżając się do granicy dziesięciu kroków. Licząc na oko, podszedł już za blisko, ale tamci nadal stali jak wmurowani. Zrobił więc jeszcze krok, potem drugi, i dopiero wtedy zauważył w półmroku jakiś ruch. Jedna z postaci ruszyła chwiejnym krokiem, pociągając za sobą kolejne. Ruszali po sobie, jakby popychani niewidzialną ręką. Szymon nie czekał, zaczął się cofać, lecz po pierwszym potknięciu zrezygnował i odwrócił się twarzą do wyjścia. Zerkał jednak co rusz przez ramię, by sprawdzać, czy żaden z odmieńców nie zostaje w tyle.

Postać na przedzie właśnie wchodziła w krąg światła następnej lampy. W przydymionym blasku gołej i brudnej żarówki Muszyński zobaczył kobietę, blondynkę, tak na oko lekko po trzydziestce. To musiała być ta biedaczka, która go przewróciła. Załatwili ją na amen. Białe oczy, sina twarz, z jej dłoni coś zwisało, jakby niosła kiełbasy... Muszyński nie widział za dobrze, ale gdy zrobiła kolejny krok, zrozumiał, czym są te połyskujące girlandy: blondynka trzymała w rękach własne wnętrzności!

Zwymiotował na posadzkę. Żółć podeszła mu do gardła tak szybko i z taką mocą, że nie zdołał jej powstrzymać, a wydawało mu się do tej pory, że twardy jest jak, nie przymierzając, Roman Bratny. Próbował zaciskać usta, lecz wymiociny i tak znalazły drogę, tryskając przez nos. Wtedy się poddał.

Stracił połowę dystansu, zanim zdołał odzyskać oddech. Odkuśtykał więc pośpiesznie, klnąc, ile wlezie, na gryzący w nosie kwas z nieprzetrawionej późnej kolacji, na którą znalazł czas, czekając na kolejne polecenia profesora.

Ocierając usta wierzchem dłoni, dowlekł się do drzwi. Tam ponownie sprawdził, czy żadna owieczka z jego stada nie zgubiła się po drodze. Byli wszyscy. Powiódł ich więc za sobą aż pod tylną bramę, by znaleźli się naprawdę daleko od wyjścia, z którego – oby nie! – będzie musiał znów skorzystać.

Tam ich zostawił, przyśpieszając gwałtownie, a potem zawracając ku gmachowi kliniki. Zwolnił jednak już po paru krokach, przystanął i odwrócił się twarzą do spalonej dozorcówki. Ogień dawno już pochłoniął wszystko, co było do strawienia, i sam wygasł. Coś jednak poruszało się w rumowisku, Szymon słyszał wyraźnie powtarzające się chrzęszczenie. Zerkając na wyprowadzonych odmieńców, podszedł ostrożnie do wyłamanych drzwi i zajrzał do wnętrza budyneczku. Zawalony dach zmiażdżył to, co znajdowało się pod nim, lecz nie sposób było nie zauważyć jedyne ruchomego elementu, jakim były spalone niemal do kości nogi.

Muszyński zmełł w ustach wyjątkowo paskudne przekleństwo. Zdawał sobie sprawę z tego, że Lipsa nie żyje, że jest odmieńcem,

jak pozostali, zatem nie cierpi, jednakże przed oczami cały czas miał widok człowieka-pochodni, który chodził chwiejnym krokiem po dziedzińcu. Czy wtedy także już nie żył? Czy były to jego ostatnie, jakże bolesne chwile?

Przeżegnał się, bo tylko to mógł teraz zrobić, po czym potruchtał w kierunku jedyne go otwartego wyjścia z kliniki. W myślach złożył sobie solenną obietnicę, przysięgę wręcz, że nie zgłosi się już na ochotnika do żadnego szalonego zadania. Miał dość atrakcji jak na jedną noc, a nawet całe, wcale nie takie krótkie życie.

Skręcając do drzwi, dostrzegł w ciemności jakieś poruszenie. Na szczęście miał na tyle jasności umysłu, by nie dać się znów zaskoczyć. Cofnął się szybko, unosząc ręce do klasycznej bokserkiej gardy. *Jeśli to człowiek, gorzko tego pożałuje. Jeśli odmieniec...* Rozluźnił się, gdy z mroku dobiegło znajome miauczenie.

– Mruczuś, ty stary rowerze. – Szymon opuścił ręce, potem schylił się, by pogłaskać pręgowanego ulubieńca personelu i większości pacjentów.

To dzięki niemu myszy nie harcowały po piwnicznych składach, a w każdym razie nie było ich tam tak wiele, by mogły czynić szkody. Muszyński wziął na ręce mruczącego rozkosznie futrzaka i sięgnął do kieszeni po klucz, ale nie wszedł do budynku. Poglądził kota raz jeszcze, po czym postawił go na chodniku.

– Tu ci będzie dzisiaj lepiej, wiesz – powiedział. – Idź, pobiegaj, tylko nie przy bramie... Jeśli przetrzymamy to szaleństwo, wpuszczę cię jutro albo pojutrze. – Mruczuś otarł się

o jego nogi. – No idź, żyj! – Szymon szturchnął go butem, a gdy urażony tą nieczułością czworonóg odbiegł w zarośla, portier spojrział po raz ostatni w jaśniejące niebo, splunął soczyście, by choć na moment pozbyć się niesmaku z ust, i wykopnął klin spod drzwi.

14

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 06:37

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

– Coś poszło nie tak, panie Szymonie? – zainteresował się profesor, patrząc na jego zakrwawiony łokieć i wciąż dający się zauważyć kurz na spodniach. Skrzywił się, gdy poczuł bijący od portiera kwaśny odór wymiocin.

– Można tak powiedzieć – odparł Muszyński. Następnie podszedł bliżej, by złożyć na blacie damską torebkę. Wstrzymał przy tym oddech. Miał pełną świadomość, że cuchnie, ale przyszedł tutaj bezzwłocznie, ponieważ nie chciał trzymać przełożonego w niepewności. – Naskoczyła na mnie jedna taka – dodał, gdy już cofnął się na odpowiednią odległość. – Przyczaiła się w krzakach zaraz za drzwiami. Staranowała mnie normalnie, a później pognęła do piwnicy jak... za przeproszeniem... skończona wariatka. Próbowalem ją ostrzec, dać jej znać, że oni tam są, ale nie słuchała. One nigdy nie słuchają... – Pokręcił głową, jakby nie rozumiał, że można być tak nierozważnym. – Tylko tyle po niej zostało.

Ordynator rozsunał zamek błyskawiczny, by zajrzeć do wnętrza znalezionej przez Muszyńskiego torebki. Było w niej sporo

przedmiotów używanych również przez jego żonę, tyle że nie markowych. Sama torebka zresztą też nie wyglądała na towar, który można dostać wyłącznie spod lady w Modzie Polskiej. Skaj zamiast prawdziwej skóry, uszy odbarwione i przetarte tam, gdzie zwykle zamyka się na nich ręka właścicielki. Rzecz na pewno nie była nowa i na pewno nie należała do osoby mającej.

Kto mógł być na tyle szalony, by próbować wtargnąć siłą do kliniki psychiatrycznej? Czyżby jedna z dawnych pacjentek? Przez ten budynek przewinęła się ostatnimi laty masa ludzi, ale naprawdę nielicznym kojarzył się z azylem – to znaczy w tym drugim, bardziej powszechnym tego słowa rozumieniu.

Profesor wymacał boczną kieszonkę, zamkniętą na miniaturowy suwak. Znajdowało się w niej coś płaskiego, twardego. *Dowód osobisty!*

– Zobaczmy... – Niemczuk otworzył niewielką zieloną książeczkę. – Lehmann Beata... – Nic mu nie mówiło to imię i nazwisko. Twarz także nie przywodziła na myśl nikogo, kogo by znał, ale kto przypomina siebie na dowodowej fotografii? Jeśli trafiła kiedyś na któryś z oddziałów, nie dała się w żaden sposób zapamiętać, jednakże od czego są akta. – Siostra Martyna sprawdzi ją później w rejestrach – dodał.

Muszyński pokręcił głową.

– A jeśli jej nie znajdzie?

– To trzeba będzie siostrę Wandałowicz przepytąć, ona na przystanku była razem z Zosią. Może ją rozpozna.

– Sądzi pan, że ta cała Lehmann przyszła tutaj za nimi?

Niemczuk wzruszył ramionami. Ta teoria była równie

prawdopodobna jak każda inna. W tak szaloną noc wszystko mogło się zdarzyć.

– Wiem tylko, że teraz jest jedną z nich – stwierdził.

– I to jak! – przytaknął portier, krzywiąc się, jakby ugryzł cytrynę. – Naskoczyła na mnie, żabka jedna, a moment później już było po niej... – Zwiesił głowę, wstydząc się chwilowej niemocy, która być może kosztowała tę kobietę życie.

Profesor zamknął torebkę, zostawiając jednak dokument na blacie.

– Prócz tego... wypadku miał pan jakieś problemy? – W dalszym ciągu zastanawiał się nad przyczyną gwałtownych torsji portiera, których ślady wciąż były widoczne choćby na mankietach spodni opryskanych treścią żołądkową.

– W sumie to dobrze mi poszło – odparł Muszyński. – Najtrudniej było na schodach, bo te paciuloki, jak ordynator szanowny słusznie zauważył, nie widzą i nie słyszą. Trochę mi więc zajęło wyprowadzenie ich z budynku, bo po drodze pozlatywali wszyscy na zbity ryj i się potłukli. – Zamilkł na moment, by zebrać myśli. – Wie ordynator szanowny, tam na dole stało się coś dziwnego. Jak pospadali ze schodów, to paru się poturbowało, i to tak dość solidnie. Siostra Elżbieta na ten przykład w trzech miejscach nogę złamała. Widziałem to jak pana tutaj, a nawet wyraźniej. Niemniej żaden drań nie odpuścił. Mimo obrażeń czołgali się dalej za mną, ale gdy zostawiłem ich, by na spokojnie otworzyć drzwi, i ta wariatka tam wpadła... – Znów zamilkł, jakby nie umiał znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić to, co leżało mu na sercu. – Krótko mówiąc, gdy wróciłem, oni wszyscy znów stali,

jakby ich jakiś czarodziej dotykiem różdżki uzdrowił. Zdziwiło mnie to niepomiernie...

– Zaraz. – Niemczuk uciszył go, unosząc dłoń. – Chcesz pan powiedzieć, że wstali pomimo licznych złamań kończyn dolnych?

– Nie. Te obrażenia, które wcześniej widziałem, uległy jakby zagojeniu. W dwie minuty co najwyżej. Tam, na zewnątrz, przyjrzałem im się naprawdę uważnie, zwłaszcza Szewczykowej. Jej noga nie wyglądała wprawdzie tak gładko jak druga, ale kość na bank była pozrastana, a rany same się pozasklepiły.

– Niesamowite...

– Dlatego o tym mówię. A wie ordynator szanowny, że Lipsa, ten z dozorcówki, to nadal żyje?

– Ten spalony?

– Tak. Wracając, zajrzałem w pogorzeliśko. Tylko nogi wystawały spod zawalonego stropu, tak do łydek, ale... ruszały się, jakby ten biedak próbował wypełznąć z rumowiska, tyle że... Ciało miał wypalone na wiór, miejscami do kości. Ledwie kilka poczerńiałych kawałków kupy się trzymało. Wie ordynator szanowny, kiedyś kuzyn na działki mnie zaprosił, tu niedaleko, nad Odrę, na wywczas taki niedzielny. Razem ze szwagrem świnie bili i jemu przypadły w udziale żeberka... – Na to wspomnienie nieświadomie się oblizał. – Wiadomo, jak to jest na działkach, o jedną szklaneczkę żeśmy za dużo wypili, Swojczyckiego – dodał z dumą – a że ciepło było, tośmy potem przysnęli...

– Do rzeczy, panie Szymonie.

– Tak, tak – zmiłgował się portier. – No więc te spalone żeberka po godzinie wiszenia nad ogniskiem wyglądały lepiej od

nóg Lipsy, tyle mogę powiedzieć.

– Rozumiem. – Niemczuk pogładził się palcami po siwiejącej brodzie. – To wszystko?

– Nie.

Profesor spojrzął na podwładnego uważniej. Coś gnębiło tego człowieka, i to bardzo.

– O co chodzi? Wyduście pan to z siebie wreszcie.

– Ta Lehmann nie była chyba jedyną, która próbowała się dostać do szpitala...

– Dlaczego pan tak uważasz?

– Ktoś przed chwilą rozbił szybę przy głównym wejściu...

– Może to też jej robota?

– Nie. Na pewno nie.

– A skąd ta pewność?

– A stąd, że auto ordynatora szanownego zniknęło sprzed podjazdu.

Niemczuk zerwał się z fotela. Obmacał pośpiesznie wszystkie kieszenie, po czym złapał się za głowę.

– Ale dureń ze mnie!

– Co się stało? – zaniepokoił się Muszyński, ale na wszelki wypadek zachował bezpieczny dystans, by nie drażnić bardziej nozdrzy przełożonego.

– Tak mnie te rewelacje Arendzikowskiego zajęły, że na śmierć zapomniałem kluczyków wyjąć. Zostały w stacyjce.

– No toś pan zrobił komuś prezent. – Szymon pokręcił głową. – Taki wóz. Enerdowski!

Załamany profesor stanął przy oknie wychodzącym na

dziedziniec. Ten dzień nie mógł być chyba gorszy. Najpierw zaraza dziesiątkująca miasto, potem śmierć Zadrożnego i ludzi siostry Elżbiety, a teraz... Jakby tego wszystkiego było mało, ukradziono mu odebrany dwa miesiące wcześniej samochód, oczko w głowie i powód do dumy. W tym momencie ordynator odniósł dziwne wrażenie, że o czymś jeszcze zapomniał. Na pewno nie chodziło o kluczyki... *Diabła tam, żona mnie zabije*, pomyślał i nagle zbladł.

Żona. Wszedł tylko na godzinę, jak sądził, by wydać dyspozycje podwładnym, ale przepadł na amen, gdy miasto zapłonęło. Z jej punktu widzenia tak właśnie to wyglądało. Odwrócił się na pięcie z zamiarem sięgnięcia po słuchawkę, lecz już w połowie tego ruchu dotarło do niego, że telefon jest głuchy i taki już pozostanie. Kontakt z domem został bezpowrotnie utracony. Piechotą nie przejdzie przecież na drugi kraniec pogrążonego w chaosie miasta. *Szlag by to wszystko trafił!*

Miał tylko nadzieję, że nic jej się nie stało. Mieszkali z dala od centrum, w dzielnicy willowej. Ich dom stał na końcu spokojnej bocznej uliczki w pobliżu parku Szczytnickiego i Hali Ludowej. *Tam przynajmniej nie ma izola...*

Szlag, szlag, szlag! Jak to nie ma?! A stadion olimpijski? Przecież tam właśnie otwarto dzisiaj wieczorem kolejne przytulisko dla potencjalnych nosicieli wirusa. Bogdan wspomniał o tym na samym początku rozmowy. Kilometr w linii prostej od jego domu, może nawet mniej! Profesor pokręcił głową, opadając ciężko na fotel.

Zaniepokojony Muszyński obserwował go bacznie, gotów zareagować, gdyby przełożony próbował zrobić coś głupiego.

Ludzie różnie reagują po stracie cennych rzeczy, a ten wartburg był przecież skarbem nad skarbami. Czymś, o czym on, zwykły portier, mógł tylko pomarzyć. Nie dziwota, że ordynator wyglądał, jakby zobaczył ducha. Na szczęście najgorsze mieli już za sobą.

– To tylko auto... – zagaił Szymon, nie mając pojęcia o prawdziwym źródle obaw przełożonego.

– Słucham?

– Mówię, że samochód rzecz nabyta.

Niemczuk zaczerpnął głębiej tchu, jak człowiek, który podjął decyzję i zamierza wcielić ją w czyn.

– Dziękuję, panie Szymonie – powiedział.

– A nie ma za co, ordynatorze szanowny.

– Właśnie że jest.

– Tak tylko pana pocieszam... – Muszyński machnął lekceważąco ręką. Zreflektowawszy się poniewczasie, wybąkał: – Chyba że mowa o wyprowadzeniu tych...

Profesor wpadł mu w słowo.

– Ja o amputacji mówię! Siostra Joanna o wszystkim mi powiedziała. Uratował pan tej dziewczynie życie.

– Raczej je zmarnowałem. Naprawdę nie wiem, czy ucinając rękę, wyświadczyłem jej przysługę czy wręcz przeciwnie.

– Proszę sobie nie umniejszać, nie każdy umiałby się znaleźć na pana miejscu. Najważniejsze, że pani Ewa żyje i żyć będzie. Ja sam, choć jestem lekarzem, nie wiem, czybym podołał temu zadaniu.

– I dlatego do takich poruczeń ma pan mnie – zażartował portier.

Pośmiali się razem, nie dlatego, że riposta była zabawna, tylko

dla odreagowania. Stres i nerwy zżerały ich obu od wielu godzin.

– Panie Szymonie – odezwał się chwilę później Niemczuk, zmieniając temat. – Pan idzie na jedynekę, poprosi siostrę Krajewską o klucz od prysznic. Pan się odświeży, a potem prześpi.

– Dam radę – zaprotestował portier. – To znaczy obejdę się bez spania, bo z tym prysznicem to ma ordynator szanowny rację, bez dwóch zdań.

– Jak mówię, że ma pan iść spać, to idzie pan spać, zrozumiano?

– Tak, tak. Ale najpierw da mi ordynator szanowny słowo, że w tym czasie nie...

– Panie Szymonie! – obruszył się ordynator.

– Ja dla pana dobra to mówię... – bronił się Muszyński.

– Wiem, panie Szymonie, wiem. I mogę dać panu słowo, że nie zwieję jak Parfieńczyk. Nie zostawię pacjentów na łasce losu. Choćbym miał tu zostać sam jeden.

– Cieszę się, że to słyszę. – Portier odprężył się nieco, lecz że był niedowiarkiem, kombinował już, kogo by tu poprosić, by miał oko na szefa, gdy on trafi w objęcia Morfeusza.

– Coś czuję, że będziesz mi pan później potrzebny – stwierdził tymczasem profesor. – Dlatego wolałbym, żebyś był pan wypoczęty. Teraz, gdy najgorsze mamy za sobą, powinno być już spokojnie...

Gdyby tylko wiedział, jak bardzo się myli.

15

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 06:48

plac Kościuszki

Mierzwiak robił wszystko, by jak najszybciej przejechać przez trawione zarazą miasto. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, kręcili się odmieńcy. Za to ludzi, tych nadal żywych, było niewielu. Jedno nie ulegało kwestii: każdy, kogo dostrzegli w perspektywie szarych ulic, zmierzał w tym samym kierunku co oni: na dworzec. Objuczeni bagażami uciekinierzy truchtali pojedynczo albo całymi rodzinami i bardzo szybko zostawali w tyle, posyłając pełne zawiści spojrzenia jadącym luksusowym wozem szczęśliwcom.

Nie zazdrościli im tego cudu techniki, lecz szybkości i bezpieczeństwa, które oferował enerdowski krążownik szos.

– Z tego, co widzę, na dworcu może być tłoczno – rzuciła w pewnym momencie siedząca na tylnej kanapie Daria.

– Spokojnie. – Ziemowit zerknął w lusterko wsteczne, by na nią spojrzeć. – Nie zamierzam tam wchodzić głównym wejściem.

– A którym? – zainteresował się Seweryn.

– My, kolejarze, mamy swoje sposoby – odparł wymijająco Mierzwiak. – Do roboty trzeba przychodzić na czas, a wiecie, jak czasem w wakacje wygląda hol główny.

Pokiwali głowami. Wiedzieli, o czym mowa, ponieważ nieraz

w letnie miesiące sterczeli w kilometrowych kolejkach do kas, otoczeni wianuszkami podobnych im rodzin pragnących zaznać wywczasu. Jeśli zwykły sezon urlopowy mógł wygenerować tak ogromny ścisk, to co dopiero mówić o sytuacji, w której spanikowani wrocławianie na gwałt usiłują opuścić miasto. Próba wejścia na dworzec jednym z głównych wejść z pewnością byłaby skazana na niepowodzenie.

– A tak właściwie to dlaczego nie poszliśmy na Nadodrze? – zapytał Pogorzelski, który najwyraźniej myślał o tym samym co jego żona i kierowca. – Przecież to pańskie rewiry.

– Długo by gadać, sąsiedzie... – odpowiedział Mierzwiak, nie odrywając wzroku od jezdni.

Musieli zwolnić, ponieważ oba pasy Podwala, w które przed chwilą skręcili, blokowało kilkunastu zbitych w grupkę uciekinierów. Za nimi, w odległości trzydziestu, może czterdziestu metrów, widać było wylot Muzealnej i rojących się na niej zarażonych. Pomimo dystansu dało się zauważyć, że większość ma na sobie milicyjne i wojskowe mundury.

Ziemowit zatrzymał wóz, dalsza jazda tą ulicą nie miała najmniejszego sensu.

– Patrzcie no tylko! – mruknęła Daria.

Gdy Mierzwiak ponownie zerknął w lusterko, zobaczył, że kobieta wskazuje palcem gdzieś za okno po lewej. Spojrzał na fosę i rozległy plac po drugiej stronie, na którym rozbito wielkie namioty. Między stosami skrzyń z zaopatrzeniem stały równe rzędy ciężarówek, a nawet kilka wozów pancernych. Jedyne, czego tam brakowało, to ludzi.

– Nareszcie jakaś pomoc... – ucieszyła się Pogorzelska.

– Chyba sąsiadka widzi, że tam nikogo nie ma – skontrolował bez zastanowienia kolejarz.

– Może się pochowali.

– Zwiali dranie, przecież po tych namiotach tylko wiatr hula.

– Ale aut różnych tyle tam stoi – upierała się.

– Ja takich kolosów nie umiałbym poprowadzić – zgasił ją natychmiast. – Prawko zrobiłem tylko na osobowe.

Gdy umilkła nadąsana, raz jeszcze przecesał wzrokiem rzędy wojskowych maszyn. To musiało być tymczasowe centrum dowodzenia Biedrzyckiego, o którym wspominała Wolna Europa. Włos zjeżył mu się na głowie. *Skoro już upadło, to...*

Z oddali wciąż dobiegały echa toczonych walk, palba nie słabła, a momentami nawet się nasilała, lecz to nie musiało wcale oznaczać, że jakieś oddziały nadal oczyszczają miasto. Równie dobrze wojsko mogło się przebijać w kierunku rogatek. Tak, ta wersja wydała mu się nagle o wiele bardziej prawdopodobna.

– Co robimy? – Seweryn szarpnął go za rękaw.

– Cofamy się – Ziemowit wrzucił wsteczny – i omijamy przeszkodę Sądową.

– Tak, wal pan przez plac PKWN – poparła go natychmiast Daria.

Niestety, i ta droga została zablokowana. Na Świerczewskiego od strony dworca wykoleił się tramwaj, a przynajmniej tak to wyglądało na pierwszy rzut oka. Mierzwiak znał się jednak na katastrofach, wprawdzie kolejowych, ale zawsze. Widział ich wystarczająco dużo, by teraz natychmiast zrozumieć, że nie patrzy

na skutki zwykłego wypadku, lecz raczej celowego działania człowieka. Komuś, zapewne wojsku, zależało, i to bardzo, na zablokowaniu tej ulicy – stąd ewidentne użycie ciężkiego sprzętu do wywrócenia wagonów i przeciągnięcia ich w poprzek jezdni.

Na szczęście pozostawały jeszcze boczne uliczki, jak choćby Krótka, którą można było dojechać do Kościuszki, a ta, biegnąc równoległe do głównej arterii miasta, także prowadziła w okolice dworca.

Dwusuw wartburga zagrał pięknie, wchodząc na wyższe obroty. Ziemowit uśmiechnął się pod nosem. *To był dobry wybór*, pomyślał. Wciąż przyśpieszając, minął placyk na tyłach komendy wojewódzkiej. Pruł pełnym gazem, ponieważ i tutaj roiło się od zarazonych. Stali na całej szerokości jezdni, więc nie było zmiłuj. Choć ostro lawirował, potracił jednego milicjanta, a później stracił boczne lusterka, gdy próbował się zmieścić między dwoma zmasakrowanymi zomowcami w pełnym oporządzeniu.

– Jezusie! – wrzasnęła Daria, gdy struga ciemnej krwi obryzgała okno od jej strony.

– Uważaj pan! – Jej mąż skulił się w fotelu pasażera, potem zaś, gdy roztrącili mundurowych, obejrzał się szybko przez ramię. – Co pan wyprawiasz?

– Ratuję wam życie – odwarknął rozeźlony kolejarz.

– Ale za jaką cenę! – Zszokowany kolizją Seweryn wpatrywał się w niego ze strachem w oczach. – Człowieku, potraćeś milicjantów!

– Albo oni, albo my – odpowiedział Ziemowit, ucinając dyskusję.

– Ale jak to tak, ludzi na ulicy zabijać... – odezwała się cieniem głosem Daria, która musiała kołysać wybudzonego Stasia.

– To przecież nie ludzie, tylko zarażeni. – Kierowca próbował się bronić.

– Jak to: nie ludzie...?

Mierzwiak już otwierał usta, by kazać im obojgu siedzieć cicho, gdy nagle trzystadwunastka zadrżała, jakby wstrząsnęły nią przedśmiertne konwulsje. Wszyscy dorośli zamilkli w momencie, tylko Staś darł się nadal, ponieważ jemu zaraza była obojętna. Po swoim protestował przeciw traktowaniu go w tak obcesowy sposób.

Silnik zakaszłał raz i drugi, jakby się psuł. Ziemowit natychmiast go wysprzęglił, tak że dalej jechali już tylko siłą rozpędu, ale niewiele to pomogło. Kaszlenie nie ustało, a nawet się nasiliło, a potem... Po wyjątkowo głośnym prychnięciu pod maską zapadła złowieszczą cisza.

Wartburg zatrzymał się kilkanaście metrów przed placem Kościuszki.

– I coś pan najlepszego narobił? – wydarł się Seweryn, gdy minęło pierwsze zaskoczenie.

– To nie moja wina! – obruszył się kolejarz.

– A czyja?! – nie odpuszczał Pogorzelski. – To nowusieńki wartburg. Enerdowska myśl techniczna. Takie cacka same się nie psują!

– Przecież ja nic nie zrobiłem!

– W ludzi wjechałeś, człowieku! – Daria poparła męża.

– Nie wjechałem w żadnych ludzi. Roztrąciliśmy ich

błotnikami, a to co innego!

– Powiedz pan to tej szybie! – Pogorzelska wskazała zachlapanie ciemną krwią okno.

Mierzwiak postanowił zignorować wrzaski pasażerów, miał bowiem większy problem niż wyładowujący na nim swoją złość sąsiedzi. Przekręcił kilka razy kluczyk w stacyjce, nadaremno jednak. Przyjrzał się więc uważnie desce rozdzielczej. Wskazówka na prawym wskaźniku zahaczyła o czerwone pole. Postukał palcem w szybkę, ale zołza nawet nie drgnęła.

– Paliwo się skończyło – oznajmił, gdy Seweryn się zatchnął i umilkł na chwilę.

– Co znaczy: skończyło? – Daria zareagowała pierwsza. – Jak paliwo mogło się skończyć? To znakomity enerdowski wóz! W nich takie rzeczy się nie dzieją...

– Czekaj. – Pogorzelski pochylił się, żeby spojrzeć na paliwomierz. – Szlag.

– Nasz doktorek chyba zapomniał zatankować. – Wściekły Ziemowit walnął nasadą dłoni w kierownicę. – No tośmy się załatwili. A już byliśmy tak blisko.

Zamilkli. Nawet kołysany cały czas Staś już tylko kwilił. Rozglądając się trwożliwie po okolicy, stwierdzili, że na ich szczęście na tym odcinku ulicy nikogo nie ma – ani żywego, ani odmienionego. Jak wyglądała sytuacja na placu, nie mogli wiedzieć, ponieważ widok zasłaniała im karetka pogotowia, rozbita o latarnię nyska w kolorze kości słoniowej.

– Nie ma co zrzędzić – odezwał się Mierzwiak, przerywając milczenie. – Bierzemy kłamoty i zasuwamy dalej per pedes. To już

tylko kilka przecznic. Damy radę.

Nie krytykowali, nie marudzili. Porzucili bezużyteczny już cud techniki, nie mogąc się nadziwić, jak można być tak nieogarniętym, by nie zatankować wozu do pełna, zwłaszcza gdy wokół szaleje zaraza. *Lekarze, niby tacy intelektualiści, elita narodu, a najprostszyc rzeczy nie pojmują*, myślała z goryczą Daria, zarzucając na plecy tobołek.

– Nie chodnikiem, środkiem ulicy! – napomniał ją kolejarz, gdy ruszyła w stronę krawężnika.

– Dlaczego?

– Tak będzie bezpieczniej – odparł, nie wyjaśniając niczego.

– A jak ktoś nas potrąci, jak pan tych tam... – Wskazała głową za siebie.

– Nie potrąci. Usłyszymy go z daleka i zejdziemy z drogi – uciał i tę dyskusję.

Właśnie dochodzili do miejsca, w którym stała rozbita karetka.

– Co tu się nawyrabiało? – Taszczący dwie walizki Seweryn pokręcił głową i z ulgą przystanął.

– Diabeł jeden wie – odburknął Mierzwiak, ale moment później odstawił też swoją walizkę i potruchtał do otwartych na oścież drzwiczek nyski.

– Co znowu? – zawołała za nim Daria.

– Może draństwo odpali – rzucił przez ramię. – Tylko sprawdzę i wra...

Odskoczył i zamarł w takiej pozycji, jakby był sprinterem czekającym na sygnał startu.

– A wy kto? – Pogorzelscy usłyszeli zadane półgłosem pytanie.

– Ludzie – odparł bez namysłu Seweryn.

Drzwi z tyłu karetki zaskrzypiały. Moment później zobaczyli na jezdni ducha.

A nawet dwóch duchów. Stali bowiem przed nimi dwaj lekarze ubrani od stóp po czubek głowy w stroje ochronne. Nawet twarze mieli przesłonięte, tak że widać było tylko ich ukryte pod masywnymi goglami oczy. To musieli być medycy należący do jakiejś ekipy ewakuacyjnej albo pracujący w którymś z izolatoriów.

– Nie jesteście zarażeni?

Mierzwiak, który zdążył się już wyprostować, pokręcił stanowczo głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo – oświadczył.

– Jacy zarażeni! – nastroszyła się Daria. – Cali i zdrowi jesteśmy. Dlatego usiłujemy dać nogę z miasta.

– Jak?

– Sąsiad na kolei pracuje, obiecał, że załatwi nam bilety na pierwszy pociąg, który wyjedzie z Wrocławia – wypaliła Pogorzelska, zanim pomyślała, co robi.

Lekarze spojrzeli po sobie.

– Możemy zabrać się z wami?

Seweryn spojrzał pytająco na Mierzwiaka, ale ten oblizywał tylko spierzchnięte wargi i milczał.

– Mogą? – zapytał więc sąsiada, wymuszając odpowiedź.

– Nie wiem, czy aż tyle biletów zdołam skołować.

– My tu leki mamy – wyższy z lekarzy wskazał karetkę – i środki opatrunkowe. W taki czas to skarb większy od pieniędzy.

Drugi potakiwał tylko, wpatrując się z nadzieją w kolejarza.

– Dobra, możecie iść z nami, ale pamiętajcie, niczego nie obiecuję. Tak przy okazji, Mierzwiak jestem, Ziemowit – przedstawił się, ale szybko cofnął wyciągniętą do lekarzy rękę.

Uściski dłoni nie były ostatnio w modzie.

– Dawid, tak się nazywam, a na imię mam Maciej. – Wyższy lekarz przyłożył palec do skroni, jakby niechlujnie salutował.

– A ja Denisiuk – odezwał się drugi. – Żeby było śmieszniej, też Maciej.

To chyba miał być żarcik dla rozładowania atmosfery, jednakże nikt się nie uśmiechnął. Pogorzelscy przedstawili się tylko półgębkiem, po czym znów zapadła niezręczna cisza.

– Bierzcie klamoty i znikamy, bo czas nagli – polecił im zniecierpliwionym tonem Ziemowit. – No i tych przebrań się pozbądźcie, bo ludzi tylko straszycie, a przeciw nowej zarazie niespecjalnie wam pomogą.

Dalszy postój trwał nie dłużej niż minutę. W tym czasie Mierzwiak nie odmówił sobie próby odpalenia karetki, lecz i ona, pomimo niezbyt dużych uszkodzeń, okazała się kompletnym wrakiem.

– Jak wyście to zrobili? – zapytał z nieskrywanym zainteresowaniem Seweryn, gdy lekarze, już w cywilu, dołączyli do nich.

– Nasz kierowca zasłabł nagle – wyjaśnił Dawid. – Chyba się dymem zatruł.

– Pół nocy jeździł do krematorium, to i nawdychał się tego syfu – dodał Denisiuk.

– Do jakiego krematorium? – podchwyciła Daria.

– To wy nic nie wiecie? – Lekarze spojrzeli na nich, nie kryjąc zdumienia.

– Coś tam słyszeliśmy – bąknął Mierzwiak – ale na pewno nie tyle co wy.

– Triumwirat nakazał stworzenie na mieście otwartych krematoriów, w których można by utylizować zwłoki ofiar zarazy. Jedno było na placu Grunwaldzkim, drugie gdzieś na Muchoborze chyba... – Dawid spojrział na kolegę, ale ten wzruszył tylko ramionami. – Kupa luda poszła w nich z tym pieprzonym dymem.

– Dużo jest ofiar? – zainteresował się Seweryn.

– Tego nie wie nikt – odparł Denisiuk. – Chyba jednak można śmiało mówić o tysiącach.

Daria zrobiła wielkie oczy.

– Aż tyle?

– Na to wygląda. Ludzie padają jak muchy.

– A potem wstają z martwych – dodał jego kolega znacznie ciszej.

– Jak to: z martwych? – zdumiał się Seweryn. – To przecież niemożliwe.

– Mnie pan tego nie mów, ja po medycynie jestem. – Dawid wzruszył ramionami. – Ale wiem, co widziałem. W jednej chwili człowiek umiera, w drugiej otwiera oczy i robi wszystko, by polować na żywych.

– A wasz kierowca? – Zaniepokojona Daria rozejrzała się bojaźliwie.

– Spokojnie, droga pani Pogorzelska. Już go tu nie ma. On i pielęgniarz poleżli chwilę temu za jakąś kobieciną w stronę

placu.

– Jaka pielęgniarka?

– No, nasza. Siedziała z nim w kabinie, gdy doszło do wypadku.

Dobił ją skurczysyn... – Dawid zwiesił głowę.

– A wy dlaczego nie zwialiście, tylko siedzieliście w tej stalowej trumnie? – zapytał podejrzliwie Mierzwiak.

– Na ratunek czekaliśmy.

– Miasta nie znamy, nie wiedzielibyśmy nawet, w którą stronę uciekać.

Doszli właśnie do wylotu, za którym ulica zamieniała się w ozdobiony skwerkami plac Kościuszki. Wokół wznosiły się kremowe kamienice KDM-u, wzorowanego na tym warszawskim, lecz o wiele bardziej komponującego się z otoczeniem. W tym miejscu Ziemowit dał im znak, by się zatrzymali.

Choć na samym placu panował spokój, to za nim, na ulicy przy KMPiK-u, widać było wiele postaci stojących w tak charakterystycznych pozach, iż bez trudu dało się poznać, że ma się do czynienia z zarażonymi. Podobnie było przy wejściu do pedetu. Tam mundurowi odmieńcy z Podwała wymieszali się z cywilami, którzy zapewne padli ich ofiarą.

– Idziemy pod arkady – zdecydował kolejarz. – To jedyna droga.

Skęcili na jezdnię biegnącą wzdłuż narożnika placu. Nadal posuwali się bardzo wolno, ostrożnie, cały czas się rozglądając. Na razie nie widzieli w pobliżu żadnego zarażonego, lecz nie mieli pojęcia, czy nie trafią na nich po wyjściu na Świdnicką.

Docierali właśnie do rogu, gdy tuż za nimi rozległ się

przeraźliwie głośny brzęk tłuczonej szyby i zaraz potem głuche gruchnięcie, jakby ktoś worek ziemniaków na chodnik zrzucił. Obejrzeni się wszyscy bez wyjątku. Na płytach leżała młoda dziewczyna. Ręce i nogi miała dziwnie rozrzucone, jakby jej stawy cechowała nienaturalna elastyczność, a pod jej zdefasonowaną głową formowała się kałuża ciemnej krwi.

– Jezusie! – Daria w pierwszym odruchu chciała podbiec do ofiary wypadku, ale jeden z lekarzy powstrzymał ją, chwytając za rękę.

– Ona jest zarażona! – syknął. – Pani patrzy!

Dziewczyna poruszyła wywichniętą ręką, potem nogą, zaczęła się gramolić, pomimo otwartych złamań, nie wydając przy tym żadnych dźwięków. Zaskoczeni tym widokiem uciekinierzy wzdrygnęli się, słysząc kolejny łomot, tym razem z drugiej strony. Tam z kolei na chodnik spadł leciwy mężczyzna w tużurku.

Mierzwiak zadarł głowę. W otwartych oknach kamienicy dostrzegł mrowie ludzi czy też odmieńców. W taki upał nikt nie zamykał się w mieszkaniu na cztery spusty. Co gorsza, drzwi balkonów na pierwszym piętrze też były pootwierane i to z nich...

Odmieńcy posypali się na ulicę jak przysłowiowe ulegalki. Jedno po drugim bezwładne ciała uderzały o płyty chodnika. Wkrótce było ich już kilkanaście, niedługo potem kilkadziesiąt. W dodatku zarażeni z sąsiednich klatek zaczęli zachowywać się podobnie, jakby ktoś im pokazał, co robić.

Zdjęta strachem Daria zaczęła pisać, na co Seweryn porzucił ciężkie walizki, by ją przytulić i uspokoić. Lekarze przyglądali się drgającym zwałom zwłok z przerażonymi minami i tylko

Mierzwiak miał na tyle przytomności, by się odnaleźć w tej sytuacji.

Tylko on patrzył w górę zamiast na ofiary masowej defenestracji. Mieszkania na pierwszym piętrze miały albo niewielkie balkoniki, albo ni to okna, ni to drzwi, także sięgające samej podłogi, zatem wystarczyło, by ich odmienieni lokatorzy uczynili krok do przodu, a grawitacja robiła za nich resztę roboty. Niskie barierki nie były w stanie powstrzymać człowieka jak sięgające wyżej pasa parapety starej, ponemieckiej zabudowy.

– Chodu! – ryknął tymczasem któryś z lekarzy i grupka uciekinierów rozbiegła się na wszystkie strony.

– Tam! – Zaskoczony takim obrotem sprawy Mierzwiak wskazał zacienione arkady. – Tam biegnijcie, do jasnej cholery!

Daria zareagowała pierwsza.

– Seweryn! – wrzasnęła, a gdy jej mąż się obejrzał, wskazała przeciwny kierunek.

Pogorzelski zawrócił, ścinając zakręt przez skwerek. Nie dbał o bagaże, ponieważ ci z odmieńców, którzy spadali na ciała poprzedników, nie odnosili już tak poważnych obrażeń i gramolili się właśnie, by ruszać w pogoń za żywymi.

Lekarze, którzy odruchowo wybrali właściwy kierunek ucieczki, wysforowali się kilkanaście metrów przed resztą grupy. Biegący za nimi Ziemowit po chwili namysłu rzucił obciążającą go zbytnio walizkę. Rozejrzał się też za czymś, co mogłoby posłużyć za broń. W narożnej bramie zauważył wykop otoczony metalowymi stojakami. W dwóch susach dopadł do tego prowizorycznego ogrodzenia. Najpierw chwycił za pręt, ale ten

obciążono na jednym końcu bryłą betonu, okazał się więc za ciężki na broń, którą można kogoś odepchnąć albo zdzielić. Za drugim razem złapał deskę. Miała metr długości i z dwadzieścia centymetrów szerokości. Zamachnął się. Była idealna, zważywszy na okoliczności i niewielki wybór. Wyszarpnął z ogrodzenia jeszcze trzy takie, po czym pognał za towarzyszami.

– Łap pan! – rzucił jedną deskę Sewerynowi, zanim dotarli pod arkady.

Nie zdążył wyhamować i wpadł z impetem na stojącego dwa kroki dalej lekarza. Świdnicka była zablokowana. Na wysokości przystanków stało kilkudziesięciu zarażonych, może nawet setka. Zajmowali tam niemal całą jezdnię i chodniki, ale pod arkadami było ich tylko kilku, nie więcej niż dziesięciu.

– Co teraz? – Spanikowany Denisiuk spojrział na Mierzwiaka.

– Bierz pan! – Kolejarz wcisnął mu do rąk drugą deskę.

– Na cholere mi to?

– Nie na cholere, tylko na nich. – Ostatnia deska trafiła do Dawida. – Przebijamy się!

– Nie ma innej drogi?

– Nie ma.

– Za nami jest horda tych, co powyskakiwali z okien – potwierdził Seweryn, oglądając się przez ramię – a przed nami... Sam pan widzisz! – Wskazał głową pedet.

– Pani rzuci te klamoty! – Mierzwiak doskoczył do Darii.

– Ale ja tam wszystko dla dziecka mam! – zaoponowała, nie pozwalając zdjąć tobołka.

– Na nic mu się zdadzą pieluchy, jeśli matka nie przeżyje! –

wrzasnął.

Skuliła ramiona i poddała się następnej próbie uwolnienia od ciężaru.

– Pani w środek, my na flanki i drałujemy na Świerczewskiego. Na skrzyżowaniu zobaczymy, która droga najbezpieczniejsza.

Ruszyli. W ciasnym szyku, pochyleni, z deskami gotowymi do zadania ciosu. Pierwszy z zarazonym zmierzył się Dawid. Przywalił tamtemu w łeb na płask, aż mu się koniec dechy ułamał, ale drań zachwiał się tylko.

– Nie uderzajcie, tylko pchajcie! – poradził Mierzwiak i od razu pokazał, jak to robić.

Trącony przeciwnym końcem dechy odmieniec poleciał na plecy.

– O tak! – Seweryn powalił kolejnego.

Przebili się przez skraj hordy i choć ta ruszyła za nimi, po chwili znów się zatrzymała, jakby ożywieńcy nagle stracili zainteresowanie uciekinierami.

– Ki diabeł? – zdziwił się Denisiuk, ale nie zwolnił.

– Czekaście! – Okrzyk Mierzwiaka osadził ich w miejscu kilka metrów od końca arkad.

Usłuchali go i zatrzymali się, ale desek nie opuścili.

– Czyś pan oszalał? – zapytała Daria, tuląc płaczącego znów Stasia. – Nie możemy tu zostać.

– Nie możemy też wybiegać z za rogu, nie wiedząc, na co trafimy – odpowiedział szorstko, żeby niepotrzebnie nie ciągnąć tej rozmowy.

Wzdrygnęli się, słysząc kolejny hałas. Tym razem nie był to

jednak odgłos ciała uderzającego o bruk, ale coś jakby eksplozja. Kwestii nie ulegało tylko to, że dźwięk doleciał od strony dworca.

– Patrzcie tam! – Dawid wskazał odległy wiadukt, na którym zaroilo się nagle od ludzi.

Nie odmieńców, tylko żywych.

Dziesiątki podobnych im uciekinierów pędziły po torach wzdłuż stojącego składu. Nieszczęśnicy gnali przed siebie, nie bacząc na nic, tratując się wzajemnie. Ziemowit widział wyraźnie, jak wypychani przez barierki mężczyźni i kobiety spadają na jezdnię, a potem...

– Nie! – Daria zasłoniła dłonią oczy.

Za uciekającymi jechał pociąg. Wkrótce wielki czarny parowóz miażdżył zagradzającą mu drogę ścianę ciał, pruł ją jak lemiesz pługa oraną ziemię. Teraz już nie ciała spadały na ulice w dole, lecz potoki krwi i ludzkich szczątków.

To była rzeźnia...

– Nadal chcesz pan nas zaprowadzić na dworzec? – zapytał z obawą w głosie Dawid.

– Innej opcji nie widzę – odparł kolejarz.

– Ale...

– Pociąg – uciął Mierzwiak.

– Co: pociąg? – zapytał Denisiuk.

– Jeśli jeden odjechał, to będą i inne, nie?

Logika tej wypowiedzi, choć bolesna, była niezaprzeczalna. Rozejrzeli się raz jeszcze. Wokół roilo się od zarażonych. Ci z KDM-u stali na przeciwległym krańcu arkad, odcinając uciekinierom drogę powrotu. Pociągnięty podczas ucieczki tłumek

na Świdnickiej rozproszył się jeszcze bardziej, teraz minięcie go wydawało się niemożliwe. Pozostawało więc uparte parcie do przodu, w nadziei że tak bliski już dworzec zaoferuje upragniony ratunek.

– Czekał pan! – Ziemowit chwycił za ramię ruszającego w kierunku wylotu arkad Seweryna. – Sprawdźmy najpierw, czy droga jest wolna.

Podszedł do końca budynku, trzymając deskę przed sobą, by mieć szansę na odparcie ewentualnego ataku, który jednak nie nastąpił. Mimo to Mierzwiak cofnął się natychmiast po wyjrzeniu za róg. Tam też byli – dziesiątki, jeśli nie setki odmieńców. Już ruszali w tym kierunku, ale wlekli się ospale jak pielgrzymka pod koniec ostatniego dnia.

Wrócił kilkoma susami do swoich.

– Pełno ich. Zasuwamy środkiem ulicy, tam będziemy mieli lepszy ogląd sytuacji i większe pole manewru.

Nie sprzeczekali się, tylko wypadli na jezdnię, co niestety wiązało się z pociągnięciem za sobą okupujących ją ożywieńców. Nie przejęli się tym jednak, ponieważ nie mieli wyjścia – skoro nie było powrotu, musieli przeć naprzód, robili to więc najlepiej, jak umieli.

Pobiegli w kierunku środka skrzyżowania, widząc, że jest wolny od odmieńców. Najbliźsi zarażeni z rozproszonego tłumu stali ponad dziesięć metrów od miejsca, w którym zatrzymali się na moment uciekinierzy. Mierzwiak przyglądał się uważnie wylotowi każdej ulicy, próbując ocenić, która trasa jest najbezpieczniejsza. Gdyby dano mu jeszcze minutę albo chociaż piętnaście sekund, pewnie wybrałby lepiej, ale nie otrzymał tej szansy. Spanikowany

Pogorzelski, ściskając w jednej ręce dechę, a drugą trzymając żonę, wskazał Świerczewskiego.

– Walimy prosto na dworzec! – zawołał i ruszył, nie czekając na resztę.

Ziemowit zareagował odruchowo, podobnie obaj lekarze. Zdążyli zrobić kilka kroków, zanim usłyszeli wołanie. Jakaś kobieta krzyczała do nich z estakady:

– Nie idźcie tam!

W przejmującej ciszy jej słowa przetoczyły się nad skrzyżowaniem jak ryk gromu. Seweryn zdębiał. Zatrzymał się w pół kroku, potem odwrócił twarzą do torów.

– Kie lichy? – mruknął Mierzwiak.

– Ona chyba wie, co mówi – pisnęła Daria.

– W takim razie wiejmy tam! – Pogorzelski pociągnął ją w przeciwnym kierunku, znów nie czekając na pozostałych.

Ci nie poszli jego śladem od razu, po części zaskoczeni nagłym zwrotem, po części z rozsądku. Niestety, pierwsza decyzja ich brodatego kompana okazała się brzemienna w skutki. Krótki wypad zaprowadził grupę w zasięg hordy, która nie próżnowała. Choć żaden z odmieńców nie poruszał się żwawo, to jednak wszyscy szli niestrudzenie, z każdą chwilą zacieśniając krąg.

– Nie ma co deliberować – rzucił więc Mierzwiak, ruszając za sąsiadem.

Lekarze, omiótłszy wzrokiem zbliżających się zarażonych, także podali tyły, lecz było już za późno. Ożywieńcy ze Świdnickiej zdążyli dotrzeć na środek skrzyżowania, a skręcenie w stronę wiaduktu nie wchodziło w grę, ponieważ na tym kierunku drogę

blokowała zwarta grupa odmieńców wzmocnionych ofiarami niedawnej rzezi na torach.

Uciekinierzy musieli kluczyć, by omijać wyciągające się ku nim łapy. W pewnym momencie Denisiuk, nie mając innego wyjścia, przywalił dechą jakiemuś grubasowi w dziurawym, zakrwawionym podkoszulku. Facet fiknął w tak zabawny sposób, że nie powstydziliby się tego żaden z mistrzów komedii slapstickowej. Niestety, to nie były już lata dwudzieste, czasy się zmieniły, a sytuacja nie nastrajała do żartów. Zarazony, padając, wyciągnął łapska i zdążył chwycić za kostkę biegnącego tuż za kolegą Dawida.

Młody lekarz próbował się wyrwać, ale tamten trzymał mocno. Ziemowit zwolnił nieco, chwycił towarzysza niedoli za dłoń, ale puścił ją momentalnie, gdy zakręciło mu się w głowie, jakby coś wyszło z niego większość sił.

W tym samym momencie pochwycony złożył się jak scyzoryk, po czym padł na bruk i natychmiast został nakryty chmurą sinych ciał. Jego śmierć dała Mierzwiakowi dodatkową sekundę na otrzeźwienie. Skorzystał z niej, najlepiej jak umiał, i uchylił się, zanim dosięgnęły go ręce kobiety o tak zniekształconej twarzy, że rodzona matka by jej nie poznała. Równocześnie poczuł, że ktoś go chwyta z drugiej strony. Chciał się oswobodzić, ale zabrakło mu sił i dał się bezwolnie pociągnąć.

– Dawaj! – wrzasnął mu prosto w ucho drugi z Maciejów.

Pobiegli ramię w ramię za uciekającymi Pogorzelskimi, jednakże nie był to długi sprint. Seweryn zatrzymał się kilkanaście metrów dalej, ponieważ od tej strony też szła na nich ława зараżonych. Powalił kilku celnymi pchnięciami dechy.

– Pomóżcie, panowie – wychrypiał.

Zrozumieli, o co mu chodzi. Był inżynierem i choć zżerała go panika, jego umysł pracował na najwyższych obrotach, ponieważ chodziło o życie ukochanej żony i syna. Wykalkulował więc, że powalenie tych z przodu opóźni resztę hordy, gdyż odmieńcy leżli przed siebie jak ślepcy i potykali się o każdą przeszkodę. Niestety, choć pomysł był dobry, jego realizacja nie poszła już tak gładko. Zabrakło im czasu, a wywróceniu, mimo że byli tratowani, nie powstrzymali napierającego ze wszystkich stron tłumu.

Denisiuka rozdarto na strzępy. Nie w przenośni bynajmniej. Najpierw jakiś drab wyrwał mu rękę, potem inny rozpruł mu łapami brzuch, uwalniając wnętrzności, a na koniec młody lekarz stracił głowę z kawałkiem kręgosłupa. Mierzwiak zdębiał na ten widok. Nie doszedł jeszcze do siebie po tej dziwnej zapaści sprzed paru chwil, dlatego miał spowolniony czas reakcji. Deska, którą chciał odepchnąć garbatego starca, nie trafiła tam, gdzie powinna. Jedno uderzenie serca później kolejarz już nie żył. Wystarczyło muśnięcie kościstej ręki, by świat zawirował i zgasł.

Seweryn dwoił się i troił, ale nie był w stanie pokonać aż tylu wrogów, zwłaszcza że nikt nie ubezpieczał już jego tyłów. Fala odmieńców zalała w tej samej chwili jego i żonę. Daria ostatnim błyskiem świadomości uniosła w górę rękę, w której trzymała becik ze Stasiem. Nie opuściła jej nawet wtedy, gdy pazury wielu rąk rozorywały jej twarz, odrywając ciało od kości. Jej trud poszedł na marne.

Zmartwychwstając, odebrała życie własnemu dziecku.

16

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 07:15

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Zebrali się ponownie równo siedem godzin po pierwszym spotkaniu, w tym samym gabinecie, lecz w znacznie szczuplejszym gronie. Zostało ich tylko ośmioro szczątkowej załogi, licząc siedzącego za biurkiem ordynatora. O wiele za mało, by radzić sobie sprawnie z problemami dnia codziennego w tak dużej placówce medycznej, a aktualna sytuacja odbiegała przecież od normy. W dodatku personel był potwornie zmęczony całonocnym czuwaniem. Ludzie – niewyspani i rozdrażnieni, nie mówiąc o podłamaniu bezsensowną z ich punktu widzenia śmiercią znajomych, często przyjaciół – gonili ostatkiem sił.

Tymczasem jedno było pewne: wstający dopiero dzień będzie od nich wymagał jeszcze większego poświęcenia. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę; nikt nie myślał już o rejteradzie. Komunikaty nadawane od kilku godzin przez wrocławską rozgłośnię niosły jasny przekaz – nie wychodź na ulicę, jeśli nie chcesz dołączyć do hord zarażonych.

Od odmieńców roіło się także za oknami kliniki.

– Co zatem powiecie na pomysł, by zgromadzić wszystkich pacjentów na jednym piętrze? – zapytał Niemczuk, zdjawszy okulary, żeby rozmasować nasadę nosa.

Krajewska otworzyła trzymany na kolanach rejestr. Przerzucając kolejne kartki, zliczyła szybko wpisy. Rachunków dokonała w pamięci. Znana była ze swych zdolności arytmetycznych i dlatego to jej szefowa powierzała sporządzanie kwartalnych raportów.

– Jeśli dostawimy po dwa łóżka do każdej z sal, powinni się zmieścić – odpowiedziała po krótkiej chwili. – Ale czy to ma sens?

– Raczej się skichamy, niż obsłużymy w siódemkę wszystkie oddziały na trzech kondygnacjach – wyraziła swoją opinię siostra Martyna, autorka pomysłu wspomnianego przez profesora.

– Mnie też liczcie – poprosił Niemczuk. – No i kucharki.

– To już prędzej pan Szymon nam się przyda. – Krajewska machnęła ręką. – Te garnkotłuki znają się na gotowaniu jak nikt, ale nie powierzyłabym im opieki nad nikim, kogo znam i lubię. One bladego pojęcia nie mają o podejściu do pacjenta.

– Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma – skwitował jej słowa Niemczuk. – Trzeba je będzie przysposobić, przeszkolić jakoś, choćby pobieźnie.

– A skąd znaleźć na to czas? – Martyna zaśmiała się, choć bez cienia wesołości w głosie.

– Możecie je instruować przy pracy – zaproponował profesor. – To powinno wystarczyć.

Nikt nie zaproponował, ponieważ naprawdę było to jedyne rozsądne rozwiązanie, w przeciwnym razie cała robota spadłaby

wyłącznie na nich.

– Dobrze – podsumował ordynator. – Siostrzo Joanno, proszę zatem przygotować harmonogram przenosin.

– Za pół godziny mogę mieć wstępny szkic – obiecała.

– Świetnie. Który oddział proponujecie?

– Myślę, że najsensowniej będzie upakować wszystkich na dwójce – odezwała się Kopacz.

– Tak – poparł ją Ruciak. – Łóżka poznosimy z trójki, tak będzie szybciej i łatwiej.

Krajewska znów przeliczyła coś w myślach, potem przytaknęła.

– To powinno się udać. Poza tym, wybierając dwójkę, nie będziemy musieli przeprowadzać drani z izolatek.

– Na każde skrzydło przypadnie po pięć osób – podsumował profesor. – Troje albo czworo z was, po jednej kucharce i pan Szymon. Przy ograniczeniu obowiązków do niezbędnego minimum to powinno wystarczyć.

Miał świadomość, że „ograniczenie obowiązków do niezbędnego minimum” jest eufemizmem. Nafaszerowanie pacjentów środkami uspokajającymi gwarantowało ich zwarzywienie, jednakże nawet to nie oznaczało mniej pracy dla personelu. Półprzytomni ludzie wymagają bowiem nieustannej uwagi, a przy tym, co działo się obecnie z ofiarami wypadków śmiertelnych, nie będzie można spuścić ich z oka. Jeden błąd, jedno niedopatrzenie, i delikwent zacznie zarażać wszystkich wokół.

– Może damy część pacjentów w pasy? – zaproponowała Bruziak.

– Tak nie mo... – obruszyła się siostra Joanna.

– Unieruchomieni będą sprawiać mniej kłopotu – poparł koleżankę Ziomko. – Nie mówiąc o tym, że zyskamy pewność, iż nie zrobią sobie przypadkiem krzywdy.

– Ale to przecież kara jest. Jak im wytłumaczymy...

– Będą tak naćpani, że nic nie zauważą – wtrącił Ruciak.

– Dobrze – zgodziła się niechętnie Krajewska. – Dajemy część w pasy i co dalej? Jak długo będziemy ich tak trzymać?

– Tyle ile trzeba.

– Przecież takie unieruchomienie grozi odleżynami! – przypomniał wszystkim roztropnie Ruciak.

– Co tam odleżyny – wzruszyła ramionami Wandałowicz. – Jeśli któryś dostanie zakrzepicy, to dopiero będziemy mieli niezły bajzel.

– No, nie do końca – sprzeciwił się Ziomko.

Krajewska na niego naskoczyła.

– Jeśli nam któryś umrze, to musowo się przemieni, jak Ela i Zosia.

– Owszem, pamiętam, ale po tej przemianie nadal będzie przywiązany do łóżka, więc nikomu innemu nie zagrozi.

– Kolego – w tym momencie do dyskusji włączył się ordynator. – My tu mówimy o chorych ludziach, nie o przedmiotach. Żeby było jasne, nie wydam zgody na żadne ograniczenie swobody osobistej pacjentów, oczywiście poza koniecznymi przypadkami.

– To będziemy mieli problem, panie profesorze – stwierdził asekuracyjnie Ziomko.

– A tak na marginesie... na jak długo tu utknęliśmy? –

Wandałowicz zadała pytanie, które musiało wszystkich nurtować.

Niemczuk nie odpowiedział od razu. Teraz, gdy wszyscy wiedzieli już, czym jest nowa zaraza, a raczej jak kończą ci, którzy na nią zapadają, nie musiał owijać w bawełnę i mógł wywalić im całą prawdę prosto z mostu.

– Jeśli wierzyć zapewnieniom wojskowych, czeka nas mniej więcej tydzień izolacji, ale... – uniosł palec, widząc, że Ruciak otwiera usta, by coś powiedzieć – ...ale na mój rozum lepiej uzbroić się w cierpliwość i założyć, że odsiecz przybędzie w ciągu czternastu dni.

– Dwa tygodnie! – jęknęła Bruziak.

– Maksymalnie – zapewnił ją i innych ordynator. – To naprawdę najczarniejszy z czarnych scenariuszy. Spójrzcie... – Wskazał na widoczną za oknem Odrę. – Tam są przedmieścia Wrocławia. Stamtąd powinien też nadejść ratunek, więc my tutaj, w klinice, będziemy jednymi z pierwszych, których wojsko ocali.

Pokiwali głowami, choć nie do końca wierzyli w jego słowa. Niemniej, jak to mówią, tonący brzytwy się chwyta, dlatego i oni przymknęli oczy na fakt, że ich przełożony gdyba. Równie dobrze akcja oczyszczania mogła się zacząć od strony Krzyków albo Psiego Pola.

– Podsumowując... – Niemczuk wyjął z kieszeni fartucha wieczne pióro i zapisał nim w notesie datę, pod którą kreślił kolejne słowa w miarę ich wypowiedania. – Przenosimy wszystkich na dwójkę. Panowie Ziomko i Ruciak zajmą się zniesieniem łóżek, w tym czasie siostra Joanna sporządzi harmonogram pozostałych prac, a reszta pań pomoże w wydaniu pacjentom śniadania.

O dziewiątej zero zero rozpoczniemy obchód i wydawanie leków.
To wszystko. – Schował pióro. – Do roboty, moi drodzy.

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 10:12

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Mądrzy ludzie powiadają, że piekło jest dobrymi chęciami wybrukowane, i to musi być prawda. Pracownicy kliniki robili co w ich mocy, by wyszło jak najlepiej, jednakże kilka rozłożonych w czasie, drobnych w sumie, błędów i niedociągnięć sprawiło, że misterny plan zaczął się sypać, choć oni tego jeszcze nie wiedzieli.

Obaj sanitariusze znieśli rozmontowane łóżka i według rozpiski siostry Joanny dostawili je w każdej sali na drugiej kondygnacji. Pielęgniarki zaraz po skromniejszym niż zwykle śniadaniu zajęły się przeflancowaniem pacjentów, z których zdecydowana większość ledwie kontaktowała po otrzymaniu dużych dawek środków uspokajających. Dzięki otępieniu byli wprawdzie bardziej skłonni do współpracy, ale też niewiele sprawniejsi od odmieńców, przez co niektórych zamiast sprowadzać piętro niżej, trzeba było znosić.

Piotr i Damian kleli więc ile wlezie, ponieważ ta część operacji ze zrozumiałych względów także spoczęła na ich barkach. Ordynator nie zgodził się, pomimo licznych próśb, na zbudzenie

portiera, a sam, jako człowiek wiekowy, bardziej im przeszkadzał, niż pomagał, tak więc szybko podziękowali mu grzecznie i odesłali do gabinetu.

Po niespełna trzech godzinach mordęgi najwyższa kondygnacja kliniki opustoszała, teraz przyszła pora na zajęcie się jedyнкą, lecz to była już łatwizna, ponieważ na oddziale półzamkniętym przebywali pacjenci najmniej uciążliwi, jedyni, których tego ranka nie odurzono jak całej reszty. Z racji tego, że było ich tylko pięciu, Niemczuk postanowił, iż sam się nimi zajmie.

Do pomocy wziął sobie obie kucharki, aby dać im pierwszą lekcję ciężkiej sztuki obchodzenia się z chorymi. Oderwał je od przygotowywania postnego obiadu, który nawet jak na socjalistyczne standardy wydawał się bardzo ubogi – do nieokraszonych niczym ziemniaków miała być dodana łycha kiszonej kapusty – ale i tak pożywniejszy i bardziej syty od kolejnego i jeszcze następnego, gdyż plan zakładał konieczność wyżywienia wszystkich przez dwa tygodnie, a zapasów nie przybyło od minionego wieczoru, kiedy to przeprowadzono inwentaryzację.

Ewelina i Magdalena odłożyły więc struganie ziemniaków i niechętnie, acz bez protestów, poszły za ordynatorem na wysoki parter.

– Panie mnie obserwują uważnie – instruował je Niemczuk, gdy zmierzali korytarzem na jedyny oddział półzamknięty. – Kiedy powiem, wezmą panie wskazanych przeze mnie pacjentów i zaprowadzą ich do wschodniego skrzydła dwójki. Tam zajmą się nimi pielęgniarki.

– A to bezpieczne jest? – zapytała z niepokojem w głosie pani Miela.

– Całkowicie. Zaręczam. Ci ludzie nie zagrażają nikomu. Są tutaj dlatego, że ich rozумы nie funkcjonują tak jak nasze, ale to całkowicie nieszkodliwe istoty. – Musiał wyrażać się zrozumiale, unikając medycznego żargonu, dlatego mówił do kucharek jak do dzieci. – Same panie zresztą zobaczą.

Salę, do której je wprowadził, zajmowało pięciu mężczyzn. Wszyscy cierpieli na zaburzenia urojeniowe, ale tylko trzech z nich nie miało wielkich szans na kontynuację normalnego życia, o ile w medycynie nie dojdzie w najbliższym czasie do epokowego przełomu. Dwaj pozostali przechodzili klasyczne załamanie nerwowe, zwane coraz częściej depresją. Schorzenie to było stare jak świat, czego najlepszym dowodem obraz namalowany w czerwcu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku przez Vincenta van Gogha, na którym mistrz impresjonizmu utrwalił dla przyszłych pokoleń człowieka cierpiącego na nieobcą jemu samemu dolegliwość.

Sytuacja trzech pozostałych pacjentów rysowała się w znacznie ciemniejszych barwach. Czasy nie sprzyjały temu, by Napoleon Bonaparte chodził samopas po ulicach, a za niego właśnie uważał się Filip Ochnio, warszawiak z pochodzenia, a dokładniej mówiąc: prażanin, który uporczywie twierdził, i to nawet po zaaplikowaniu mu elektrowstrząsów, że jest dawno zmarłym cesarzem. Dla otoczenia było to raczej zabawne niż uciążliwe, aczkolwiek w miarę rozwoju choroby urojenia przybierały na sile. Ostatnio pan Filip stracił pracę, czemu trudno się dziwić, zważywszy, że zrugął

swojego przełożonego, obwieszczając, iż nie ma czasu na pierdoły, ponieważ musi dopracować strategię mającej się właśnie rozegrać bitwy pod Borodino. To był moment zwrotny w jego życiu. W odróżnieniu od władcy, za którego się uważał, musiał zarabiać na własne utrzymanie. Pozbawiona środków do życia małżonka zdecydowała się więc zasięgnąć porady lekarzy, a ci już po pierwszej wizycie skierowali najniższego spośród wielkich na obserwację, której końca nie było widać.

– Wasza cesarska mość raczy pójść z tymi oto damami dworu? – zagadnął go Niemczuk, wchodząc w rolę, czego robić nie powinien, by nie umacniać urojeń pacjenta. Uznał jednak, że w tej sytuacji może sobie pozwolić na uczynienie wyjątku.

– A czemuż to, drogi człowieku, miałbym opuścić swoje apartamenty? – zapytał jego cesarka mość, nie wstając z łóżka, na którym siedział dumnie wyprostowany, z ręką w wiadomym miejscu.

– Marysienka wypatruje schadzki z waszą wysokością, z tego co słyszałem.

– Skoro o nią chodzi, planowanie kampanii może poczekać. – Człowiek, który tak bardzo pragnął być cesarzem, że został nim w swojej głowie, zeskoczył zwinnie z łóżka. – Prowadźcie mnie zatem do mojej łubej.

– Pani Ewelino, pani czyni honory. – Profesor przywołał jedną z kucharek. – Tylko niech pani nie zagaduje po drodze jego cesarskiej mości – dał jej dyskretnie do zrozumienia, jak powinna się zachować. – Nie można przecież dopuścić, by coś zdekoncentrowało geniusza strategii zajętego planowaniem

największej z bitew.

– Prostyś człek, sługo, ale czasem uda ci się coś mądrego powiedzieć – pochwalił go Ochnio, zanim opuścił salę.

Drugim pacjentem cierpiącym na paranoję był młodzieniec nazwiskiem Karol Sowa, który pracował do niedawna w znanej kawiarni na Rynku. Jego też wyrzucono z roboty, gdyż zaczął rozpowiadać klientom, że w stolikach, przy których siedzieli, zamontowano podsłuchy. Kierowniczką lokalu, kobieta na wskroś uczciwa i należąca do partii, wstydu się przez niego najadła i nie tylko, ponieważ stałymi bywalcami tego miejsca byli nie prości ludzie, lecz śmietanka wrocławskiej elity. Milicja badająca sprawę z polecenia kilku radnych dość szybko odkryła, że żaden obcy wywiad nie zamontował nad i pod stolikami ukrytych mikrofonów, a rzekome podsłuchy są wytworem chorego umysłu rozgłaszającego te brednie pracownika.

Karol został więc skierowany przez sędziego na obserwację, która potwierdziła u niego zaburzenia urojeniowe skłaniające się ku manii prześladowczej.

– Pana, panie Karolu, przeniesiemy teraz do sali, którą najlepsi technicy naszego kontrwywiadu sprawdzili pod kątem... – zaczął Niemczuk, ale stojący przy oknie młodzieniec uciszył go, przykładając palec do ust i wskazując drugą ręką lampę podsufitową. – Rozumiem. – Profesor wykonał dłonią taki gest, jakby zaszywał sobie usta.

Sowa uniósł kciuk, szczerząc wszystkie zęby. Wystarczyło wskazać mu drugą kucharkę, by poszedł za nią chętnie, zacierając rękę.

Trzeci przypadek wydawał się ordynatorowi najciekawszy, zostawił go więc sobie na koniec, by mieć nieco więcej czasu na rozmowę. Marcin Przybyłek, człowiek pochodzący spod Warszawy i poniekąd krajan Filipa zwanego Napoleonem, został dowieziony do kliniki ze szpitala miejskiego, do którego trafił nocą potrącony przez taksówkę. Taryfiarz zarzekał się, że zauważył ofiarę w ostatniej chwili, jakby pojawiła się znikąd, ale że prowadził pod wpływem, nie uznano tego za okoliczność łagodzącą, chociaż sam pan Marcin powtarzał opiekującym się nim lekarzom, a potem sędziemu, iż faktycznie tak było, ponieważ... cofnął się w czasie z roku dwa tysiące dziewiętnastego.

– Witam, panie Marcinie – zagadnął Niemczuk szczupłego i niemal łysego mężczyznę w kwiecistej piżamie, który wykonywał dziwne ruchy ręką, jakby przesuwiał w powietrzu niewidzialne obiekty.

– Dzień dobry, doktorze – odparł tamten, nie przerywając pracy.

Zanim profesor zdążył zadać pierwsze pytanie, w sali pojawiła się pani Ewelina.

– Załatwione. Siostra Joanna zaopiekowała się królem.

– Cesarzem – poprawił ją machinalnie, po czym mocno się skrzywił. – Panem Filipem. Mówimy o nim pan Filip, proszę to zapamiętać.

Potaknęła, stając za jego plecami, jak poprzednio.

– A cóż to dzisiaj robimy? – zagadnął Przybyłka ordynator. – Znowu malujemy?

Podczas ostatniego obchodu pan Marcin wykonywał podobne ruchy przy świeżo odmalowanej ścianie, a gdy padło pytanie, co

robi, odpowiedział, że maluje orła. Na uwagę, że niczego nie widać, spojrzął na profesora karcąco i mruknął: „Nie widać, bo jest biały”.

– Nie.

– Nie? – zdziwił się profesor. – Zatem to jakieś zajęcie znane tylko w przyszłości.

– Ech wy, zacofańcy... – Pan Marcin pokręcił głową. – Ale rozumiem pańską ciekawość i w geście dobrej woli ją zaspokoję – stwierdził, po czym zamilkł na moment i zerknął przez ramię. – W zamian za przysługę, oczywiście.

Niemczuk nadstawił ucha.

– Tak?

– Przez ten weekend wstrzymacie się od robienia mi codziennej lewatywy.

– Zgoda! – Ordynator mógł przystać na ten warunek, ponieważ i tak nie było możliwości kontynuowania terapii.

– To proste – rzucił zadowolony z dobicia targu pacjent. – Przekładam fotografie do obłoku.

– Aha... – mruknął profesor.

Pan Marcin regularnie zadziwiał go opowieściami o odległej przyszłości, z której – był o tym święcie przekonany – pochodził. Z pełnym przekonaniem opowiadał każdemu, kto zapytał, o samowładnych autach, które będą jeździć po ulicach Wrocławia za lat kilkadziesiąt, wszakże gdy zaczął publicznie twierdzić, że Europa zjednoczy się pod gwiazdzistym sztandarem, tyle że nie czerwonym, ktoś uczynny zameldował o tym odpowiednim służbom i wicherzyciel zmienił jedną salę szpitalną na inną, bardziej pasującą dla warcholów.

– Ale głupoty pan opowiadasz – wtrąciła pani Ewelina. – Przecież nawet małe dziecko wie, że papier jest cięższy od powietrza, więc by panu z tej chmury zdjęcia pospadały!

– Sza! – ofuknął ją ordynator, unosząc groźnie palec.

– No co, prawdę mówię.

Przybyłek zmierzył kucharkę pogardliwym spojrzeniem.

– Zacofańcy – powtórzył. – Te fotografie są w stanie liczbowym, droga pani. Okofon ma taki mały cybernetyczny mózg, w którym wszystko jest zapisywane w formie liczb właśnie...

– Nie wiem, co to okofon, ale czym by to nie było, mózg musi mieć sto razy większy niż pański – parsknęła rozbawiona jego wywodami pani Miela.

– K... – Niemczuk w ostatniej chwili powstrzymał się od przekleństwa. – *Pax* – dodał po łacinie, aby z jednej strony zapunktować u pacjenta, a z drugiej zmiążyć nie rozumiejącą tego słowa kucharkę. – Pani milczy i się nie wtrąca. Zrozumiano?

– Ale...

– Pani Ewelino!

Zamknęła usta, cofnęła się o krok i stamtąd obserwowała ich obu z kpiącą miną.

Profesor zdawał sobie doskonale sprawę, że urojenia Marcina są niedorzeczne, lecz z niekłamaną przyjemnością słuchał kolejnych opowieści, ponieważ kreślona nimi wizja świata przyszłości była zadziwiająco spójna. Momentami można by uwierzyć, że pacjent naprawdę żył w tym paranoicznym świecie, w którym ludzie noszą przy sobie aparaty telefoniczne, by móc rozmawiać z każdego miejsca, a większość czasu spędzają w jakiejś siatce, ale zdaje się,

nie wywiadowczej.

– W jakim celu pan te zdjęcia tam wkłada? – zapytał.

– Zaczyna mi brakować miejsca w pamięci – wyjaśnił rzeczowym tonem Przybyłek.

– Znaczący ma pan problemy z pamięcią? – To była nowość.

– Nie ja, tylko okofon.

Okofonem nazywał jakiś przyszłościowy amerykański wynalazek, który łączyć miał w sobie funkcje aparatu fotograficznego i telefonicznego – kolejna bzdura na resorach. *Czego to chory umysł nie wymyśli, chociaż... Jak się zastanowić, sama idea nie jest głupia, tylko gdzie upchnąć obiektyw takiego ustrojstwa? W słuchawce? A jak tam film wkręcić? No i te wymiary!* Profesora ogarnął pusty śmiech, gdy wyobraził sobie ludzi dźwigających ciężkie bakelitowe aparaty telefoniczne ubogacone obiektywami smieny.

– Proszę w takim razie kończyć to przekładanie do obłoku. Przenosimy pana w bardziej odpowiednie miejsce.

– Dokąd? – zaniepokoił się Marcin.

– Piętro wyżej, ale bez obaw, będzie pan tam miał nowych kolegów. Wprawdzie nie mamy nikogo innego z pańskich czasów, jednakże...

– Pan mnie nie traktuje jak tych Napoleonów z bożej łaski, którzy nie przyjmują do wiadomości stu pięćdziesięciu lat historii przeczącej ich urojeniom – obruszył się pacjent. – Jeszcze się przekonacie, że nie jestem wariatem, tylko ofiarą splotu niefortunnych zdarzeń, w wyniku których trafiłem w tę jesień średniowiecza. – Posłał miażdżące spojrzenie pani Ewelinie.

– A tak na marginesie, panie Przybyłek – zagadnął go Niemczuk, próbując zmienić temat i załagodzić sytuację. – Co pan może powiedzieć o obecnej epidemii? Jak ona wygląda z perspektywy dalekiej przyszłości?

Pacjent wzruszył ramionami.

– Co tu dużo gadać, czarna ospa to nie czarna śmierć. Nauczycie się myć ręce i po krzyku. Za miesiąc wszystko wróci do normy.

Ordynator pokiwał głową. Nigdy nie wierzył w te bajania o podróżach w czasie, a teraz zyskał żelazny dowód, że jego pacjent nie ma bladego pojęcia o przyszłości.

– Możemy już iść? – zapytał, po czym przywołał wchodzącą właśnie na salę Górniakową. – Pani odprowadzi chorego – polecił jej, ignorując wciąż podśmiewającą się pod nosem Ewelinę.

Wolał nie zostawiać Przybyłka sam na sam z tą kobietą, szczególnie że na wyprowadzenie czekali jeszcze dwaj inni pacjenci. Obaj niedoszli samobójcy również trafili tutaj na obserwację, lecz w odróżnieniu od kolegów mieli wszelkie szanse na opuszczenie kliniki, ponieważ w ich przypadku kuracja przebiegała bez zakłóceń. Sesja elektrowstrząsów, kilka lewatyw i zimnych biczów wodnych oraz umiejętnie dobrane leki wyrwały załamanych młodzików z marazmu depresji i pozwoliły im zapomnieć o nieudanych próbach odebrania sobie życia.

Jacek Owczarek, starszy z nich dwóch, wybrał klasyczny sposób, ale zgubiło go – czy też raczej uratowało – partactwo robotników produkujących deficytowy ostatnimi czasy sznurek do snopowiązałek. Zrobiona własnoręcznie, acz nieudolnie, pętla

obtarła mu więc tylko gardło, podduśła lekko, a następnie pękła, przez co spadł na podłogę, łamiąc sobie prawą nogę. Piotr Grzywacz z kolei, który po zawodzie miłosnym uznał, że nie ma czego szukać wśród żywych, połknął całą zawartość buteleczki ze środkami nasennymi własnej matki. Jego pech polegał na tym, że bardzo szybko go znaleziono, a płukanie żołądka na pogotowiu przekreśliło marzenia o zaśnięciu na resztę wieczności.

Do końca kuracji trochę im jeszcze zostało, ale rokowania były dobre. Szkoda by więc było zniweczyć dotychczasowe starania doktorów Gandery i Zadroźnego, faszerując pacjentów zwiększonymi dawkami psychotropów. Nie, tymi dwoma przypadkami profesor zamierzał zająć się osobiście.

Zanim przymusowa izolacja dobiegnie końca, będą zdrowi jak ryby i gotowi na powrót do społeczeństwa, pomyślał, kierując się w ich stronę.

18

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 10:42

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Muszyński zbudził się kwadrans przed jedenastą. Zdążył przywyknąć do życia, w którym miejsca na sen było mało, a pracy wiele, zatem nie odczuwał, przynajmniej chwilowo, zmęczenia ani też nie był tak senny jak snujący się po korytarzach personel kliniki. Takiemu Ruciakowi, z którym spotkał się na schodach, niewiele brakowało, by wyglądał jak odmieniec. Twarz miał bladą, oczy podkrążone i nabiegłe krwią, a do tego poruszał się niezdarnie, czym nie na żarty wystraszył portiera.

– Jezusie, chcesz pan, żebym zawału dostał? – Szymon chwycił się za serce. – Już myślałem, że jesteś pan jednym z nich.

– Tak właśnie się czuję – wymamrotał sanitariusz i minął go, nie zatrzymując się ani nie zwalniając.

Muszyński odprowadzał go przez chwilę wzrokiem.

– A gdzież to pan idziesz? – zapytał.

– Na oddział półzamknięty – odparł tym samym nieobecny tonem Piotr. – Przespać się.

– Aha...

Dzięki litościwości ordynatora Szymon nie wiedział o przeprowadzce, zdziwił się więc niepomrotnie. Sanitariusze zazwyczaj nie spali z chorymi, ale... *Nie mam co dalej nagabywać tego biedaka. Po odpowiedzi muszę iść do źródła, czyli do ordynatora.* Chcąc nie chcąc, wgramolił się po raz enty aż na ostatnią kondygnację, przeklinając po drodze uszkodzony staw biodrowy, przez który łupało go nawet w plecach, i tę całą zarazę.

– Można? – zapytał, stając w progu gabinetu.

– Co? – Zaspany Niemczuk macał po blacie w poszukiwaniu okularów. – Tak?

– Przepraszam, że budzę szanownego ordynatora, ale chciałem zameldować, że już odpocząłem i mogę brać się do roboty.

– A, świetnie, świetnie... – Profesor nadal był półprzytomny, ale gdy otrząsnął się jak wychodzący z wody pies, w jego oczach pojawiło się więcej zrozumienia. – Możesz pan wracać do stróżówki. I niech pan oszczędza siły, panie Szymonie. Na razie panuje spokój. Pacjenci dostali śniadanie i poranne leki, a obiad wydamy około dwunastej, zatem... Prześpij się pan jeszcze te trzy, cztery godzinki, a potem zobaczymy.

Palce o włos minęły odłożone na bok okulary, ale portier nie podszedł do biurka i nie podał ich staremu lekarzowi, choć jeszcze chwilę wcześniej miał taki zamiar. Zauważył bowiem, że Niemczuk jest tak zmęczony, że oczy zamykają mu się nawet wtedy, gdy mówi. Postanowił dać mu spokój. *Skoro nic się nie dzieje i nie jestem potrzebny, zajmę się tym co konieczne, a do czego nie potrzebuję żadnych zezwoleń,* postanowił w duchu.

Zszedł do piwnicy, otworzył magazynek, w którym ekipa

remontowa z neurologii trzymała narzędzia i materiały. Pogmerał w złożonych tam deskach, wyciągając kilka najszerszych, potem przyjrzał się puszkom z farbami i wybrał białą emalię do lamperii.

– Ta będzie w sam raz – mruknął, po czym zataszczył wszystko do holu.

Drzwi trzeba było zabezpieczyć, a kto się do tego najlepiej nadawał jak nie on? Wprawdzie narobi hałasu, wbijając gwoździe, ale ludziom śpiącym na oddziale półzamkniętym, za trzema parami drzwi i dwoma ścianami, nie powinno to zbytnio przeszkadzać. Na początek sprawdził, czy ktoś nie korzysta z parterowych pomieszczeń od ulicy, ale niepotrzebnie się martwił. Ruciak i Ziomko chrapali jak dwa zetory w dawnej sali Napoleonów, której okna wychodziły na dziedziniec, a pielęgniarki rozłożyły się drzwi obok. Do kompletu brakowało tylko siostry Joanny, lecz Muszyński wiedział, że oddziałowa woli korzystać z kozetki w dyżurce, gdzie pewnie zajęła miejsce świętej pamięci Szewczykowej.

Przybicie pierwszej deski nie zbudziło nikogo, co sprawdził osobiście, kuśtykając ponownie na oddział półzamknięty. Zadovolony zabrał się więc do przybijania reszty dech, a gdy skończył, zajął się malowaniem. Raz-dwa nagryzmolił kilka słów, odłożył pędzel na otwartą puszkę i cofnął się o dwa kroki, by rzucić krytycznym okiem na swoje dzieło.

*NIE WCHODZIĆ
WSZYSCY NIE ŻYJĄ*

To wierutne kłamstwo miało odstraszyć potencjalnych

włamywaczy, którzy na pewno korzystali z tego, że władza ludowa zajęta jest czymś innym. *Niech się udławią wartburgiem profesora*, pomyślał Muszyński. *Niczego więcej nie wyniosą z kliniki ani się do niej nie wdrą jak ta desperatka Lehmann czy jak jej tam było.*

* * *

Straszne tragedie mają to do siebie, że na ogół nikt się ich nie spodziewa. Wychodzisz z domu, nie zastanawiając się nad tym, że może spaść ci na głowę cegła albo że zostaniesz potrącony przez auto. A takie rzeczy się zdarzają, i to znacznie częściej, niż uważa się powszechnie.

Czasem do najgorszego dochodzi przez najzwyklejszy przypadek albo niefortunny zbieg okoliczności, jednakże gdyby szukać winnych tego, co wydarzyło się w klinice psychiatrycznej o godzinie jedenastej minut sześć, należałoby wskazać kilka osób.

Po pierwsze, siostrę Joannę i pomagającą jej w sprzątaniu szkła Martę Kopacz. Ich wina polegała na niedopatrzaniu, jakim było zaniechanie zrewidowania pacjentów spacyfikowanych przez kucharki. Gdyby wspomniane pielęgniarki nie skupiły całej uwagi na próbach ratowania Ewy Borowej, być może miałyby czas na przeszukanie kieszeni piżam obu fregolików i odebrałyby im zdobyte za cenę wielu skaleczeń odłamki stłuczonych szyb. Niestety, nie pomyślały o tym, zakładając mylnie, że kobiety nie mające na co dzień kontaktu z pacjentami wykonają zleczone im zadania z sumiennością wzorowych pracownic służby zdrowia.

Po drugie, część winy spadała także na siostrę Martynę i ordynatora, który przeforsował jej pomysł zgromadzenia wszystkich pacjentów na jednym piętrze, przez co upchano ich tam

jak sardynki, po sześciu albo ośmiu na każdej sali, co niby ułatwiło pracę personelowi, ale też zwiększyło zagrożenie i liczbę potencjalnych ofiar.

Po trzecie, winny był pan Szymon, który tłukąc się niemiłosiernie, zdenerwował i wystraszył kilku kluczowych dla tej tragedii pacjentów umieszczonych, tak się pechowo złożyło, najbliżej wejścia w salach od ulicy.

Po czwarte, znów należałoby wymienić siostrę Joannę, ponieważ to ona stworzyła harmonogram przenosin i tak, a nie inaczej rozmieściła chorych w salach.

Po piąte, można by mieć również pretensje do Marcina Przybyłka, który będąc naocznym świadkiem tych wydarzeń, nie zareagował, jak na przykładowego obywatela przystało, lecz zamiast tego odwrócił wzrok. Jednakże on akurat posiadał wiarygodne usprawiedliwienie. Wbrew wytycznym ordynatora potraktowano go bowiem przy wydawaniu leków jak resztę, a że jego reakcja na środki farmakologiczne była silniejsza niż u przeciętnego pacjenta – czego nadzorująca tę część operacji siostra Wandałowicz nie mogła niestety wiedzieć – to po ich zażyciu popadł w stupor, z którego wyrwano go dopiero po zejściu na dwójce.

Po szóste, o wszystkim zdecydował, jak niemal zawsze, splot okoliczności, czyli przypadek.

Nafaszerowani zbyt małymi dawkami środków uspokajających fregolicy zaczęli się budzić wcześniej niż pozostali pacjenci, a gdy zobaczyli wokół siebie obcych ludzi i zrozumieli, że zostali przeniesieni w miejsce, które wprawdzie wygląda podobnie jak ich sala, ale którego nigdy wcześniej nie widzieli, wpadli w panikę.

W tym samym czasie obaj niedoszli samobójcy przyglądali się z góry pracy portiera. Widzieli, jak pan Szymon zabija wejście dechami, i choć nie mogli mieć pojęcia, co na nich wypisał, sam fakt zabarykadowania kliniki sprawił, że postradali zmysły. Niestety, profesor bardzo się mylił w ocenie stanu ich zdrowia. Wystarczyła jedna iskra, by odbudowywany tygodniami mur wewnętrznego spokoju spłonął do zgliszcz.

Żyjący do tej pory nadzieją rychłego opuszczenia szpitala pacjenci nagle zdali sobie sprawę, że załoga robi wszystko, by uniemożliwić im powrót do domu. Odcięci od informacji nie mieli bladego pojęcia o wybuchu nowej epidemii, a całonocna strzelanina i stanowiąca jej apogeum eksplozja skołatały im nerwy do granic. Nawracająca depresja pogłębiała się więc z każdą minutą, popychając ich w objęcia śmiertelnie niebezpiecznej desperacji.

Tymczasem zbudzeni łomotaniem młotka fregolicy zerwali się z łóżek i ukryli w kącie sali, przy łóżku półprzytomnego Fejdasza, wygrażając obcym zdobytymi za namową Augustyniaka kilkucentymetrowymi odłamkami szyb. Owczarek i Grzywacz nie zastanawiali się długo. Rozbrojenie kolegów trwało tylko chwilę, podcięcie żył i połknięcie szklanych ostrzy jeszcze krócej.

I tak rozpętało się wywieszczone przez portiera pandemonium.

Widząc tryskającą z ran krew, fregolicy zaczęli się drzeć, lecz umilkli, gdy tylko obaj samobójcy padli na wyłożoną linoleum podłogę, wijąc się w konwulsjach. To nie był widok dla ludzi o słabych nerwach, nawet stepionych farmakologicznie, ponieważ desperaci postanowili, że tym razem nie spieprzą roboty, i okaleczyli się w dwójnasób, tnąc żyły i kalecząc wnętrzności. Nie

ma więc co się dziwić, że zeszli z tego łoża padołu błyskawicznie, aczkolwiek ledwie znieruchomieli, znów zaczęli się poruszać.

Wstali ociężale i ruszyli przed siebie chwiejnym krokiem, jak goście weselni opuszczający remizę o piątej nad ranem zaraz po zakończeniu walk na sztachety. (Nawet krew plamiąca ich usta i szpitalne piżamy pasowały do tego obrazowego porównania). Najbliżej nich znajdowali się ostatni dwaj pacjenci z jedyńki, których obudziły przed momentem wrzaski fregolików. To, że zostali wyrwani ze wspomaganego lekami snu, nie oznaczało jednak, że rozumieją, co się obok nich dzieje.

Rozzłoszczony Ochnio, widząc nad sobą pochylającego się Owczarka, warknął gniewnie:

– Wynoś się, chamie, z mojego antyszambra, bo cię służbą poszczuć każe!

Nieumarły miał te groźby za nic, zatem jego cesarska mość postanowił rozprawić się z nim osobiście. Spoliczkowanie chama wydało mu się jedynym godnym sposobem wykazania własnej wyższości, ale to – jak łatwo się domyślić – był poważny błąd. Filip przywalił mocno, wkładając w uderzenie wszystkie siły, lecz to jemu pociemniało w oczach, nie tamtemu. Zwiotczał jak przebita dętka, z której uszło całe powietrze, i zgasł, zanim samobójca zdążył na dobre położyć na nim łapy. Z Sową było podobnie. Choć widział, co się dzieje, leki otumaniały go do tego stopnia, że nie zareagował i skończył moment później z nogą wykręconą ze stawu biodrowego.

Przybyłek, nadal przekładający urojone fotografie do widzianego tylko przez siebie obłoku, rejestrował to wszystko

z chłodnym spokojem kinowego widza. Natomiast Fejdasz, który miał więcej czasu na dojście do siebie niż wspomniani przed chwilą paranoicy, najpierw dołączył do chóru wrzasków, a gdy zobaczył, że zakrwawieni oprawcy ruszają w jego kierunku, wyskoczył z pościeli i roztrącając kolegów z dawnej sali, dopadł drzwi, by zacząć w nie walić obiema pięściami.

Noszczyk i Karolak dołączyli do niego moment później, ale czynionego przez nich hałasu nie mógł usłyszeć nikt znaczący, ponieważ ordynator zamknął się w swoim gabinecie na najwyższej kondygnacji, pan Szymon właśnie otwierał drzwi do piwnicy we wschodnim skrzydle, a siostra Joanna spała jak zabita. Zdesperowani pacjenci próbowali się ratować, z tym że żaden nie nacisnął klamki, co pozwoliłoby im uciec na korytarz. Nie zrobili tego, ponieważ od dłuższego czasu przebywali na oddziale zamkniętym, a tam drzwi otwierano tylko wtedy, gdy pojawiał się ktoś z personelu. Do głowy im więc nie przyszło, że na tej sali może być inaczej.

I tutaj dochodzimy do kolejnego zdarzenia, bez którego losy kliniki mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej.

Trudno powiedzieć, co było przyczyną upadku lustra wiszącego w dyżurce. Jedno wydawało się pewne: niedawny wybuch i towarzyszące mu wstrząsy naruszyły konstrukcję paru ścian, doprowadzając do całej sieci mikropęknięć w ceglach i krusząc łączącą je zaprawę. A hak rozporowy, na którym wisiało lustro, pozwalające pielęgniarkom na poprawienie makijażu przed opuszczeniem miejsca pracy bądź rozpoczęciem obchodu, znajdował się w samym środku strefy największych uszkodzeń

i minuta po minucie poddawał się ciężarowi grubego szkła oraz ramy, w której je osadzono. Dlaczego jednak puścił dokładnie w tej chwili, tylko Bóg raczy wiedzieć, a więc i Jego należałoby dopisać do listy potencjalnych winowajców.

Zdziwiona nagłym wyrwaniem ze snu oddziaływała z niedowierzaniem przyglądała się rozbitemu zwierciadłu, które wylądowało niespełna metr od jej głowy. Jako osoba przesądna przeżegnała się trzykrotnie dla odczynienia zła przynieszonego przez podobne omeny. *Toż to zwiastun siedmiu lat nieszczęść dla tego domu*, pomyślała, zanim dotarło do niej, że znajduje się w szpitalu. *Szpital też dom*, skonstatowała, wstając z kozetki.

Z kilku sal dochodziły zawrozczenia pacjentów, których zbudziły wrzaski zabijanych, o czym pielęgniarka niestety nie wiedziała, opuszczając dyżurkę. Sądziła, że to reakcja na hałas, jakiego narobiło spadające lustro, pośpieszyła więc na oddział, by uspokoić chorych. Ziewając przeciągle, doczłapała do znajdującej się tuż obok sali numer trzy, nacisnęła klamkę i otworzywszy drzwi na oścież, znalazła się oko w oko z siódmką odmieńców.

Nie sposób stwierdzić, czy zrozumiała, z czym ma do czynienia, zanim dopadli ją pospołu. Pewne jest tylko, że nie zdążyła nawet pisnąć. Fregolicy, jego cesarska mość, Sowa, Fejdasz i obaj samobójcy natarli na nią z taką siłą, że straciła równowagę i poleciała na plecy, boleśnie raniąc się w głowę. Nie cierpiała jednak długo, ponieważ kontakt z zarażonym w okamgnieniu pozbawiał człowieka życia. I dobrze, bo walczący o pierwszeństwo ożywieńcy wpadli w morderczy szał, rozszarpując ją na strzępy.

Pech chciał, że obudzony wrzaskami i hałasami Mateusz

Jazdon, poznaniak z urodzenia i zapalony kibic, który trafił do kliniki kilka miesięcy wcześniej po wyjątkowo bolesnym pobiciu przez ferajnę wrogiej drużyny, w tym właśnie momencie postanowił wyjść do ubikacji. Trąc zapuchnięte z zaspania oczy, otworzył drzwi i stanął jak wryty. Cztery metry od niego kilku mężczyzn w przesiąkniętych krwią piżamach klęczało nad masą mięsa, kości i wnętrzności. Widok ten był tak odrażający i przerażający zarazem, że Jazdon zdębiał. Strach odebrał mu zdolność mówienia i ruchu. Tylko myśli kotłowały mu się w głowie, pogłębiając stan paniki, podsycany klasyczną pantafobią, czyli lękiem przed wszystkim bez wyjątku. Krótko mówiąc, gdyby nie opisana w Biblii żona Lota, on byłby pierwszym człowiekiem w historii, który zmienił się w słup soli.

Bezbrzeżny strach, który go opanował, był tak silny, że nic nie mogło go pokonać, nawet drący się w mózgu głos rozsądku. Wszystkie mięśnie w ciele Mateusza zeszywniały, jakby za życia opanował je *rigor mortis*. Nie drgnął nawet, gdy zakrwawione monstra podpełzały do niego; stał jak kołek w płocie, dopóki głos w jego głowie nie umilkł i nie otoczył go wieczny mrok.

Jako że odmieńcy wciąż czuli głód, wpełzli do sali pełnej ofiar – w piątce ułożono także ośmiu pacjentów, z czego siedmiu zakutano w kaftany albo przywiązano pasami do łóżek. Tutaj rzeź przebiegła w niemal całkowitej ciszy, ponieważ odurzeni lekami ciężej choroby pacjenci nie obudzili się nawet podczas mordy. Ich śmierć jednak okazała się wybawieniem dla wciąż nieświadomego zagrożenia Przybyłka, który w tym momencie znajdował się ledwie dwa metry od prześladowców, tyle że po drugiej stronie ściany.

Jedynym odmieńcem, który mógł do niego dotrzeć przez nadal otwarte drzwi, była siostra Krajewska, ale ona potrzebowała jeszcze chwili, by... zebrać się do kupy, jeśli można tak kolokwialnie powiedzieć. Proces regeneracji rozległych ran zajmował bowiem około dziesięciu minut, choć już po połowie tego czasu ciało powinno zespolić się do stanu, który umożliwiał poszukiwanie kolejnych ofiar. Tyle więc mniej więcej życia zostało nieświadomemu zagrożenia Marcinowi, o ile ktoś nie przyjdzie mu z pomocą.

Odmieńcy po wymordowaniu wszystkich śpiących na sali numer pięć zgromadzili się w miejscu, z którego było najbliżej do Marcina, i tam już zostali, przyciągani jak magnesem do żyjącego człowieka. Gdyby byli istotami myślącymi albo chociaż kojarzącymi, wróciliby na korytarz i dopadli go okreśną drogą, ale na tym właśnie polegał ich problem: w ożywionych na powrót ciałach nie mieszkał już duch; mimo iż mięśnie mogły się znów poruszać, mózgi pozostały martwe.

* * *

Muszyński zdążył umyć ręce w pomieszczeniu gospodarczym i dotrzeć na portiernię, gdzie zabawił tylko chwilę, ponieważ był człowiekiem czynu i nie zamierzał siedzieć na tyłku, kiedy ktoś mógł potrzebować jego pomocy.

Gwiżdżąc pod nosem, wspinał się rażno po schodach, ale tylko do pierwszego półpiętra. Tutaj animusz go opuścił, ponieważ ból w biodrze znów dał o sobie znać. Szymon forsował się tego dnia wielokrotnie; gdyby zliczyć wszystkie kursy, wyszłoby, że przez ostatni miesiąc nie pokonał tylu stopni co dzisiaj, nic więc

dziwnego, że niemłody już organizm zaczynał się poddawać.

Nic to, pomyślał, opierając się o ścianę. Muszę zmniejszyć tempo i będzie dobrze.

Tak zrobił, ale niewiele to pomogło. Masując bok uda, pokuśtykał wolno do wschodniego skrzydła dwójki, by zameldować się u pełniącej dyżur oddziałowej. Troszkę dziwiły go zduszone lamentsy dobiegające zza drzwi pozostałych sal. Z tego, co wiedział, odurzeni pacjenci powinni wciąż spać albo gapić się bezmyślnie w ściany, jak to mieli w zwyczaju, a tu proszę, zaledwie kilka godzin po podaniu leku ten i ów znowu drze ryja. *Ciekawe dlaczego nikt ich jeszcze nie uspokoił?* pomyślał, sięgając do klamki zewnętrznych drzwi. *Pewnie siostra Joanna śpi jak kamień.*

To było najprostsze z wytłumaczeń.

Trzeba ją będzie, niebogę, zbudzić, uznał, zbliżając się do wewnętrznych drzwi. Dwie sekundy później jego oczom ukazał się widok, którego nawet Łazarz nie zapomniaby do kresu swoich dni.

Na środku korytarza w wielkiej kałuży szkarłatu stała większa część siostry Krajewskiej. Tak ze trzy czwarte człowieka. Reszta, czyli głównie wnętrzności i wymieszane z nimi płaty ciała, spoczywała pod nogami ożywającej, ale... Portier gapił się z otwartymi ustami na poruszające się oślizgłe węże jelit, które zdawały się wpełzać do paszczy otwartej jamy brzusznej. Nie miał omamów. Ruch był powolny, ale miarowy, jakby w brzuchu nieumarłej ktoś zamontował wciągarkę, taką jak w ciężarówce obsługującej wyrębę albo w transporterze opancerzonym.

– Jezus Maria... – wyszeptał.

Oderwanie wzroku od tego odrażającego spektaklu przyszło mu

z trudem, lecz zrobił to, ponieważ był starym frontowcem, a co więcej, rozumiał implikacje tego, na co patrzył. Drzwi sali numer trzy były otwarte na oścież, a od progu do Krajewskiej ciągnął się szeroki krwisty szlak. Podobny, choć jeszcze szerszy, wiódł do także otwartych drzwi piątki, przy których Szymon zobaczył drugą, mniejszą kałużę krwi.

Wrócił spojrzeniem do rozszarpanej pielęgniarki, ale nadal stał jak wmurowany. Odzyskał władzę w nogach dopiero wtedy, gdy pozbawiona połowy twarzy Krajewska odwróciła głowę w jego stronę.

19

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 11:17

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Profesor przepchnął się między blokującymi drzwiami pielęgniarkami.

– Na Boga! – zawołał na widok Krajewskiej.

Jej regeneracja nadal postępowała. Jeszcze minuta, dwie i zdarta część twarzy wróci na miejsce, teraz jednak zwisała smętnie, podobnie jak połowa wnętrzości, które dyndały pod rozprutym brzuchem mniej więcej na wysokości kolan.

– Bóg nie może mieć z tym nic wspólnego – wyszeptała Wandałowicz.

Niemczuk nie podjął tematu, ponieważ nieumarła właśnie się poruszyła. Zrobiła niepewny krok, po którym jej zwisające flaki zabujały się jak ozdoby na potrąconej przez pijaka choince bożonarodzeniowej. Co ciekawe, nie skierowała się ku stojącym w wejściu ludziom, lecz do najbliższej sali, a to oznaczało, że...

– Tam jest ktoś żywy! – wykrzyknął profesor.

– Jezu!

– Nie jezusuj mi tu, Ziomko, tylko bierz się do roboty! –

Ordynator zganił żegnającego się bojaźliwie sanitariusza.

– Dlaczego ja? – obruszył się tamten, nie mając ochoty zbliżyć się do takiego monstrum.

– Dlatego, że ci każę!

– Ale...

– Ja się tym zajmę. – Muszyński odsunął przerażonego mężczyznę. – Dla mnie to nie pierwszozna.

Niemczuk pokręcił głową.

– Nie, panie Szymonie. To nie jest robota dla jednej osoby.

– Czemu?

Portier zmierzył wzrokiem nieumarłą, która zrobiła właśnie drugi chwiejny krok. Fartuszek z wnętrzości zwisał jej już tylko do połowy ud.

– Ich jest tam więcej. Być może nawet kilkunastu.

– Ożeż...

– Zróbmy tak. – Niemczuk położył mu dłoń na ramieniu. – Pan tam pójdziesz i zrobisz rozpoznanie. Taki zwiad, jak w wojsku. Ruciak panu pomoże – mówiąc to, zmierzył pogardliwym spojrzeniem Damiana. – On odciągnie siostrę Joannę, a pan w tym czasie zajrzysz do jednej i do drugiej sali. Bo tam także mogą być żywi ludzie.

– Zróbmy lepiej odwrotnie – zaproponował Muszyński.

Profesor spojrział na niego uważniej.

– Biodro?

– Tak.

– Dobrze. Piotr, przebiegnij na koniec korytarza i poczekaj tam, aż pan Szymon odciągnie siostrę Joannę od drzwi. Na dany znak

zajrzysz do piątki, a potem trójki i zbadasz sytuację. Sprawdź, czy jest tam jeszcze ktoś żywy.

– Zrozumiałem.

Ruciak pobiegł w głąb korytarza, trzymając się blisko ściany. Krajewska przystanąła na moment, jakby zawahała się, którą ofiarę wybrać, ale zanim podjęła decyzję, drugi cel zniknął jej z „pola widzenia”, zrobiła więc znów krok w stronę najbliższych drzwi. Była już prawie na progu trójki.

Muszyński podszedł do nieumarłej wolnym krokiem, przystanął trzy metry od niej, dużo bliżej niż trzeba, poczekał, aż niezdarnie się odwróci, po czym odholował ją aż pod dyżurkę.

Ruciak w tym czasie dobiegł do drzwi piątki, wsunął głowę do środka i natychmiast odskoczył jak oparzony. Po jego minie widać było, że zobaczył tam coś, co nim do głębi wstrząsnęło. Szymon zakładał, że chodzi o kolejne zmasakrowane, ale wciąż poruszające się zwłoki. *Aż dziw, że ludzie nie wariują na ich widok*, pomyślał. Dopiero w tym momencie to do niego dotarło. Świat oszalał, a oni przyglądali się wszystkiemu ze spokojem stoików. *Ciekawe...*

Piotr zajrzał do trójki znacznie ostrożniej, po czym zerknął w kierunku wyjścia.

– Jest tu jeden ocalony! – zawołał.

– A ilu zarażonych?! – odkrzyknął profesor.

Ruciak zapuścił żurawia jeszcze raz, tym razem na dłużej.

– Nie widzę żadnego!

– Idź tam i wyprowadź tego biedaka!

Niemczuk zastanawiał się, kto i jak zdołał przetrwać to piekło, a gdy moment później zobaczył kwiecistą pizamę, uśmiechnął się

pod nosem. *Mamy szczęście!* ucieszył się w duchu. *Przybyłek, któremu kazałem podać minimalną dawkę leków, opowie nam, co się naprawdę wydarzyło.*

* * *

Kwadrans później, gdy już wyciągnęli z otępiełego wciąż Marcina wszystko, co wiedział, Niemczuk potoczył gniewnym wzrokiem po zebranych. Był zły na siostrę Wandałowicz za to, że zlekceważyła jego zalecenia i nafaszerowała pacjenta zbyt dużą dawką leków. Wściekał się na siebie, że uległ namowom i kazał skomasować chorych. Ale do białej furii doprowadzała go inna kwestia.

– Skąd, u licha, ci dwaj dranie mieli odłamki szkła? – zapytał.

Pielęgniarki i sanitariusze kręcili głowami, zerkając na siebie niepewnie.

– To skrzydło miała sprawdzić siostra Joanna – wybąkała w końcu Martyna.

– Pan coś wiesz, panie Szymonie? – Ordynator odwrócił się do portiera rozmasowującego udo.

– Z tego, co pamiętam, siostra Krajewska kazała posprzątać ósemkę kucharkom. Ja im pomagałem, ale... – Zwiesił głowę, gdy to mówił. – Potem tak bardzo skupiliśmy się na ratowaniu tej durnej dziewczyny, że nikt chyba nie sprawdził, czy panie Ewelina i Magdalena zrobiły wszystko, jak trzeba.

– A niech to... – Niemczuk zacisnął dłonie w pięści. – Piętnastu pacjentów i siostra Joanna... Taki jest efekt waszych zaniedbań! – podniósł głos.

Teraz był wściekły na kobiety, którym nie udało się stanąć na

wysokości zadania, i na siebie samego, ponieważ w swej naiwności wierzył, że sobie poradzą.

– Co zrobimy? – zapytała drżącym głosem Kopacz, która także czuła się winna całej sytuacji.

– Zostawimy ich tam? – dołączył do niej Ziomko. – Wszyscy odmieńcy prócz siostry Joanny siedzą w piątce. Wystarczy zamknąć drzwi...

Muszyński nie pozwolił mu dokończyć.

– To zbyt niebezpieczne.

– Dlaczego? – obruszył się sanitariusz. – Drzwi są mocne, zamki tak samo, a w oknach mamy siatki i kraty.

– Może i tak, ale czy drzwi i kraty powstrzymają taką masę tych drani? – Portier spojrzał mu prosto w oczy.

– Skoro powstrzymują pacjentów...

– Ilu znasz pan ludzi, którzy gołymi rękami potrafią kości z ciała wyrywać? Albo zerwać pasy?

O ile nad tym pierwszym można było się zastanawiać, o tyle drugi przykład zakończył dyskusję. Ruciak zameldował, że w piątce jest piętnastu odmieńców, a przeliczył ich dokładnie, ponieważ wszyscy grzecznie stali. Także ci, których wcześniej przywiązano do łóżek. Nikt nigdy nie słyszał, by pacjent oswobodził się z pasów, a do szpitali psychiatrycznych trafiali naprawdę groźni szaleńcy.

– Zatem sugerujesz pan, panie Szymonie, że lepiej ich wyprowadzić? – upewnił się Niemczuk.

– Zdecydowanie. Mam to już przećwiczone. Pozbądźmy się ich z budynku, inaczej prędzej czy później będą z nimi kłopoty.

– Dobrze, ale tym razem nie będzie pan robił tego w pojedynkę.

Ziomko i Ruciak pójdą z panem.

– Dlaczego? – zdziwił się Muszyński.

– Dlatego, że wszyscy musimy się tego nauczyć. Dlatego, że tym razem jest ich dwa razy więcej. Mam wyliczać dalej?

* * *

– To będzie najtrudniejszy moment – uprzedził obu sanitariuszy Szymon, gdy dotarli do schodów. – Ja i Piotr zejdziemy na półpiętro już teraz, a ty, Damianie, będziesz się trzymał bliżej tych bestii, tylko pamiętaj, nie schodź zbyt szybko, bo stracą trop i się zatrzymają.

Ziomko przełknął ślinę. Był blady jak kreda, ręce mu się trzęsły. Muszyński kazałby mu iść w diabły, gdyby nie świadomość, że nie mają wyjścia. Kiedy miał uczyć tych chłopaków, jak postępować z zarażonymi, jak nie teraz? Do kolejnych zarażeń mogło dojść w każdej chwili, a odzywająca się coraz boleśniej kontuzja prędzej czy później wyłączy go z akcji.

– Dasz radę... – Piotr poklepał kolegę po ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz – przyłączył się do niego Szymon. – Skoro nie dopadli takiego kuternogi jak ja, to co dopiero mówić o zdrowym jak rydz młodziku.

Nie przekonał tym żartem wystraszonego sanitariusza, ale co więcej mógł zrobić? Pozwolił, by Ruciak pomógł mu zejść za załom ściany, zza którego następnie wyjrzeli obaj, by obserwować poczynania Ziomki i udzielać rad.

– Dobra, są już wystarczająco blisko, możesz wycofać się na trzeci stopień od dołu.

Damian zbiegł pośpiesznie we wskazane miejsce. Odmieńcy nie

zatrzymali się, leżeli przed siebie sztywno jak nakręcane lalki. Jeszcze krok i zaczną spadać jak ulęgałki.

– Uwaga... Teraz!

Ziomko zeskoczył na podest jednym susem, a oni natychmiast wciągnęli go za załom ściany. Głuchy łomot był wystarczającym dowodem na to, że nie będzie potrzebna powtórka, na którą byli przygotowani.

Musieli cofnąć się jeszcze bardziej, ponieważ tym razem spadających ciał było więcej. Kolejne półpiętra pokonywali już bez emocji, gdyż połamani zmartwychwstańcy tak jak poprzednio pokonywali schody, pełnząc po sobie nawzajem. Trwało to jednak dość długo – dopiero po kwadransie cała trójka wabiących znalazła się u wylotu piwnicznego korytarza.

– Teraz to już naprawdę łatwizna – wyjaśnił Szymon. – Cofamy się w kierunku bocznego wyjścia, pod czwartą lampą urywamy im się, żeby mieć czas na spokojne otwarcie drzwi... – W tym miejscu zawahał się na wspomnienie kobiety, która go zaatakowała, gdy tylko wyszedł na zewnątrz. – Potem blokujemy je klinem, wracamy i prowadzimy stadko tak daleko od budynku, jak tylko się da.

– To łatwiejsze, niżby się zdawało – przyznał Piotr.

– Poza pierwszymi schodami – zgodził się portier. – Reszta to pestka.

Zaczynają się rozluźniać, sądząc, że najgorsze już za nimi, ale strach przed niezrozumiałym nie pozwala im na całkowite opuszczenie gardy, i dobrze, pomyślał Muszyński. Podczas takich misji nie ma nic gorszego od nadmiernej pewności siebie.

– Teraz – rzucił, przyśpieszając kroku mimo przeszywającego

bólu.

Oderwali się na ponad dziesięć metrów od czoła pełznącoczołgającej się hałastry. Odmieńcy znieruchomieli, tym razem jednak było ich widać doskonale, ponieważ Szymon zaryzykował, podprowadzając ich bliżej drzwi, aby znaleźli się pod jedną z nielicznych lamp. Jeśli, w co szczerze wątpił, kolejny desperat czaił się na zewnątrz, tym razem zobaczy z dala, co go czeka. Ciężała mu śmierć tej nieszczęsnej kobiety. Czuł się współwinny z tego powodu, że nie ostrzegł jej krzykiem. Nieważne, że zatchnęło go po tym, jak został przez nią poturbowany. W takich sytuacjach próżno doszukiwać się logiki. Bardziej liczą się odczucia, a jego sumienie gryzło od samego początku.

– Jeśli ktoś tam jest, niech uważa! – zawołał, przekręcając klucz w zamku. – Jest nas tu trzech!

Lepiej dmuchać na zimne, pomyślał, zanim otworzył drzwi.

Byli tam, jednego odepchnął masywnym skrzydłem, ale czterej pozostali, stojący z boku, opadli go jak szarańcza. Miał akurat tyle czasu, by się zdziwić. To byli ci dranie, których zaprowadził aż do bramy. Jakim więc cudem...?

Nie mógł wiedzieć, że sam był sobie winien. Gdyby nie wypuścił Mruczusia, ten nie kręciłby się po podjeździe i nie ściągnąłby odmieńców aż pod boczne drzwi, którymi zawsze dostawał się do piwnic budynku. Tym razem były zamknięte na głucho i nikt nie kwapił się z ich otwarciem pomimo głośnego miauczenia i drapania pazurkami. Gdy nieumarli podeszli za blisko, wystraszony kot czmychnął za narożnik budynku, uciekając prześladowcom, a ci, zgubiwszy trop, zatrzymali się i zablokowali

wyjscie.

Gdyby doszukiwać się winnych gdzie indziej, trzeba by pewnie wskazać profesora, ponieważ okna jego gabinetu wychodziły na dziedziniec. Wystarczyłby jeden rzut oka, by ordynator zauważył, że pod bramą nie ma już połowy wyprowadzonych zarażonych. O tym jednak sędziwy lekarz nie pomyślał, ponieważ miał na głowie ważniejsze sprawy.

W każdym razie ból w biodrze portiera stał się nagle bardziej natarczywy, a potem zniknął, ale steranemu wojną i życiem mężczyźnie było to już obojętne.

– Szlag! – wrzasnął Ziomko, odskakując do tyłu.

Szymon padł pod naporem wyglądających znajomo nieumarłych. Skonał błyskawicznie i w milczeniu, lecz jego haratane pazurami ciało drgało jeszcze przez chwilę. Potem, gdy z ofiary uszło do reszty życie, napastnicy zaczęli się podnosić.

– Wiejemy! – Damian pociągnął za sobą osłupiałego Ruciaka.

Nie mieli jednak gdzie uciekać. Korytarz blokowało szesnastu nieumarłych, których mieli wyprowadzić z budynku. Wystarczyło zrobić trzy kroki w tamtym kierunku, by i oni ruszyli.

– Czeka! – Spanikowany Piotr doskoczył do najbliższych drzwi.

Niestety, wszystkie pomieszczenia w podziemiach były zamknięte nawet w normalnych okolicznościach, gdy szpitalowi nie groziła zaraza. Dodatkowo wstający z martwych portier zadbał uprzednio o to, by nikt niepowołany nie mógł się dzisiaj dostać do cennych zapasów i przechowywanego sprzętu.

– Co robimy?! – Ziomko się cofnął.

Ożywieńcy w głębi korytarza znów przystanęli, ale ci, których miał za plecami w odległości zaledwie kilku kroków, właśnie ruszyli. Nie trzeba geniusza, by wyliczyć, że sanitariusze nie mieli do swojej dyspozycji dwudziestu metrów wolnej przestrzeni, zatem gdziekolwiek by stanęli, znaleźliby się w zasięgu którejś z grup. A nie mogli stać beczynnienie, musieli coś zrobić – cokolwiek – by ratować życie. Wybór nie był jednak prosty.

Odmieńcy przy drzwiach byli mniej liczni, ale stali o własnych siłach. Tych w głębi korytarza było trzy razy więcej, jednakże większość leżała plackiem na ziemi. To natchnęło Ruciaka pomysłem.

– Stary! – Chwycił za ramiona roztrzęsionego kolegę. – Zaufaj mi. Ja to już raz przećwiczyłem.

Odsunął Damiana na bok, pochylił się jak sprinter na starcie wyścigu i pognął prosto na blokujących drogę zarażonych. Tam, na górze, gdy otoczyli go w rogu korytarza, zdołał się im wymknąć, stąpając po plecach Zosi, uznał więc, że i tym razem mu się uda. Zwłaszcza że miał na nogach nie ciężkie chodaki, tylko tenisówki, w których czuł się o wiele pewniej. Liczył, że przy tak dobrej przyczepności nie potknie się jak tam, kiedy...

Wybił się mocno, celując stopą w plecy Owczarka. Był sprawny fizycznie, zdołał więc wymierzyć niemal idealnie, niestety, drugi skok całkiem mu nie wyszedł. Noga ugięła się pod nim, jakby ktoś nagle wymontował z niej kolano. Z drugą stało się podobnie. Chwiejąc się i rozpaczliwie machając rękami, poleciał na twarz, prosto na ostatnie bestie. Przetoczył się po nich, czując dziwną niemoc, jakby ktoś wyłączył mu zasilanie. Żaden nieumarły go nie

złapał, lecz wystarczył sam kontakt, by nasycili się jego energią życiową, wysysając ją do cna. Zmarł, zanim jego niesione siłą rozpędu ciało znieruchomiało na posadzce dosłownie metr od załomu, za którym zaczynały się schody.

Ziomko przeżegnał się zamasyście, gdy zobaczył, jak jego kolega nieruchomieje na moment, a potem wstaje, ale... *Dlaczego on nie biegnie dalej?* Ruciak stał przez chwilę w miejscu, po czym poruszył się jak automat. Ten wymowny widok wart był wszystkich słów świata. Damian zrozumiał, że jest sam, uwięziony w półmroku między dwoma skupiskami zarażonych. Bez drogi ucieczki, bez szans na przeżycie. Jedyne, co mu pozostało, to wołać o pomoc – wrzeszczał więc do zdarcia gardła, rozpaczliwie oczekując ratunku. Ten jednak nie nadszedł.

Wszystkie pielęgniarki przebywały obecnie w gabinecie Niemczuka, gdzie omawiano kwestię, co zrobić z resztą pacjentów. Kucharki także tam były, one z kolei czekały na opieprz.

Wypatrując odsiecz, która nie miała nadejść, Damian przesuwał się krok za krokiem, próbując oddalić nieuchronną egzekucję choć o kilka sekund.

* * *

Niemczuk zrugął je jak bure suki. I miał ku temu powody. Przez wcale nie takie małe niedopatrzenie zginęło szesnaście osób, w tym jedna z oddziałowych. Chciał, by Ewelina i Magdalena to zrozumiały, pofolgował więc sobie, za nic mając ich łzy i kajanie. Stracił najbardziej zaufaną pracownicę, jedyną chyba osobę, która mogłaby zarządzać kliniką, gdyby jego zabrakło. Nie obchodziło go, że po części sama była sobie winna, ponieważ scedowała

obowiązki na zwykłe kucharki nie pojmujące wagi sytuacji.

– ...Kto normalny nie przeszukałby gmerających przy oknie pacjentów? No kto?!...

Gdy skończył, kazał im wyjść i zająć się przygotowaniami do obiadu. Opuściły więc gabinet, gnąc plecy w głębokich ukłonach i przepraszając po raz setny, jednakże ledwie minęły sekretariat, z ich twarzy zniknęła cała wiernopoddańczość.

– A to dziadyga zapluty – syknęła Ewelina, ocierając łzy wierzchem dłoni. – Wszystkiemu my jesteśmy winne, a oni to nic. Święte krowy w wykrochmalonych fartuchach.

– Właśnie – wtórowała jej Magdalena. – Sam dupę płaszczyl w fotelu, zamiast robić swoje, a teraz na nas się wyżywa.

Schodząc piętro niżej, przetrawiały w milczeniu zaznane poniżenie.

– Oj, jak ja żałuję, że nie wyszłam z innymi – rzuciła w końcu Miela.

– Wiesz, tam, na zewnątrz, też nie jest za dobrze – zauważyła jej koleżanka. – Słyszałaś, co pielęgniarki wieczorem mówiły o strzelaniu do ludzi, gazowaniu... Nie, tu chyba mimo wszystko jest bezpieczniej.

– Może i tak, ale ja już palcem nie kiwnę, jak mi każą znowu przy tych wariatach coś zrobić! – Ewelina nie mogła przeżyć, że została zbluzgana na oczach wszystkich. – Niech mnie wyrzucą z roboty. Co tam wyrzucą, sama odejdę, jak tylko wojsko się pojawi. Tyle mnie będzie widział, dziadyga wredny.

– Ja też – mruknęła Górniakowa, nie precyzując, z którą częścią wyводу się zgadza.

– Od tej pory tylko gary i żarcie! – piekliła się Miela.

– Gary i żarcie – poparła ją Magdalena. – A skoro o tym mowa, jajek trzeba donieść z piwnicy, bo na śmierć o nich zapomniałam. – Przeliczyła na palcach. – Całą wytłoczkę, żeby na jutro też wystarczyło.

– Ja się tym zajmę – zaproponowała Ewelina. – Ty pędź do kuchni, żeby nam pod piecem nie wygasło.

Rozstały się na parterze. Górniakowa skręciła do zachodniego skrzydła i mieszczącej się za oddziałem półzamkniętym kuchni z przyległą stołówką, a jej towarzyszka zeszła schodami poziom niżej, do pomieszczenia gospodarczego, w którym trzymano beczki z ogórkami i kapustą oraz ostatnie worki zakupionych minionego lata ziemniaków. Zapasy mieli odnowić w połowie miesiąca, lecz zaraza przyszła wcześniej – jakby nie dość było, że zabójcza, to jeszcze musiała być złośliwa. Ale to problem tamtych, nie jej.

„Nie bój, nie bój, kuchnia zawsze się wyżywi”, jak zwykła mawiać nieobecna teraz szefowa. Bo to trudno zachomikować trochę wiktuałów na boku? Mimo częstych kontroli nie było tygodnia, żeby Ewelina nie wyniosła do domu woreczka mąki, kostki margaryny, płata słoniny, a nawet, od święta, pojedynczych parówek. Miała na to sposoby, podobnie jak jej koleżanki, a pozyskanie nadwyżki było diabelnie proste. Wystarczyło niedoważać na porcjach, tu parę gram, tam paręnaście, i z czasem robiły się nadprogramowe kilogramy.

Zatrzymała się na ostatnim stopniu, by tu, gdzie jest jeszcze jasno, poszukać właściwego klucza. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła przed sobą jakąś postać i narobiła pisku. Umilkła dopiero

wtedy, gdy zdała sobie sprawę, na kogo patrzy.

– Aleś mnie pan wystraszył, panie Damianie! – Złapała się za serce. – Co pan tu jeszcze robi?

Nie odpowiedział. Wzdrygnęła się, kiedy wyciągnął do niej rękę, jakby chciał ją złapać, przytulić, ale nie zrobiła uniku przed tymi niespodziewanymi karesami ze strony przystojnego pielęgniarza. Za kolejny błąd zapłaciła – na szczęście – tylko ona. Przynajmniej na razie.

* * *

Magdalena dorzuciła do pieca szufelkę węgla, ustawiła na fajerkach dwie spore patelnie, a potem wróciła na stołówkę, by dokończyć przerwane wezwaniem do szefa rozkładanie sztućców i talerzy. Tego dnia musiała przygotować tylko siedem nakryć, ponieważ pacjenci – ci nieliczni, którym zaaplikowano zmniejszone dawki środków uspokajających – mieli zjeść na oddziale.

Siedem talerzy... Pokręciła w zadumie głową. *Minionego wieczoru, na spotkaniu u profesora, było ich dwa razy więcej. Co to za wredna zaraza? Kilkanaście godzin wystarczyło, by zmarło tylu ludzi.* Zmówiła za nich bezgłośnie modlitwę, układając równocześnie aluminiowe noże. Nie czuła się współodpowiedzialna za tę tragedię. Co to, to nie. Stary dureń zrzucił całą odpowiedzialność na nią i na Ewelinę, ale tak naprawdę to on był wszystkim winien. *Kto jest odpowiedzialny za wypadek? Siekiera czy ten, kto jej używa?* Wprawdzie nie czuła się narzędziem, ale to porównanie od razu przypadło jej do gustu. Tak właśnie powie Ewelinie, gdy ta wróci z piwnicy.

Zerknęła na zegarek.

– Gdzież ta zołza znów polazła? – wymamrotała, poprawiając ostatnie nakrycie.

Pewnie znów pali po kryjomu. Stary nie cierpi zapachu dymu i dręczy każdego, kto puści dymka na terenie szpitala, a przecież papierosy są dla ludzi. Jeszcze do tego dojdzie, że zabronią pić... Pokręciła głową.

Postny obiad był już prawie gotowy, o ile szykowany posiłek zasługiwał na tak szumne miano. Tłuczone rozgotowane ziemniaki bez żadnej omasty i łycha kiszonej kapusty. Dla wybranych pacjentów oczywiście, bo personel dostanie po dwa jajka sadzone. Ale tym lepiej, że nie trzeba się naharować. W taki gorąc stać przy piecu? Człowiek nie bałwan, a też by się roztopił.

Znów spojrzała na zegarek. *Przez te połajanki robię się nerwowa, pomyślała. Jeszcze mnie doktory zdiagnozują i zamkną, jak tych wszystkich wariatów.* Wzdrygnęła się na tę perspektywę. *Bóg to chyba nie jest jednak litościwy, uznała. Tak karać ludzi, rozum im odejmować na tyle sposobów...* W ciągu kilku lat pracy w klinice napatrzyła się na różne przypadki. Wariaci z oddziału półzamkniętego, który mieścił się najbliżej kuchni, byli względnie normalni w porównaniu z delikwentami trzymanymi piętro wyżej.

Zerknęła bojaźliwie w stronę sufitu.

Tam siedzą dranie pozamykani w izolatkach. Z kagańcami na gębach jak nie przymierzając, wściekłe psy. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby ich ktoś powypuszczał. Z nimi nawet ci zarażeni nie mieliby wielkich szans. Chociaż... Nie, zmartwychwstańcy są znacznie gorsi. Gdzież ta Ewelina? Pan i władca zaraz zejdzie z pozostałymi, a żarcie jeszcze niegotowe.

Trzeba ją pogonić, zdecydowała, nie mając ochoty na kolejną połajankę. Przeszła przez ewakuowany oddział i wychyliwszy głowę do holu, zawołała:

– Ewelina!

Nic, cisza jak makiem zasiał.

– No, gdzieżeś polazła, mało jedna?! Za pięć minut doktory zejdą!

Nadal żadnej odpowiedzi. *Pewnie poszła na sam koniec korytarza albo w magazynie pali*. Mamrocząc pod nosem coraz bardziej złożone przekleństwa, Górnikowa dotarła do schodów, tam powęszyła, ale nie poczuła charakterystycznej woni dymu tytoniowego. *Czyli w magazynie pali*, wywnioskowała, oblizując spierzchnięte wargi. Sama też by zapaliła, lecz zdając sobie sprawę z braku czasu, zapanowała nad wypełniającą usta śliną.

Schodząc na dół, myślała tylko o tym, jak niewdzięczna jest jej koleżanka. *Zostawić mnie z tym całym bajzlem i ćmić sobie dymka w rozkoszonym chłodzie. Następnym razem...*

Zamyślona minęła narożnik i zderzyła się ze stojącym tam człowiekiem. Nie poczuła bólu, ale chyba przywaliła za mocno, skoro aż jej się zakręciło w głowie. Zimny pot ją oblał, przed oczami zobaczyła mroczki. Byłaby upadła, lecz na szczęście zdążyła się podeprzeć o ścianę. Pan Damian – to był on, rozpoznała go po sylwetce w tym półmroku – już się odwracał, już wyciągał do niej pomocną dłoń.

– Nie trzeba – rzuciła, potrząsając głową, by pozbyć się dziwnej słabości, jednakże on się nie zatrzymał.

Spojrzała z niedowierzaniem na własną pierś, za którą

chwycił – brutalnie, wcale nie lubieżnie. Poczuela, jak jego palce wpijają się w ciało, przebijają skórę, wchodzą coraz głębiej.

– Ejże! – wrzasnęła, a wtedy druga ręka sanitariusza spoczęła na jej twarzy.

Chwycił ją za brodę. Wpakował palce do otwartych wciąż ust. Mdlejąc, poczuła słony smak potu na języku, a potem nagły, nieopisany ból, gdy jednym szarpnięciem wyrwał jej dolną szczękę.

Zginęła ułamek sekundy później, nie zrozumiawszy nawet, co ją spotkało.

* * *

– Reasumując – profesor zerknął w notatki – przenosimy pacjentów z powrotem na oddziały. Po dwóch na salę. Rezygnujemy z podawania zwiększonych dawek środków uspokajających. Nikogo nie przywiązujemy do łóżek, aby uniknąć ryzyka zakrzepicy i odleżyn. Trzydziestu... – sprawdził znów zapiski – ...dwóch trafia za to w kaftany. Czy coś pominąłem?

Wiśniewska-Pokus pokręciła głową.

– To wszystko, co do tej pory ustaliliśmy.

– Świetnie. – Ordynator zamknął notes i odłożył go na biurko. – Czas coś zjeść, a potem bierzemy się do roboty.

Nie odzyskał humoru. W tej sytuacji, po utracie tylu pacjentów i kilkorga podwładnych, trudno było oczekiwać, aby tryskał optymizmem, jednakże przynajmniej starał się ze wszystkich sił stwarzać pozory stabilności i spokoju, choć wewnętrznie wrzał jak wulkan szykujący się do erupcji. Nie mógł okazać słabości, ponieważ moment, w którym jego autorytet osłabnie, będzie definitywnym końcem tego szpitala. Te parę osób personelu

odejdzie czy też ucieknie, a to przesądzi los ponad sześćdziesięciu pacjentów – tylu ich bowiem przebywało jeszcze na salach i w izolatkach.

Przyszłość tych ludzi zależała wyłącznie od niego, uśmiechał się więc, rządził i dzielił, jakby to był najnormalniejszy dzień, a nie sam środek niemożliwej do wyobrażenia apokalipsy. Na razie żywi ludzie zostali zepchnięci do defensywy, mogli jedynie reagować na zadawane im przez zarazę ciosy i robili to, tracąc co rusz znajomych, przyjaciół, członków rodzin. Zawsze tak jest, gdy człowiek mierzy się z siłami natury. Na szczęście intelekt wychodzi zwycięsko z takich prób. Tym razem też tak będzie. Prędzej czy później jakiś geniusz odkryje szczepionkę i to – nadnaturalne, zda się – schorzenie przejdzie do lamusa jak wcześniej dżuma albo cholera. Trzeba tylko dać ludziom czas.

Czas...

Właśnie jego najbardziej brakowało tej klinice, choć ostatnia hekatomba, paradoksalnie, zwiększyła szanse ocalałych na doczekanie wyzwolenia. Trudno jednak cieszyć się z tego, że martwi nie muszą jeść, dzięki czemu więcej zostanie dla żywych.

Pogrążony w myślach Niemczuk otworzył drzwi stołówki, zapraszając do środka cztery pielęgniarki.

Odtąd jedna osoba będzie musiała zajmować się kilkunastoma pacjentami. Marta zostanie tutaj, na dole, mając do pomocy pana Szymona. Alicja Bruziak przejmie zachodnie skrzydło dwójki, a jej imienniczka wschodnie. Im partnerować ma Ruciak. Martyna i ja sam będziemy pracować na górze z najcięższymi przypadkami, wspierając się Damianem. Dwaj pacjenci na salę. Drzwi zamknięte

na klucz i zasuwę. Jeśli dojdzie do kolejnego wypadku, straty będą minimalne. Jeśli zginie jeszcze ktoś z personelu...

Siadając przy zastawionym stole, profesor pokręcił głową.

Nie, do tego nie można dopuścić za żadną cenę.

– Halo! – zawołała Martyna, ponieważ drzwi kuchni pozostały zamknięte.

Gdy nikt nie zareagował, wstała i zajrzała za ścianę przez okienko podawcze. Cofnęła się z dziwną miną.

– Co się dzieje? – zapytał Niemczuk.

– W kuchni nikogo nie ma.

– Jak to: nikogo nie ma?

– Proszę zobaczyć samemu. Rozgrzane do czerwoności patelnie stoją na piecu, a tu ani żywego ducha... – Rozłożyła bezradnie ręce.

– Jeśli te cholery uciekły... – zaczął gniewnie, ale zamilkł w pół zdania. Coś tu było nie tak. – A gdzie pan Szymon i chłopaki? – zapytał, rozglądając się, jakby ktoś go dopiero obudził.

Dziewczyny popatrzyły po sobie, blednąc. Portier i towarzyszący mu sanitariusze powinni już dawno wrócić. Chyba że...

– Nie... – jęknęła Marta. – Zwiali dranie...

Nie taka była pierwsza myśl ordynatora, lecz gdy Kopaczowa wspomniała o tej możliwości, on także poczuł zimny dreszcz. Naciskał tych młodych ludzi zbyt mocno, wykorzystali więc pierwszą nadarżającą się okazję i dali drapaka.

Oby tylko nie skrzywdzili bardziej pana Szymona...

– Biegnij na dół, Alicjo – poprosił Bruziakową – i sprawdź, jak tam wygląda sytuacja.

Martyna w tym czasie zniknęła w kuchni. Przez okienko słyszał, jak trzaska garami, sycząc i klnąc na cały głos. Dlaczego wszystko musiało sypać się za każdym razem, gdy zaczynał mieć nadzieję? Nie był człowiekiem wierzącym ani przesadnym, ale w tym momencie złożył sobie solenną obietnicę. *Nigdy więcej nie uznam, że widzę światło w tunelu.*

– Pomóż mi, Marta! – zawołała z kuchni Wiśniewska-Pokus. – Ten gar jest dla mnie za ciężki!

Kopaczowa zerwała się z krzesła i potruchtała do bocznych drzwi. Minutę później pojawiła się w nich ponownie, by powiedzieć:

– Obawiam się, że będziemy musieli zjeść to samo co pacjenci. Nigdzie nie możemy znaleźć jajek.

Profesor przytaknął machinalnie. Nie myślał teraz o obiedzie, wpatrywał się za to w główne wejście, niecierpliwie wyczekując powrotu Bruziakowej, jednakże ta przepadła jak kamień w wodę.

– Powiedz Martynie, że zaraz wrócę – rzucił do siedzącej jak trusia Wandałowicz. – Idę sprawdzić, jak wygląda sytuacja w piwnicy.

Wymaszerował do holu, tam przystanął, wziął kilka głębokich wdechów i pomasował skronie. *Nie panikuj, Andrzej*, napomniał się w myślach. *Na pewno wszystko jest w porządku. Minął dopiero kwadrans...* Sklął się zaraz w myślach za to, że przed zejściem na parter nie sprawdził przez okno, czy pozostali odmieńcy dołączyli do tych przy tylnej bramie.

Zbiegł po schodach na półpiętro, stamtąd spojrzął w dół.

– Jest tam kto? – zawołał, ale nie usłyszał odpowiedzi, co go

najpierw ucieszyło, a potem jeszcze mocniej zmartwiło.

Zaczął schodzić, bardzo wolno, stopień po stopniu, robiąc częste przystanki. Gdy był mniej więcej w połowie ciągu schodów, zza załomu wynurzyła się siostra Alicja.

– I... – otworzył usta, ale dalsze słowa uwięzły mu w krtani.

Bruziak miała białe oczy, tak samo jak idący za nią Ziomko i obie kucharki.

20

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 12:15

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

– Drogie panie...

– Nie! – Martyna tupnęła nogą, jakby tym gestem mogła dodać mocy odmowie.

– Posłuchajcie!

– Nie!

Niemczuk westchnął ciężko. Znacznie łatwiej by mu było, gdyby nie rozumiał i nie podzielał ich punktu widzenia, lecz po tym, co się wydarzyło w piwnicy, sam zaczął wątpić w sens misji, której się podjął. W jednym momencie stracili wszystko: ludzi, bez których nie da się zadbać o pacjentów, zapasy pozwalające na przeczekanie kwarantanny i nadzieję na wyjście cało z tej opresji.

Chciały odejść, a on zrobił wszystko, by je zatrzymać – nie podołał jednak. Nie miał najmniejszych szans na przekonanie tych dzielnych kobiet do swojej wizji, nie teraz, gdy jedyną alternatywą, jaką mógł im zaproponować, było powolne konanie z głodu. Dlaczego więc tak rozpaczliwie próbował odwieść je od powrotu do domów? Sądząc po dotychczasowej liczbie ofiar, klinika wcale nie

była bezpieczniejsza od ulic miasta. A one miały przecież rodziny, od których nie wolno mu było ich separować. Zwłaszcza w takiej chwili gdy każda godzina rozłąki mogła być tą ostatnią, decydującą.

– Dobrze – szepnął. – Dam wam klucze albo jeszcze lepiej, sam otworzę.

Na schodach jeszcze dwukrotnie próbował zaapelować do ich sumień, choć już bez większego przekonania, jakby pogodził się z narzuconym przez nie rozwiązaniem. Odmówiły, jakżeby inaczej. Szły za nim posępne jak chmury gradowe, ściskając w drżących dłoniach niewielkie torebki. *Torebki...* Ich widok przypomniawszy mu o kobiecie, która zaatakowała pana Szymona. *Na śmierć zapomniałem sprawdzić, kim była. A teraz już na to za późno.*

Drepcząc przez hol, wyjął z kieszeni pęk zarekwirowanych kluczy. Ten zapasowy, ponieważ główny zabrał ze sobą portier. Mijając boleśnie pusty kantorek, w którym wciąż paliło się światło, pokręcił głową ze smutkiem. Szkło zgrzytnęło mu pod podeszwą buta, gdy stał przy drzwiach. Spojrzał na rozbitą szybę. *No tak...* Muszyński wspominał o próbie włamania, mówił, że postara się zaradzić kolejnym. I zaradził. Grube dechy przesłaniały widok od wysokości kolan po oczy.

Zamek zgrzytnął raz, potem drugi, kiedy Niemczuk otwierał go energicznymi ruchami. Odsunął znajdujący się nieco wyżej rygiel. Nacisnął klamkę, pchnął... Nic.

Cofnął się pół kroku, spojrzał zdziwiony na drzwi, potem na stojące za nim pielęgniarki.

– Nie rozumiem – mruknął, gdy Martyna bezceremonialnie odsunęła go na bok i sama zaczęła się mocować z drzwiami.

– Klucz! – warknęła, wyciągając do niego rękę.

Podał jej cały pęk, robiąc miejsce. Nie oszukiwał ich przecież, poddał się, chciał, by wróciły do domów i tam spędziły ostatnie chwile z bliskimi.

Mocowały się z drzwiami we trójkę, szarpiąc je, naciskając kłankę do oporu, lecz masywne skrzydło nawet nie drgnęło.

– Dlaczego te drzwi się nie otwierają? – zapytała Wiśniewska-Pokus gniewnym tonem.

– Nie wiem – odparł ordynator.

Kopaczowa spojrzała pod nogi na zgrzytające przy każdym ruchu szkło.

– Co tu się stało?

– Ktoś próbował się włamać – wyjaśnił zwięźle Niemczuk, pomijając fakt zniknięcia jego auta. – Pan Szymon powiedział mi, że zadba o odstraszenie kolejnych złodziei.

Był przekonany, że tym, którzy chcieli się dostać do kliniki, chodziło o rabunek. Nie byłby to pierwszy raz, gdy ludzie parszywej konduity wykorzystują upadek porządku do osiągnięcia osobistych korzyści.

Marta wodziła palcami po drzwiach. Coś ją zaintrygowało do tego stopnia, że przestała słuchać wyjaśnień.

– Drań zabił te drzwi dechami – odezwała się w końcu, pokazując koleżankom niezbyt równe wypukłości biegnące sześcioma pionowymi rzędami. W parunastu miejscach widać było końcówki gwoździ, które portier pozaginał, by nie dało się ich wyjąć od zewnątrz.

– Ja mu tego nie kazałem robić! – zastrzegł się ordynator.

– Kłamie pan! – wrzasnęła Wandałowicz, szarpiąc za kłamkę. – Wypuść nas, draniu! Nie masz prawa mnie więzić! Słyszałeś, otwieraj!

Martyna chwyciła ją za ramiona, przytuliła.

– Daj spokój, Ala... – Gładziła po włosach łkającą koleżankę.

– Musi być jakiś sposób na otwarcie tych drzwi – wysapała Marta.

– Spójrz na grubość tych gwoździ – powiedziała Wiśniewska-Pokus. – Drań przyłożył się do tej roboty.

– Damy radę. Przecież remontowcy zostawili u nas swoje narzędzia! –Kopaczowa zapaliła się do własnego pomysłu.

– Tak. Są w piwnicy – zgasiła ją Martyna.

Alicja zaczęła głośniej płakać.

– Mamy tu pełno sprzętu medycznego. Na pewno coś się nada... – Kopaczowa nie rezygnowała.

– Skalpelem chcesz te drzwi pociąć?

– A choćby!

– Dziewczyno, prędzej z wycieńczenia i głodu padniesz, nim się przebijesz.

– On kazał mu to zrobić! – Złość pielęgniarki została przekierowana na profesora.

Niemczuk uniósł ręce w obronnym geście.

– Daję ci słowo, dziecko...

– Kłamiesz!

Patrzyły na niego we trójkę raczej z wyrzutem niż z groźbą w oczach, a on... on dziękował w myślach Muszyńskiemu za tę posuniętą zbyt daleko zapobiegliwość. Portier, choć martwy, nadal

sprawował pieczę nad szpitalem.

– Dlaczego miałbym... – Instynktownie wtulił głowę w ramiona, reagując na głośny huk, po którym ziemia znów zadrżała, a z rozbitej przez włamywaczy szyby posypały się okruchy szkła.

Pielęgniarki błyskawicznie doskoczyły do najbliższej ściany i tam się skuliły. Gdzieś coś wybuchło, ale tym razem chyba dalej niż poprzednio. Nie skończyło się wszakże na jednej eksplozji.

21

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 13:17

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

– ...i obywatelki. Mieszkańcy Wrocławia oraz pozostałych miejscowości, do których dociera ta transmisja. Dzisiaj w godzinach porannych oddziały operujące w strefie kwarantanny otrzymały rozkaz tymczasowego wycofania się na pozycje wyjściowe. To planowy manewr, który nie oznacza zakończenia działań zmierzających do całkowitego oczyszczenia miasta z zarażonych. Gdy tylko nadejdzie oczekiwane wsparcie, nasi dzielni żołnierze rozpoczną kolejny etap likwidacji skutków epidemii. Na to jednak potrzebny jest czas, gdyż mamy do czynienia z czymś więcej niż osławiona czarna ospa. Macie moje słowo honoru, że wszystkie jednostki pozostały na posterunkach i już wkrótce podejmą skoordynowane, skuteczne działania, by ocalić was przed zagrożeniem, które stanowią zarażeni...

– Wiesz, co to znaczy? – zapytała Alicja, odwracając się od wysłużonego pioniera, na którym ona i jej koleżanki słuchały komunikatu nadawanego na okrągło w radio.

Martyna przytaknęła.

– Nikt po nas nie przyjdzie. Planowy manewr, akurat. Zabrali dupy w troki i czekają, aż zaraza sama wygaśnie.

– Nie defetyzuj – poprosiła Marta, nie odrywając dłoni od twarzy.

– Nie sieję paniki, tylko prawdę wam mówię. To wszystko wierutne bzdury. Szwagierka w radzie wojewódzkiej pracuje, nie chciałybyście wiedzieć, co czasem opowiada.

O tym, jak działa socjalistyczna propaganda, przekonały się już nie raz i nie dwa. Dość wspomnieć pięćdziesiąty szósty, o którym pamięć wciąż była w ludziach żywa. Władza robotniczo-chłopska odsłoniła wtedy prawdziwe oblicze, a nie było ono wiele przyjaźniejsze i miłsze niż gęby odmieńców okupujących piwnicę. Zamilkły więc, pogrążając się na powrót w rozmyślaniach.

– ...którzy mnie słyszą – kontynuował tymczasem lektor czytający odezwę majora Biedrzyckiego. – Zachowajcie szczególną ostrożność i czujność! Zagraża wam nowa, nie znana dotąd ludzkości zaraza, po stokroć bardziej śmiertelna niż dżuma. Ostrzegam więc tych, którzy jeszcze tego nie wiedzą. Nawet przelotny kontakt z zarażonym grozi nieuchronną infekcją, w wyniku której ofiara zmienia się niemal natychmiast w pozbawione wszelkich cech ludzkich monstrum, zwane przez naukę zombie.

– Jak on ich nazwał? – Marta przesłoniła oczy.

– Cicho! – zganiła ją Martyna.

– ...mówiąc inaczej, nieumarli mordują z zimną krwią każdego, kogo zdołają dopaść, nawet członków najbliższej rodziny, sami natomiast są niezwykle trudni do zabicia. Zapamiętajcie więc...

Jeśli nie chcecie podzielić losu tysięcy nieszczęśników błakających się obecnie po ulicach, musicie bezwzględnie przestrzegać zaleceń przygotowanych przez grono najwybitniejszych specjalistów z Wojskowego Centrum Kryzysowego, którym przewodzi sam doktor Bogumił Arendzikowski. Oto one... Obywatele i obywatelki. Pod żadnym pozorem nie opuszczajcie kamienic i domów, w których znaleźliście schronienie. Wyjście na ulicę oraz próba opuszczenia terenu kwarantanny grożą nieuchronną śmiercią! Za nic w świecie nie zbliżajcie się do zarażonych. Jeśli zdołają was wyczuć, nie odpuszczą, dopóki nie zakosztują waszej krwi. Uciekając, możecie narazić własne rodziny. Podejmując z nimi walkę, wystawiacie się na ryzyko zarażenia. Groźne mutacje sprawiły, że stali się niezwykle odporni na ból i zadawane im rany. Większość nawet po rozczłonkowaniu nadal będzie w stanie was zabić. Wystarczy jedno dotknięcie, aby doszło do infekcji!

– Jakbym tego nie wiedziała – burknęła Alicja.

– ...rykadujcie wejścia do kamienic i domów. Upewnijcie się, że w pobliżu nie ma zarażonych. Jeśli sąsiedzi nie odpowiedzą na wasze wezwania, odstępście od drzwi. Milczenie może oznaczać przemianę, a przemiana to śmiertelne zagrożenie dla was i waszych bliskich. Izolujcie chorych i rannych, ale nie spuszczaście ich z oka. Jeśli to możliwe, unieruchamiajcie takie osoby, na przykład zamykając w osobnych pomieszczeniach albo przywiązuując do łóżek. To z pozoru okrutne, ale naprawdę konieczne zabezpieczenie. W chwili zgonu każdy człowiek, który przebywa w strefie kwarantanny, może się przeistoczyć w nieumarłego. Jeśli stanie się to niezauważenie, zombie pozbawi życia pozostałych

członków waszej grupy, zanim ktokolwiek zdoła zareagować. Dlatego zaklinam was, nie róbcie żadnych wyjątków, nawet gdyby chodziło o waszą ukochaną matkę albo jedyne dziecko... Dla własnego bezpieczeństwa nie twórzcie dużych skupisk. Pozostańcie blisko siebie, lecz zadbajcie o możliwość natychmiastowej izolacji. Jeśli mieszkacie na parterze, a na waszej ulicy roi się od nieumarłych, ewakuujcie się na wyższe piętro albo przenieście się do najdalszych pomieszczeń, na przykład znajdujących się od podwórza. Jeśli udzieliliście komuś pomocy i przyjęliście tę osobę pod swój dach, zamykajcie się na klucz przed pójściem spać, a po przebudzeniu sprawdzajcie zawsze, czy za ścianą jest wciąż żywy człowiek. Otwierajcie drzwi dopiero wtedy, gdy usłyszycie czyjś głos. Zombie nie są w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku, dlatego powtarzam, cisza w pomieszczeniu obok może oznaczać śmiertelne zagrożenie... Po zabezpieczeniu wejść przenieście całą żywność, jaką przechowujecie w piwnicach, na najwyższe piętra albo strychy.

– Rychło w czas nam to mówisz – obruszyła się Wandałowicz.

– ...madźcie tam także wszystkie lekarstwa i środki opatrunkowe. Zadbajcie o to, by mieć pod ręką zapasy węgla oraz drewna na opał. Napełnijcie wszystkie wanny, balie, wiadra i inne duże naczynia bieżącą wodą. Nasze oddziały kontrolują elektrociepłownię i wodociągi miejskie, więc energii i wody nie powinno w najbliższym czasie zabraknąć, jednakże w każdej chwili może dojść do lokalnych awarii, których nie będzie komu usunąć... Uzbrójcie się w przedmioty, którymi w razie konieczności będziecie mogli odepchnąć albo obalić atakujących was

zarażonych. Powtarzam, odepchnąć albo obalić! Podjęcie bezpośredniej walki z zombie zwłaszcza w zamkniętych pomieszczeniach równoznaczne jest ze śmiercią. – Gdy padły te słowa, Wiśniewska-Pokus otworzyła schowek, w którym trzymały szczotki, i wyjęła tę z najgrubszym kijem. Porządną, ryżową, używaną do szorowania łaźni. – W razie najgorszego waszą jedyną szansą jest ucieczka, dlatego radzę, abyście opracowali co najmniej dwa plany ewakuacji z dotychczasowych kryjówek. Jeśli sytuacja zmusi was do wyjścia na otwartą przestrzeń...

– A idź pan w... – Alicja zerwała się i wyłączyła radio jednym szybkim ruchem. – Mamy dwa plany ewakuacji! Jeden to umrzeć z głodu, drugi dać się pożreć tym parchom!

– Uspokój się, dziewczyno! – Martyna odłożyła szczotkę po wykonaniu kilku nieudolnych zamachów. – Damy radę.

– Jak? – Wandałowicz spojrzała na nią wyzywająco. – Powiedz mi: jak?

– Nie wiem jeszcze, ale coś wymyślimy.

– Gównno wymyślisz, wiesz? – wtrąciła Marta, odsłaniając twarz. – Żarcia mamy tyle, ile stoi w garach, i prawie siedemdziesiąt gęb do wyżywienia...

– Mogłybyśmy ich nie karmić... – wtrąciła nieśmiało Alicja.

– Wiele to nie zmieni. – Kopaczowa wzruszyła ramionami. – Tych ziemniaków nie da się wiecznie odsmażać, a kapucha...

– Ale tym sposobem zyskamy kilka dni, może to wystarczy.

– Nie słyszałaś, co wojsko nadaje? – zaśmiała się Wandałowicz.

– Słyszałam, ale... – zaczęła Wiśniewska-Pokus.

– Nie ma żadnego ale! – wkurzyła się Alicja. – Nikt tutaj nie

przyjdzie! Szykujcie kryjówki, gromadźcie żywność i opał. Opał, kobieto! Na cholerę ludziom opał w taką spiekotę?!

– Żeby mieć na czym żarcie gotować...

– Tłumacz to sobie, jak chcesz. – Rozeźlona pielęgniarka zbyła machnięciem ręki logiczne wyjaśnienia koleżanki. – Po mojemu, szykują ludzi na miesiące izolacji. Do zimy, a może i dłużej.

– Dziewczyny! – Marta także podniosła głos. – Dajcie spokój! Pomyślmy wspólnie, może coś wykombinujemy. Te drzwi nie są przecież pancerne.

– Pancerne może i nie, ale niewiele im do tego brakuje. – Z Alicji natychmiast uszło powietrze. – Nie wyłamiemy ich. We czwórkę stołem z portierni w nie uderzaliśmy i co? Gównno. Tylko drew na opał mamy dzięki temu więcej, a przyszłemu portierowi będą musieli wstawić nowy mebel.

– Już ty się przyszłymi portierami nie przejmuj – skontrolowała Martyna.

– Dziewczyny, proszę... – Kopaczowa interweniowała raz jeszcze. – Myślcie, zamiast sobie dogadywać.

– Nie ma o czym myśleć. Wszystkie drogi ewakuacji są zablokowane. Główne wejście zabito dechami na amen, do wyjść w piwnicy nie dotrzemy, bo siedzi tam ponad dwudziestu tych zęb... coś tam.

– Kobieto, przecież to azyl, tu czubków od samego początku trzymali! Ten budynek zaplanowano tak, by nie było stąd ucieczki. Kraty w oknach, kraty na schodach, wzmocnione podwójne drzwi na każdym oddziale.

– Właśnie – poparła ją Alicja. – To niemiecka robota, a szkopy

jak już coś projektowały, to nie po łebkach, jak my teraz.

– Z takim nastawieniem to od razu możecie sobie trumniaki fasować – obruszyła się oddziałowa.

– Ile bym dała za cień szansy na pochowanie w porządnym ciuchach – wymamrotała Marta.

– Nie defetyzuj, mówię – ofuknęła ją Martyna. – Nie możemy się poddać. Póki żyjemy, póty jest nadzieja.

– Wiesz, jak to jest konać z głodu? – zapytała ni stad, ni zowąd Alicja.

– Nie. – Wiśniewska-Pokus natychmiast zmarkotniała. – To znaczy...

– A ja wiem! – Wandałowicz nie dała jej dojść do słowa. – My za wojny czasem przez tydzień albo i dwa nie jedliśmy. Gdy przyszło wyzwolenie, taka byłam! – Pokazała im palec wskazujący. – Jadąc do Wrocławia, obiecałam sobie, że nigdy więcej nie będę już głodować. Nigdy, rozumiesz?

– Rozumiem, Alu, rozumiem... – Martyna posadziła ją ponownie przy stole. – Na razie mamy jedzenie. Na dzień albo i dwa wystarczy. Poczekajmy...

– Na co chcesz czekać? – Koleżanka z oddziału spojrzała jej w oczy. – Może jesteśmy ostatnie żywe w tej okolicy...

– To co? Chcesz wyjść na dach i skoczyć? Odebrać sobie życie jak ci tam, Owczarek i Grzywacz?

– Tak! – Rozradowana Marta zerwała się z krzesła. – Tak!

– Odbiło ci do reszty?

Martyna i Alicja spojrzały na nią z równym niedowierzaniem, choć jeszcze przed momentem reprezentowały dwa odmienne

poglądy na temat przetrwania.

– Nie. Chodźcie! Chyba wiem, jak możemy stąd wyjść.

* * *

– Tobie naprawdę odbiło! – Martyna pobladała jak kreda, gdy spojrzała na bliską krawędź pokrytego blachą dachu.

– Oj tam! – Kopaczowa odstawiła szczotkę, po czym wysunęła rękę na zewnątrz i pomachała nią. – Patrzcie tylko: okno, a w nim nie ma krat. Na zewnątrz błękitne niebo. Mówcie, co chcecie, oto nasza droga na wolność.

– O ile wyewoluujesz dzisiaj w nocy w motyla albo gołębia. – Alicja zaśmiała się nerwowo.

– Dziewczyny – nawet te przytyki nie mogły zepsuć humoru Marcie – to tylko trzy piętra. Spójrzcie, tam jest piorunochron! – Wskazała narożnik dachu. – Po nim zejdziemy na dół i wio do domu.

– To aż trzy piętra – poprawiła ją Wandałowicz.

– Dasz radę.

– A co ja, mała jestem, żeby po ścianach chodzić?

– Wolisz złamać dane sobie słowo? – Kopaczowa ujęła się pod boki. – Albo to, albo wracasz na oddział i czekasz, aż koszmar z wojny powróci.

Alicja się wzdrygnęła, potem zerknęła na wciąż bladą Martynę.

– A ty co?

– Nic.

– Przecież widzę.

Wiśniewska-Pokus przełknęła głośno ślinę.

– Czekaj, ty masz lęk wysokości, tak? – Marta stanęła przed

oddziałową.

– Mam – przyznała tamta z ociąganiem.

– Nie szkodzi... – Kopaczowa machnęła lekceważąco ręką.

– Naprawdę?

– Tak. Posłuchaj. Wystarczy, że nie będziesz patrzeć w dół.

Chwyć się piorunochronu i schodź z zamkniętymi oczami, a wszystko będzie dobrze.

– To nie wystarczy – zaprotestowała Martyna.

– Musi wystarczyć, dziewczyno – odburknęła Kopaczowa, obwiązując dłonie szerokim bandażem.

– A to na co? – zdziwiła się Alicja.

– Dla ochrony rąk. Uwierz mi, wiem, co robię. – Podała im kilka rolek. – Obwiążcie ciasno, ale nie za grubo, o tak... – Pokazała dłoń.

– Ty już to robiłaś – raczej stwierdziła, niż zapytała Wandałowicz.

– Parę razy – odparła spokojnie Marta. – W internacie na Krakowskiej znana nam wszystkim Cesarzowa zamykała nas na cztery spusty, a noc była przecież jeszcze młoda...

– Tam też było tak wysoko? – zainteresowała się Martyna.

– Prawie – skłamała Kopacz, by jej mocniej nie stresować. – Może minimalnie niżej.

Gdyby chciała być szczerą, musiałaby przyznać, że tam schodziła z pierwszego piętra, ale też przy bardzo wysokim parterze. Uśmiechnęła się zachęcająco, gdy zaczęły rozpakowywać bandaże, po czym wyszła na zewnątrz i siedząc na rozgrzanej blasze, oczekiwała, aż koleżanki przygotują się do zejścia.

– Idziemy kolejno – poinstruowała pozostałe kobiety. – Alicja, ty pierwsza. Najpierw zrzucasz na dół szczotkę, potem...

– Dlaczego ja? – przerwała jej wystraszona Wandałowicz.

– Dlatego, że ja będę kontrolować wasze zejście z góry. Położę się na dachu i będę podpowiadać, co robić w razie problemów.

– Jakich problemów? – Alicja zbladła w momencie.

– Jezus, normalnych, bo ja wiem, kiedy masz się zatrzymać na moment, gdzie znaleźć podparcie dla stopy...

– To nie są problemy.

– Wiem, przepraszam. Źle się wyraziłam.

Wolała nie drażnić tego tematu.

– Słuchaj, a my nie potrzebujemy przypadkiem asysty? – odezwała się Martyna.

– Czego?

– No wiesz, takiej liny, jak taternicy mają.

– Mówisz o asekuracji.

– Chyba.

– To jest myśl! – Kopaczowa poklepała ją po ramieniu. – Czekać, zaraz wrócę.

Zniknęła w oknie, ale po minucie znów się przez nie wygramoliła, tym razem z naręczem bielutkiego sznurka do wieszania prania. Odmierzyła piętnastometrowy odcinek, potem drugi i trzeci. Pozostałe kilka metrów odcięła wyjętymi z kieszeni nożyczkami.

– Teraz je splećmy – poleciała.

– Na diabła?

– Pojedynczy sznurek może być za słaby. Potrójny utrzyma

was, żeby nie wiem co.

– Aha.

Zabrały się do splatania i choć nie było to łatwe, w ciągu kwadransa udało im się stworzyć coś na kształt długiego cienkiego warkocza.

– Ty, Martyna, obwiąż się w pasie, a ty, Alicja – pomogła drugiej koleżance zrobić pętlę i przełożyć ją przez ramiona – chwycić ją w ten sposób. – Przyjrzała się wszystkiemu jeszcze raz, po czym uniosła kciuk w geście aprobaty. – Możemy zaczynać.

– Czekać, a staremu nic nie mówimy?

– W dupie go mam, dziada jednego – odburknęła Kopaczowa.

– W sumie racja. Niech się zdziwi, że zniknęliśmy.

– No to zaczynamy.

Marta ustawiła koleżanki – Martyna usiadła na lukarnie, zapierając się nogami o podstawę spiczastego daszka, a Alicja ułożyła się na krawędzi dachu brzuchem do dołu. Kopaczowa w tym czasie zwinęła odpowiednio linkę, by ta nie zaplątała się przypadkowo i nie utrudniła zejścia.

– Gotowe? – zapytała na koniec, a gdy potwierdziły niezbyt ochoczymi chrząknięciami, dodała jeszcze: – Jadziem z tym koksem!

Alicja, modląc się półgłosem, opuściła nogi za krawędź dachu i moment później zniknęła im całkowicie z pola widzenia.

– Jeeezu! – pisnęła.

– Spokojnie. – Marta położyła się na rozgrzanej blasze twarzą do krawędzi i zsunąwszy się ostrożnie, spojrzała w dół. – Dobrze ci idzie. Jesteś bezpieczna. – Pokazała koleżance uniesiony kciuk, ale

ta tego nie widziała, ponieważ zaciskała powieki tak mocno, jak tylko umiała. – Powoli, teraz będziesz miała występ pod stopą, oprzyj na nim palce, tak, dobrze, odciąż na chwilę ręce.

Wandałowicz była już na wysokości drugiego piętra, jeszcze chwila i pokona połowę dystansu, tę trudniejszą.

– Długo jeszcze? – zapytała zdyszana Martyna.

– Minutkę – odparła Kopaczowa, po czym zerknęła przez ramię. – Nie siłuj się tak, kochana. Asekuruj tylko, niech linka będzie napięta, ale nie staraj się utrzymywać ciężaru Alicji, bo ty niepotrzebnie się męczysz, a ją hamujesz.

– Jasne. – Oddziałowa odsapnęła.

Jest połowa wysokości, do ziemi zostało już tylko sześć, może siedem metrów.

– Świetnie ci idzie, Ala! – zawołała Marta, by dodać otuchy spoczonej jak mysz kościelna koleżance.

– Aha... Hej!

– Co się stało?

– Czuję opór liny! – poinformowała ją schodząca.

– Czekał, węzeł był na sznurze. Zaraz go przełożę... – Kopaczowa cofnęła się i na czworakach podeszła do liny asekuracyjnej. Na sznurze było wiele węzełków, a jeden z nich zaczepił właśnie o drabinkę przeciwnięgową. – Żaden problem, już go mam! – krzyknęła, chwytając za linkę obiema rękami, by ją uwolnić.

– Fa... aaaj!

Zamarła, słysząc ten wrzask. Odruchowo zacisnęła palce i to był jej największy błąd. Alicja, której omsknęła się noga, zaczęła

spadać, tak więc pętla zacisnęła się błyskawicznie, najpierw sprawiając Marcie potworny ból, a mgnienie oka później ściągnając ją z dachu. Obserwująca to wszystko z lukarny Martyna zdążyła tylko pisnąć.

* * *

Wandałowicz nie straciła przytomności. Spadła na plecy z wysokości około pięciu metrów, ale to wystarczyło, by złamała sobie rękę, obie nogi i kręgosłup. Jej towarzyszki nie miały tyle szczęścia. Ściągnięta z dachu pomysłodawczyni ryzykownej ucieczki uderzyła w chodnik z takim impetem, że odłamki jej kości poraniły cały bok sparaliżowanej Alicji. A spadająca sekundę później oddziałowa zmiażdżyła głowę Marcie i połamała jej te żebra, które jeszcze się trzymały.

Obie zginęły na miejscu, lecz tego dnia żadna śmierć nie oznaczała niebytu, przynajmniej w formie znanej nauce. Kilka sekund po zderzeniu z ziemią nieumarłe pielęgniarki zaczęły się poruszać. Nie mogły wstać, ponieważ były całkowicie połamane, ale poruszały palcami i tymi częściami kończyn, nad którymi zachowały władzę, próbując dosięgnąć sparaliżowanej, wciąż przytomnej, choć umierającej ze strachu koleżanki.

Dwadzieścia minut trwało, zanim łaknące regeneracji zombie dopięły swego.

EPILOG

poniedziałek, 12 sierpnia 1963, godzina 19:57

Państwowy Szpital Kliniczny Nr 2

Akademii Medycznej we Wrocławiu

Klinika Psychiatrii przy ulicy Kraszewskiego 25

Profesor usiadł naprzeciw Przybyłka.

– Ma pan ochotę na partyjkę? – zapytał.

Marcin oderwał wzrok od książki.

– Szachy?

– Nie inaczej.

– Czemu nie.

Mówił bardzo powoli, ponieważ on także otrzymywał leki, tyle że nie w takich dawkach jak pozostali. Niemczuk dwoił się i troił, wyłaził ze skóry i nie dosypiał, lecz wciąż brakowało mu czasu na uporządkowanie wszystkich pacjentów. A roboty nieustannie przybywało. Wstawał o piątej rano i zaczynał niekończący się obchód, by paść na nos około północy, czasem nawet bez mycia. Kilkanaście godzin pracy, przerywanych krótkimi przerwami, gdy nie wytrzymały plecy albo trzeba było coś przekąsić. Coś, czyli odsmażane ziemniaki i kiszoną kapustę, jedyne, co mu zostało.

Ilekcóż miał chwilę czasu, jego myśli nieodmiennie dryfowały ku trzem zaginionym pielęgniarkom. Tak, uważał je za zaginione,

ponieważ nie znalazł po nich nawet śladu, mimo że zajrzał do każdego pomieszczenia w budynku, oczywiście prócz zamkniętego na cztery spusty skrzydła neurologii i piwnic, aczkolwiek nie wierzył, by były tak głupie bądź zdesperowane, żeby schodzić do korytarza wypełnionego nieumarłymi.

Żadna z nich nie wyglądała na samobójczynię, lecz jakimś cudem udało im się zniknąć. Ta zagadka nie dawała mu spokoju. W jednej chwili były tam, siedziały w dyżurce dwójki, słuchały radia i rozpaczały, a gdy zszedł po nie godzinę później, by poprosić o pomoc przy obchodzie, rozplynęły się bez śladu.

Miał pewność, że nie opuściły kliniki. Wszystkie wyjścia były przecież zablokowane. Sprawdził to ze trzy razy, zanim dał sobie spokój i wrócił do wykonywania obowiązków. Złożył obietnicę panu Szymonowi i zamierzał jej dotrzymać. Będzie pełnił wartę przy pacjentach do samego końca, do ostatniego tchu.

– Białe czy czarne? – zapytał Marcina, ostatniego z ludzi, z którym mógł porozmawiać.

– Białe.

– Zawsze wybiera pan białe – rzucił konwersacyjnym tonem, rozstawiając piony i figury.

– Lubię ten kolor.

Tak wyglądały ich codzienne kontakty. Kilka zdań, przeważnie niezbyt złożonych, ale czego oczekiwać po człowieku, który jest otumaniany farmakologicznie. Niemczuk mógłby przestać go szprycować, jednakże do dobrego przyniosłoby uświadomienie pacjentowi powagi sytuacji? A on chciał pozostać do końca wierny zasadzie *primum non nocere*.

Ta gra była oczywiście tylko pozorem. Otępiony lekami Przybyłek nie potrafił opracować żadnej strategii, a ruchy wykonywał raczej mechanicznie niż z zamysłem. Profesor uważał jednak, że to lepsze niż nic, grali więc dwa, trzy razy dziennie, nigdy nie kończąc partii.

– Kiedy będzie kolacja? – zapytał niespodziewanie Marcin.

Zadał to pytanie wypranym z emocji tonem, jakby chciał wiedzieć która godzina.

– Jest pan głodny?

– Tak.

Niemczuk już otwierał usta, by zbyć go jakimś gładkim kłamstwem, ponieważ nie miał czym zaspokoić głodu człowieka, który przed nim siedział, podobnie jak nie mógł pomóc kilkudziesięciu innym, leżącym teraz w trzydziestu pięciu salach i czterech izolatkach na trzech kondygnacjach. *Trzydziestu czterech*, poprawił się w myślach. W trakcie ostatniego obchodu odkrył kolejny przypadek zarażenia. Unieruchomiony pasami Maciej Laudański musiał dostać zawału, a może był to cierpiący na rozdwojenie jaźni Jakub Rusiec? Trudno powiedzieć, ponieważ obaj byli równie zakrwawieni, gdy zaglądał do nich rano. Był to już trzeci taki przypadek od chwili rozdzielenia pacjentów.

Zaczęło się od kobiet. Anna Prucnal, dziewczyna cierpiąca na schizofrenię, leżąca na jednej sali z podłączoną wciąż do kroplówki Ewą Borową, zadławiła się przy posiłku. Karmił ją, gdyż została przywiązana do łóżka. Zmarła, zanim zdołał rozpiąć drugą klamrę.

To była jego wina. Ręce trzęsły mu się z nerwów, a potem, wstyd powiedzieć, po prostu uciekł. Związał jak ostatni tchórz i drań,

zostawiając Ewę na pastwę nieumarłej współtowarzyszki. Nie miał nic na swoją obronę. Dał ciała i doskonale o tym wiedział. Niewielką ulgę przynosiła mu tylko świadomość, że Ewa zginęła, nawet o tym nie wiedząc.

Przy kolejnym przypadku nie miał sobie nic do zarzucenia. Kamil Witlicki na jego oczach odgryzł sobie język. Gdy Niemczuk przyniósł mu leki, stanął na środku izolatki, zaśmiał się, jak to tylko on tylko umiał, po czym zacisnął zęby i wypluł spory kawałek ozora. Jego akurat nikomu nie będzie żal; gdyby można było poinformować rodziny ofiar, pito by dzisiaj na umór pewnie w niejednym domu.

Pomysł z rozśrodkowaniem chorych był dobry. Drzwi, jak na razie, skutecznie opierały się dwójce nieumarłych, a przy sześciu czy ośmiu odmieńcach różnie mogłoby być.

– Jestem głodny – powtórzył nieobecny tonem Przybyłek, wrywając profesora z zamyślenia.

Mija już druga doba od ostatniego... Niemczuk pokręcił głową. *Nie, nie druga, tylko trzecia.*

Ostatni raz pacjenci jedli kolację w piątek o osiemnastej, nic dziwnego więc, że siedzący przed nim człowiek pomimo swego stanu skarżył się na doskwierający głód. Pozostali nie mieli tego jak okazać, ale z pewnością czuli się podobnie. Niestety, nie miał im niczego do zaoferowania.

Niczego prócz dobrego słowa, którego i tak nie mogli usłyszeć ani zrozumieć.

– Zaraz temu zaradzimy – powiedział, wstając od stołu.

– Naprawdę? – rzucił Marcin. W jego wzroku chyba po raz

pierwszy pojawił się błysk zainteresowania.

– Tak. Proszę poczekać.

Siedzieli w świetlicy oddziału półzamkniętego, tuż obok stołówki, zatem ordynator potrzebował tylko chwili na dotarcie do kuchni, jednakże rozpalenie w piecu i odgrzanie jedzenia zajęło mu prawie godzinę. Nie śpieszył się, ponieważ rozmowa z pacjentem dała mu do myślenia. Więcej nawet, dzięki wymianie tych kilku zdań zrozumiał, co powinien zrobić.

Tym razem rozegrali partię do końca, stosując na poły zasady warcabów i szachów, ale to akurat było najmniej ważne. Potem zjedli wspólnie pachnące smakowicie, polane roztopioną margaryną ziemniaki i – co tu ukrywać – wydzielającą niezbyt przyjemną woń kapustę.

– Smakowało? – zapytał Niemczuk, gdy talerz pacjenta został dokładnie wylizany.

– Tak.

– To świetnie, panie Marcinie. Mogę panu obiecać, że już nigdy nie poczuje pan głodu.

Naczelną zasadą, którą powinien kierować się każdy lekarz, jest: „po pierwsze, nie szkodzić”. Tego dnia profesor Niemczuk musiał się jej sprzeniewierzyć. Musiał złamać przysięgę Hipokratesa, musiał odrzucić wszystko, w co wierzył i czemu przez tyle lat hołdował. Nie dlatego, że zadanie go przerosło, nie dlatego, że był słaby. Marcin Przybyłek uświadomił mu, sam o tym nie wiedząc, że dalsze utrzymywanie przy życiu tych biedaków nie byłoby aktem miłosierdzia. Nie miał im do zaoferowania niczego prócz krótszego bądź dłuższego cierpienia. Zostali skazani na

straszliwą śmierć, jednakże nie przez niego, tylko przez tę pieprzoną zarazę.

On mógł im jedynie skrócić męki.

Wysłuchał uważnie odezwy majora Biedrzyckiego. Tylko raz, jeszcze w sobotę, a potem wyłączył radio, ponieważ na żadnej innej częstotliwości nie nadawano już normalnych audycji. Wszędzie był tylko szum albo odtwarzane z taśmy komunikaty. Ich treści wyłącznie się domyślał, gdyż nie znał za dobrze języków obcych. Niemniej ton, jakim były czytane, wiele mu powiedział.

Po spożytej z Przybyłkiem kolacji zasiadł na chwilę za biurkiem, by skreślić parę słów, którymi chciał się wytłumaczyć, na wypadek gdyby ktoś jednak przetrwał tę zarazę i odkrył kiedyś szpital pełen martwych ludzi. Później zrobił kolejny obchód, już ostatni. Poszło mu to szybko, albowiem ograniczył wizyty do jednej tylko czynności.

Zaczął od trzeciego piętra, a skończył na oddziale półzamkniętym. Tam jako ostatniego ułożył do snu człowieka, dzięki któremu przejrzał na oczy. Gościa z przyszłości, która miała nigdy nie nadejść. Na koniec stanął w przyjemnym chłodzie pogrążonego w półmroku holu.

Czuł się podle. Tak podle, że zwymiotował. Tego, co zrobił, nie dało się odwrócić. Nagle opadły go wątpliwości. Co będzie, jeśli lada godzina wojsko zapuka do drzwi? Jeśli pomoc przybędzie tylko po to, by zastać dziesiątki nieumarłych w szpitalnych piżamach i jego – zarzyganego, zapłakanego, nie umiejącego wytłumaczyć, dlaczego dopuścił się tak potwornej zbrodni.

Nikt nie przyjedzie, nikt nie załomocze w te drzwi. Tam, na

zewnątrz, trwa taka sama walka, a mogą ją przetrwać co najwyżej jednostki. Być może wcale nie najbardziej prawi i najporządniejsi ludzie, jakich można spotkać na tej ziemi. Przerazająca zaraza pochłonie świat, który znał, wraz z tym szpitalem, jego żoną i najbliższymi, a także każdym, kogo kiedykolwiek znał i spotkał, a nawet nie spotkał. Nie można przecież zabić czegoś, co nie żyje. Każdy, kto choć liznął medycyny, to powie.

On też odejdzie, ale jeszcze nie teraz. Musi dotrzeć do chwili, gdy zyska absolutną pewność, że ostatni z powierzonych jego pieczy pacjentów przestał cierpieć.

Błądząc wzrokiem po ciemnym pomieszczeniu, zatrzymał się na wielkich białych drzwiach. Gabinet doktora Gandery. W tym momencie uświadomił sobie, że nie zajrzał tam ani razu podczas przeszukiwania szpitala. Wyeliminował to pomieszczenie, gdyż pielęgniarki nie miały do niego klucza. Niemniej...

Otarł usta rękawem fartucha, potem sięgnął do kieszeni. Miał komplet kluczy. Mógł wejść wszędzie, zatem postanowił, że pora zajrzeć i tutaj. Bartosz opuścił szpital, zanim wszystko się posypało. *Ciekawe dlaczego? Zawsze był taki poukładany, można było na nim polegać, a tu proszę...*

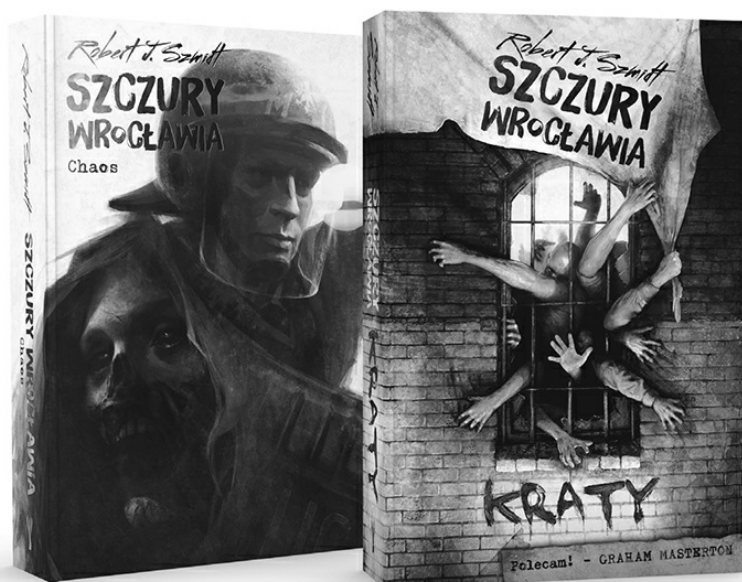
Niemczuk otworzył gabinet, zapalił światło. Z początku nie zauważył niczego dziwnego, wszedł więc głębiej. Cisza, spokój, tylko stanowisko do elektrowstrząsów wyglądało, jakby go ktoś ostatnio używał. Elektrody leżały na podłodze obok zabarwionego czymś czarnym gazika...

Dziwne, pomyślał profesor, lecz zanim zdążył zrobić następny krok, poczuł, że coś zaciska się na jego prawym ramieniu. Ból nie

trwał długo. Nim poczerniało mu przed oczami, zrozumiał, co mogło być powodem rejterady jego protegowanego. Znalazł też brakującego od początku pacjenta.

I tak słowo skreślone ręką portiera stało się ciałem.

Jeśli zacząłeś swoją przygodę
ze SZCZURAMI WROCLAWIA od SZPITALA,
koniecznie sięgnij po poprzednie tomy serii:



Robert J. Schmidt
SZCZURY WROCLAWIA
Chaos **KRATY**

Pełnokrwista apokalipsa zombie. Trzymające w napięciu,
pękające w szwach od dynamicznej akcji powieści
napisane z iście kinowym rozmachem.
Poleca GRAHAM MASTERTON!

Robert J. Schmidt
SZCZURY WROCLAWIA
Chaos
FRAGMENT

56

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 07:00
estakada kolejowa w okolicach ul. Powstańców Śląskich

Blondyn okazał się lekko rudawy i wcale nie tak wysoki, jak się wydawało. Miał owalną, słowiańską twarz i lekki zarost, z daleka nie rzucający się w oczy. Dołączył do Karola i dziewczyny dopiero po dłuższej chwili. Nie zaryzykował wejścia w krwawą miazgę po tym, co stało się z jego poprzednikami. Pozostając za barierką, dotarł do miejsca, z którego mógł swobodnie przeskoczyć na wyładowaną drewnem platformę. Z niej przedostał się na drugą stronę pociągu i ruszył śladem oddalającego się Schrödera i idącej za nim jak cień dziewczyny.

Dogonił ich, dopiero gdy się zatrzymali na wysokości ulicy Powstańców Śląskich. Karol przystanął tam, by przyjrzeć się widocznym w dole ulicom. Wszędzie szwendało się coraz więcej apatycznych postaci. Niektóre stały tylko, chwiejąc się jak człowiek na rauszu, inne łążyły bez celu, wpadając na siebie wzajemnie bądź na przeszkody, całkiem jakby im ktoś odjął nie tylko rozum, ale

i wzrok. Wyglądało to nie tyle groźnie, ile dziwacznie. Do czasu jednak.

Dziewczyna pisnęła nagle, wskazując ręką na wylot arkad po lewej. Stojące tam postacie odwracały się jedna po drugiej i znikwały w mroku. Po chwili Schröder zrozumiał, co je tam przyciągnęło. Spod arkad wybiegła grupka ludzi. Było ich pięcioro, a w zasadzie sześcioro, ale to Karol zauważył dopiero później. Kobieta w średnim wieku oraz czterech mężczyzn – dwóch młodszych i dwóch starszych – uzbrojonych w zwykłe deski. Używali ich do odpychania i powalania oszołomów, którzy lgnęli do nich jak nie przymierzając, muchy do gówna.

Grupka uciekinierów minęła szeroki chodnik. Na środku skrzyżowania wszyscy zwolnili, potem zatrzymali się zupełnie, choć tylko na moment. Od najbliższych szwędaczy dzieliło ich z dziesięć metrów, mogli więc sobie pozwolić na chwilę oddechu.

Rozejrzeli się czujnie wokół, zanim wyglądający na ich przywódcę przysadzisty brodacz ruszył zdecydowanym krokiem w stronę dworca. Sądził zapewne, że wybiera najbezpieczniejszą drogę, i może tak było naprawdę. Niestety pokraka, która uczepiła się Karola, akurat wtedy musiała rozewrzeć paszczę.

– Nie idźcie tam! – wrzasnęła, zaskakując wszystkich.

Schröder zdębiał, tamci w dole także. Odwrócili się, spojrzeli na wiadukt. Trwało to tylko kilka sekund, lecz wystarczyło, by utracili zyskaną przewagę. Chwiejący się na nogach oszołomieni dziwacy nie marnowali za to czasu. Złazili się zewsząd, prosto na kobietę i jej obrońców. Widząc to, uciekinierzy ruszyli z kopyta w przeciwnym kierunku, ponownie popełniając błąd. W obliczu tak

licznego przeciwnika nie pomogło im nawet nieustanne wywijanie dechami. Jeden z młodzików szybko został z tyłu. Powalony przez jego partnera grubas w poplamionym podkoszulku chwycił go za kostkę i już nie puścił.

Chłopak zniknął pod chmarą szwędaczy. Na ten widok pozostali uciekinierzy pogubili się do reszty. Drugi młodzik rzucił deskę i zaczął wiać ile sił w nogach. Pędził do wiaduktu, omijając wolniejszych od niego przeciwników jak narciarz bramki podczas slalomu. Dwa razy omal go nie złapali, ale jakoś im się wysmyknął. Na tym jednak jego szczęście się skończyło. Uskakując przed dwoma podrostkami, wpadł na kobietę w podomce, a ta... dosłownie urwała mu głowę.

Pozostała trójka trzymała się wciąż razem, ale zaprzestała ucieczki. Brodacz wywijał dechą jak szalony. Jego towarzysz opędzał się jak mógł od otaczających go szwędaczy, wolną ręką osłaniając kobietę wciśniętą między plecy jego i tamtego. Taktyka ta sprawdzała się, dopóki wokół nie zaroilo się od gęstwy przeciwników. Zanim walczący zniknęli pod zwałami napastników, Karol zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

Kobieta uniosła rękę nad głowę. Trzymała w niej podłużne zawiniątko. Becik podobny do tego, w którym na szczęście usnął znów zmęczony Kajus. Gdy umilkły w końcu wrzaski mężczyzn i przeraźliwy pisk matki, stojący na wiadukcie usłyszeli ciche kwilenie, które po chwili także urwało się jak nożem uciął.

Schröder spojrział na klęczącą obok niego dziewczynę.

– Zadowolona jesteś?! – warknął.

Pokręciła głową, wybuchając jeszcze głośniejszym płaczem.

Splunął z obrzydzeniem w jej kierunku i już miał się odwrócić, by odejść, gdy kątem oka zauważył biegnącego ku nim człowieka. Rozpoznał go natychmiast. To był ten sam facet, którego widział wcześniej za barierką. Jedyne ocalały z katastrofy na torach i późniejszej niezrozumiałej masakry.

– Oni... – sapał zdyszany, ledwie dobywając głosu. – Oni... – zatrzymał się kilka kroków od nich zgięty w pół, z dłońmi opartymi o kolana.

– Co: oni?! – krzyknął poirytowany Schröder.

– Oni zmartwychwstają – dokończył wreszcie blondyn, podnosząc głowę.

Robert J. Schmidt
SZCZURY WROCŁAWIA
KRATY
FRAGMENT

1

sobota, 10 sierpnia 1963, godzina 04:04

Zakład Karny Nr 1 przy ulicy Klęczkowskiej 35

(...)

– Co tam się dzieje? – wymamrotał doktor Wegner, zanim kapitan przesunął go za siebie.

Ledwie skrzydła bramy odsunęły się od siebie, w luce pojawiły się dłonie, jedna, druga, piąta. Ci z zewnątrz napierali na wrota z taką siłą, że na nic się zdał opór Rawińskiego i jego dwóch podwładnych.

– Strzały ostrzegawcze! – ryknął Okrutny, widząc, że sytuacja wymyka się spod kontroli.

Nierówna salwa zagłuszyła wszystkie inne dźwięki, ale nie zdołała skłonić więźniów do zaprzestania szturm. Brama, choć trzymana przez trzech funkcjonariuszy, przesunęła się błyskawicznie o cały metr, co wystarczyło, by wpadło za nią dwóch naraz mężczyzn ubranych w cywilne łachy. To naprawdę musieli

być tymczasowi, tylko im bowiem nie wydawano więziennych sortów.

– Na ziemię! – wydarł się Okrutny, pozostali podchwycili ten okrzyk. – Gleba, powiedziałem!

Znów padły strzały, po których więźniowie znajdujący się na dziedzińcu przystanęli, lecz nie padli, jak im kazano. Nie był to jednak przejaw agresji. Zawładnął nimi strach – strach tak potężny, że nie wiedzieli, co robić. Kapitan nie od razu to zauważył, ponieważ sam był bliski paniki.

– Brać ich! – warknął, dopadając najbliższego, by posłać go hakiem w nerkę na bruk. – Skuć drani! Migiem!

Strażnicy rzucili się na zdezorientowanych mężczyzn, przyszpilając ich kolejno. Rawiński niewiele się pomylił: zanim brama została na powrót zamknięta, na dziedzińcu dostało się nie więcej niż tuzin osadzonych.

Dziesięciu już leżało skutych, dwaj ostatni, najspokojniejsi, szli chwiejnym krokiem w kierunku szamoczących się więźniów i trzymających ich funkcjonariuszy.

– Zombie! – wrzasnął niespodziewanie przyglądający się tej scenie Wegner.

– Co?! Gdzie?!

– Ci dwaj są zarażeni! – Lekarz wskazał na tych osadzonych, którzy jeszcze stali.

Rawiński podbiegał właśnie do jednego z nich. Wybił się już, spadł na plecy idącego, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Był o wiele cięższy od więźnia, runęli więc obaj na bruk jak ścinane drzewa.

– Nie! – Wegner zamachał rękami, zrobił niepewny krok do przodu, jakby chciał odciągnąć sierżanta, ale w ostatniej chwili zrezygnował. – Nie podchodźcie do nich! Nie zbliżajcie się, bo... bo... bo was pozarządzają!

Wrzeszczał tak przeraźliwie, że nawet ci, którzy go nie zrozumieli, cofnęli się mimowolnie.

Tymczasem Rawiński, zamiast zerwać się z ziemi i skuć obezwładnionego, leżał na nim, jakby nagle zasłabł. Był jednak tak ciężki, że przygnięciony przez niego zombie nie mógł się oswobodzić. Drugi zarażony wykorzystał moment konsternacji i parł teraz prosto na obserwujących tę scenę ludzi. Najbliższy funkcjonariusz znajdował się zaledwie trzy kroki od niego.

– Rozwalić drania! – krzyknął Okrutny, unosząc makarowa.

Nie wiedział, ilu mundurowych go posłuchało, ale sądząc po efektach, strzelał każdy, kto trzymał w ręku broń. Zbliżający się mężczyzna podskakiwał śmiesznie po każdym trafieniu. W jego prążkowanej, niegdyś białej koszuli, a nawet w spodniach pojawiało się coraz więcej dziur, ale to go nie powstrzymywało, szedł dalej, jakby mundurowi rzucali w niego pestkami, zamiast używać ostrej amunicji. Wojciech wymierzył dokładniej. Z pięciu metrów nie mógł chybić i nie chybił. Kula kalibru 9,25 mm, o jednej z największych prędkości wylotowych w historii broni krótkiej, przebiła się przez czaszkę potwora jak przez papier, posyłając na bruk za nim kawałki skóry, kości, a także gęste bryzgi mózgowia zmieszane ze strugami krwi. Rana wylotowa miała rozmiary pięści, co wszyscy zobaczyli, ponieważ impet tego trafienia był tak silny, że zombie wykonał pełny piruet, zanim... no

właśnie, nie upadł, choć powinien.

Widząc to, większość strażników podała tyły. Ludzie, którzy przeżyli koszmar kilkuletniej wojny i okupacji, wiali, jakby im ktoś odbezpieczone granaty w dupy chciał wsadzić. Więźniowie także skorzystali z zamieszania i pognali za mundurowymi w stronę głównego budynku. Ze skutymi za plecami rękami mieli jednak problem z utrzymaniem równowagi. Padali, przetaczali się i wstawali, nie bacząc na ból, byle jak najszybciej znaleźć schronienie i jak najbardziej oddalić się od istoty, której nie sposób powstrzymać ani zabić.

Parę sekund wystarczyło, by na dziedzińcu zostali tylko Okrutny, Sękała, Wegner i dwaj strażnicy pilnujący bramy, którzy padli na ziemię, gdy zaczęła się strzelanina, ponieważ znaleźli się na linii ognia.

– Tomasz! – Sękała oprzytomniał pierwszy, ominął łukiem chwiejącego się, podziurawionego jak rzeszoto zombie, i szedł dalej, by ściągnąć przyjaciela z drugiego potwora.

– Nie! – wrzasnął Wegner. – Nie dotykaj go, dumny gorolu!

Sierżant nie posłuchał. Doktor zawahał się, po czym skinął głową, jakby uznał, że robi co trzeba i rzucił się w kierunku nie lubianego krajana. Dogonił go w sekundę i popchnął z całych sił. Zaskoczony Sękała wyłożył się jak długi, wypuszczając broń z ręki. Tetetka poleciała aż pod bramę, między leżących tam wciąż zdezorientowanych strażników.

– Nie wolno ich dotykać! – Wegner opadł na plecy starszego sierżanta, wrzeszcząc mu do ucha. Sękała nie słuchał, ryknął jak raniony zwierzę, szarpnął się i pomimo mikrych rozmiarów strząsnął

lekarza z pleców, jakby ten był nie dorosłym mężczyzną, ale dzieckiem. Oszołomiony lekko Robert wylądował na bruku, nie stracił jednak rezonu. – W kolana mu strzelajcie, w kolana! – wychrypiał, pokazując zarzonego, który właśnie ruszał w kierunku wstającego podoficera.

Jeden z leżących przy bramie funkcjonariuszy sięgnął po broń Sękali. Podparł się lewą ręką, wymierzył i pociągnął za spust. W kompletnej ciszy rozbrzmiało metaliczne stuknięcie. Magazynek był pusty.

– Szlag by to – jęknął strażnik, odrzucając tetetkę.

Powędrował dłonią do pasa, ale nie zdążył odpiąć kabury, zanim żywy trup dosięgnął jego przełożonego. Mógł więc tylko patrzeć, jak pozbawiony połowy głowy człowiek pochyła się nad oszołomionym starszym sierżantem, pada na niego i zaczyna drzeć pazurami mundur, by dostać się do ciała pod spodem.

Sękala poddał się bez walki. Zwiotczał natychmiast, jak balon, z którego ktoś wypuścił powietrze.

– Zróbcie coś, do cholery! – wrzeszczał Wegner, odczołgując się byle dalej od nieumarłego i jego ofiary.

W tym momencie uwagę zdębiałego Okrutnego przykuł sierżant Rawiński. Poruszył się, drgnął raz i drugi, jakby zaczął odzyskiwać przytomność. Całe szczęście...

– Tomek?

– On też jest już zombie! – Wegner złapał kapitana za nogę. – Patrzcie!

Oczy gramolącego się z ziemi Rawińskiego były białe, jakby wywrócone źrenicami w głąb czaszki. Skórę na twarzy miał

dziwnie szarą. Poruszał się niezbornie, jak ci dwaj przed chwilą.

– Ja pier... – Wojciech przeżegnał się, co zważywszy na jego przekonania, było chyba nawet dziwniejsze od faktu, że istnieją ludzie, których nie można zabić.

– Uciekajcie! – Wegner machnął wolną ręką na funkcjonariuszy czających się wciąż pod bramą. – Tam, bokiem, omińcie ich! Wycofajmy się... – Spojrzał w górę na Okrutnego. – Musimy zamknąć wewnętrzne bramy, odciąć ich, zanim dopadną kogoś jeszcze!

– Nie! – Kapitan otrząsnął się, jakby ktoś oblał go kubłem zimnej wody. – Zaraz wrócą nasi. Nie możemy ich zostawić na pastwę tych, tych...

– Zombie – podpowiedział ponownie lekarz.

– ...chujów – dokończył roztrzęsiony oficer.

– Jak zamierzacie chujów powstrzymać, skoro nie można ich tknąć? – zapytał zgryźliwym tonem lekarz.

Tymczasem strażnicy wycofali się spod bramy, jak im poradzono, szerokim łukiem omijając nieumarłych i wracające do życia ofiary.

– Skrzynie – bąknął kapitan.

– Co: skrzynie?

Okrutny uśmiechnął się triumfalnie.

– Dworczyk! – Wskazał palcem strażnika po prawej. – Leć pod magazyn, zwołaj ludzi, przynieście tutaj cztery skrzynie na zwłoki. I coś ciężkiego, najlepiej jakiś złom z warsztatów, felgi, cokolwiek. Nie gap się na mnie jak szpak w pizdę, tylko ruchy na sprzęcie! Kamil, czekaj! – zawołał, gdy młody szeregowiec ruszył

w kierunku bramy prowadzącej na teren dawnych bloków dla kobiet. – Dawaj tetetkę.

Chwycił w locie rzuconą mu broń, przeładował.

– W kolana, tak? – zapytał zaskoczonego Wegnera. – To coś da?

– Powinno go spowolnić – odparł lekarz.

– Brzostek, ty zostań! – Kapitan powstrzymał drugiego strażnika gestem uniesionej ręki. – Jeszcze jeden krok, a ciebie też rozwalę! – ostrzegł, widząc, że przerażony funkcjonariusz nadal przesuwa się w stronę wejścia na blok A. – Zbierz porzuconą broń, będziemy potrzebowali maksymalnej siły ognia.

Okrutny wymierzył makarowa w podchodzącego do niego wolno Rawińskiego.

– Wybacz, Tomek – szepnął, naciskając spust.

Pierwsza kula weszła idealnie w prawą rzepekę. Odmieniony sierżant stracił równowagę, poleciał na twarz. Walnął o bruk z taką siłą, że wszyscy usłyszeli trzask pękających kości. Mimo to nie jęknął nawet, co więcej, natychmiast zaczął się gramolić z powrotem na nogi, jakby powodem upadku było najnormalniejsze w świecie potknięcie.

– Barki, przestrelcie mu barki! – wrzasnął Wegner.

Okrutny zrobił krok do przodu, przymierzył, wypalił, potem schował opróżnionego makarowa do kabury i przełożył do prawej dłoni tetetkę Dworczyka. Strzelił po raz trzeci, mierząc w prawy staw barkowy leżącego nieumarłego. Rawiński znieruchomiał, to znaczy przestał się podpierać, choć nadal próbował się odpychać jedyną sprawną nogą, ale przy jego wadze to nie mogło wystarczyć.

– Dawaj swoją broń, Janek! – Kapitan wyciągnął dłoń w stronę Brzostka.

Uspokojony zimną krwią przełożonego funkcjonariusz wykonał polecenie, po czym wrócił do zbierania broni porzuconej przez kolegów.

– Daj jedną kłamkę doktorkowi – dodał Okrutny, ruszając w stronę nieumarłego z przestreloną głową, który właśnie zląził z zabitego starszego sierżanta. Jemu najpierw zgruchotał oba barki, które jakimś cudem nie zostały uszkodzone podczas pierwotnej kanonady, a następnie wpakował trzeci, ostatni pocisk w lewy staw kolanowy.

– Po co mi broń? – obruszył się Wegner.

– Na wszelki wypadek – warknął kapitan, stając dwa kroki od znieruchomiałego Sękali.

– Jestem lekarzem, nie rzeźnikiem – rzucił oburzony medyk, ale nie odepchnął dłoni Brzostka, gdy ten podał mu jedną z porzuconych tetetek.

– Lekarze to najwięksi rzeźnicy – zaśmiał się kapitan, sprawdzając, czy ma jeszcze naboje w pistolecie. – Janek! – Odwrócił się do strażnika. – Powyciągaj magazynki i załaduj wszystkie naboje do jednego. Tylko szybko! Sękala nadal leżał tam, gdzie upadł, za to zombie, którego obalił Rawiński, zdążył już się podnieść. Okrutny przesunął się więc w bok, ściągając na siebie jego uwagę, by Wegner miał czyste pole do strzału. Lekarz jednak nie pociągnął za spust. Ręce tak mu drżały, że gdyby nawet zmusił palec do tego niewielkiego ruchu, i tak by chybił.

Magazynek z ośmioma nabojami trafił do pistoletu Okrutnego,

zanim Sękala zdążył stanąć na nogi. Sześć kolejnych wystrzałów rozbrzmiało głośnym echem, bam, bam, bam, bam, bam, bam! Gdy w bramie pojawili się ludzie niosący ściągnięte z ciężarówki skrzynie na zwłoki i złom z warsztatów, wszyscy nieumarli byli już unieszkodliwieni. Leżeli w kałużach krwi kilka metrów od bramy, wijąc się jak robaki wykopane z błota po solidnej ulewie.

Funkcjonariusze, którzy nie brali udziału w akcji, zatrzymali się bojaźliwie za siedzącym wciąż na ziemi lekarzem.

– Zdejmijcie wieka, odwróćcie skrzynie do góry dnem i nakryjcie ich! – rozkazał Okrutny, cofając się o krok. – Wykonać!

– Ale oni jeszcze dychają – zaprotestował starszy szeregowy Hubert Kruk, warszawiak, jeden z ludzi Rawińskiego, zdaje się, że jego sąsiad z Pragi.

– Tak ci się tylko wydaje – zgasił go kapitan.

– Oni są zarażeni – mruknął Wegner, odkładając tetetkę na bruk.

– Jak to: zarażeni? – zachnął się drugi z przybyłych. – Przecież to nasz sierżant i...

– Myślisz, synku, że ewakuowaliśmy was za ten mur bez powodu? – Okrutny posłał mu ostre spojrzenie. – Nie wiem, z czym mamy do czynienia, ale jedno jest pewne: każdy, kto się zarazi, w mgnieniu oka zostaje bezrozumną, krwiożerczą bestią. Ot tak – pstryknął palcami. – Lepiej więc uważajcie, żeby żadnego z nich nie dotknąć.

– Jak mamy ich ponakrywać, skoro tak giczoły porozstawiali? – zapytał Kruk, wskazując tego z przestreloną głową.

– Wiekiem je sobie przesuwajcie – poradził mu Wegner, który

zdążył już wstać.

– Słyszeliście, co doktor powiedział?

Skinęli głowami, po czym ruszyli przed siebie bardzo niepewnym krokiem. Podeszli do nieumarłych wolno, ostrożnie, wstrzymując oddechy, jakby się bali, że zaraza dopadnie ich przez płuca. Pracowali parami, dzięki czemu sprawnie wykonali rozkaz. Proste, zbite z sosnowych desek skrzynie, w których chowano skazańców, nakryli starymi felgami i całą resztą złomu, jaki funkcjonariusze zdołali przytaszczyć z pobliskich warsztatów.

– To wystarczy? – Okrutny spojrział na otrzepującego fartuch lekarza.

– Skąd mam wiedzieć? – odburknął Wegner.

– Z nas wszystkich to pan kończył medycynę.

– Nie uczyli nas tam o nieumarłych. Ale... – Wegner się zamyślił. – Lepiej będzie się ich pozbyć.

– Jak?

– Wystawmy ich za bramę.

– Ja nie tknę tej skrzyni. Za nic! – zaprotestował Brzostek.

– Ani ja – zawtórował mu Dworczyk.

Reszta mundurowych poparła ich znaczącymi pomrukami.

– Spalmy ich – zaproponował w końcu lekarz, przerywając niezręczną ciszę. – Parę litrów benzyny, trochę drewna z kotłowni i będzie po krzyku.

**Trylogia Roberta J. Szmida
w *Uniwersum Metro 2033 / 2035*
Dmitrija Glukhovskiego**

